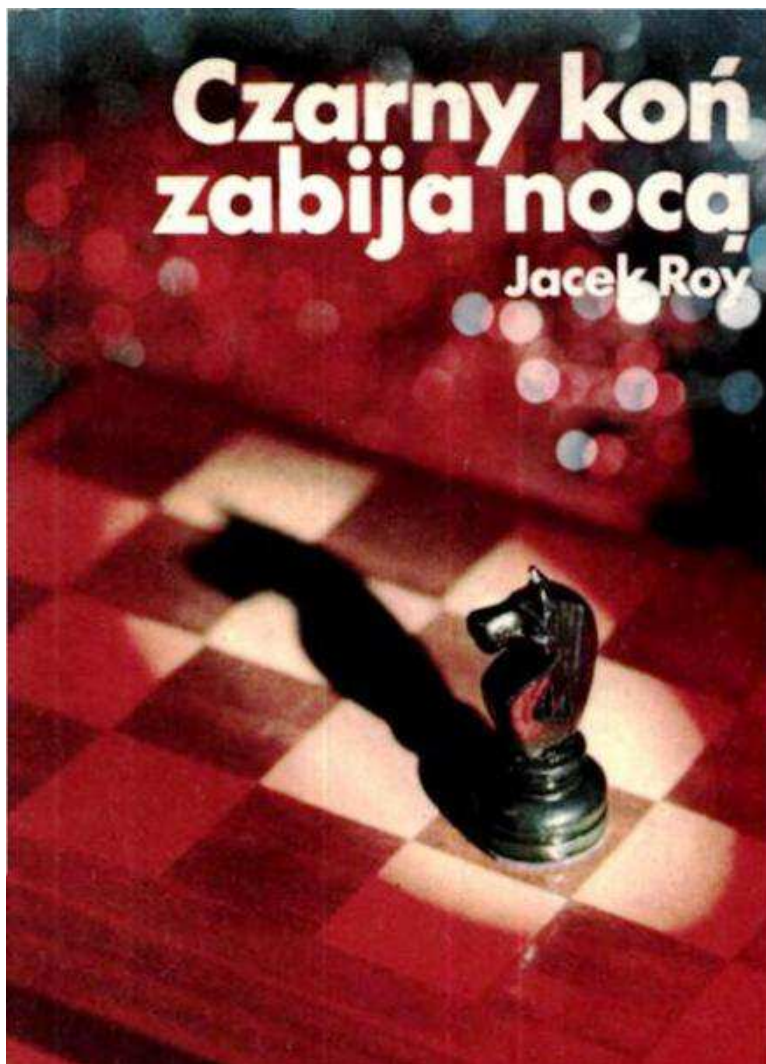


Czarny koń zabija nocą

Jacek Roy



Jacek Roy

**Czarny koń
zabija nocą**

Krajowa Agencja Wydawnicza

Projekt okładki i karty tytułowej

TERESA CICHOWICZ-PORADA

Zdjęcie

JAN I WALDYNA FLEISCHMANN

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

HSW „Prasa–Książka–Ruch”

Warszawa 1975

Wydanie I.

Nakład 100 000+260 egz.

Objętość: ark. wyd. 9,61, ark. druk. 9,61.

Papier druk. sat. kl. V, 70 g.

Nr prod. 1-5/84/74.

Zam. 438. B-52.

Skład: Zakłady Graficzne w Katowicach;

druk i oprawa:

Lubelskie Zakłady Graficzne.

Cena egz. zł 22,–

1.

Tego poranka wstałem zmęczony i zły. Kiedy rozsunąłem, zasłony i stwierdziłem, że niedziela jest słoneczna – mój humor jeszcze się pogorszył. Pracowałem niemal całą noc, już którąś z rzędu – nic dziwnego, że kląłem cały świat. Po licha zgodziłem się pracować w tej branży!... Cholera! Rzucę wszystko i pójdę na emeryturę, było coś niecoś partyzantki, lata spędzone w lesie liczą się podwójnie, wystarczy z nawiązką...

W takich chwilach sięgałem zawsze pamięcią wstecz. Początki pracy w milicji, pierwsze, trudne dni... Bandy, rabusie, mordercy... Ochrona młodej władzy, którą nie wszyscy jeszcze akceptowali. Ale to była solidna szkoła! Podniszczony, szaro-stalowy mundur otrzymałem dopiero po dwóch latach służby, do tego czasu od zwykłych zjadaczy chleba różniłem się tylko opaską. Opaska... Kawalek czerwonego płótna z wyszytymi niewprawną ręką literami MO... Wisiała owa opaska na honorowym miejscu nad biurkiem, w mieszkaniu.

Zmitygowałem się. Nie ma co kląć, w końcu lubię swoją pracę. Na emeryturę? Głupie gadanie! Trzy lata do pięćdziesiątki i... emeryt! Jaki emeryt! Zwariowałeś, chłopie? Prawie sto

kilogramów wagi, wzrost jak trzeba, zdrowie – nie najgorsze, umysł... no, nie jest tak źle i... emerytura. Bzdury!

Za oknem panowała ładna pogoda, był bezwietrzny i ciepły dzień lipcowy. Ocknąłem się z zamyślenia. Zmęczenie dokuczało – nic dziwnego – równolegle nadzorowałem sześć poważnych spraw, ich końca nie widziałem nawet w najbardziej różowym śnie, szef i prokuratorzy ponaglali, a ja... miałem tylko siedemnaśtu ludzi i swój przeciążony bezsennością koncept.

Teren wielkiego portu był zawsze wdzięcznym teatrem działań aktorów, którym role pisał chyba sam Lucyfer, a reżyserię prowadził jego zastępca. Doliniarze, waluciarze, paserzy, płotki i rekiny podziemia gospodarczego, niektórzy nieuczciwi marynarze, spekulanci, sutenerzy, prostytutki i wreszcie ci najgroźniejsi, „arystokracja kryminalna” – spece od mokrej roboty. Ileż to razy spokojna Odra wyrzucała zwłoki rzekomych samobójców, ileż to razy gdzieś w ogródkach działkowych lub peryferyjnych parkach, w Lasku Arkońskim znajdowano martwego człowieka! Także i szczecińskie piwnice, mieszkania, strychy i poddasza odkrywały często liczne ponure tajemnice. I wszędzie tam, gdzie tylko zaistniało najmniejsze podejrzenie, że wycieczka na tamten świat nie była dobrowolna i gdzie inni już nie dawali rady – do akcji, wkroczałem ja i moja ekipa, dwóch kapitanów, trzech poruczników, czterech podporuczników, podoficerowie i personel pomocniczy.

Tak... Szczecin jest pięknym miastem... Posiada wspaniałe osiedla, ogromne parki, zielen. Zrobiliśmy tutaj wiele, odbudowaliśmy to miasto, a właściwie wznieśliśmy je na nowo, nie potrafiliśmy jednak dotąd rozprawić się z marginesem społecznym, dlatego moja praca była potrzebna.

Komendy powiatowe alarmowały również, donosiły o przestępstwach, prosiły o pomoc w rozwiązywaniu trudniejszych spraw.

A pogoda była ładna. Dlatego właśnie ogarnęło mnie uczucie, które człowiek lubujący się w dosadnych określeniach nazywa przeważnie wściekłością. Uzmysłowiwszy sobie dodatkowo, że na stadionie przy ulicy Twardowskiego Pogoń miała rozegrać ligowy mecz z zabrzańskim Górnikiem – znów straciłem humor. Istna huśtawka nastrojów! „Ślęcz tu całą niedzielę nad aktami, do diabła!”

Z mojej kawalerki na siódmym piętrze nowoczesnego punktowca mogłem ogarnąć wzrokiem niemal pół Szczecina. Widok, jaki mi się jawił, jedyny w swoim rodzaju, z nawiązką wynagradzał trudy wcale nierzadkich wspinaczek – te przekłete windy! – oraz akustykę, dobrą może w teatrze, ale cholernie nieprzydatną w mieszkaniu. Odgłosy dochodzące zza ścian serdecznie przeszkadzały w lekturze współczesnych książek i w studiowaniu akt. Wiem, wiem, że narażam się prokuratorom przyznając się do popełnienia owej ciężkiej zbrodni, ale niechaj wiedzą, że milicjanci nie odbębnią czasu od ósmej do trzeciej...

Widok należał zatem do imponujących. Wysokie dźwigi portowe wyciągały szyje z porannej mgły przygnanej znad Zalewu niczym jakieś przedpotopowe gady, bryły elewatorów, doków i zabudowań stoczniowych pstrzyły krajobraz czernią i brązem, urozmaicały go sylwetki statków, smukłe, niskie, pękate, wysokie, proste i garbate, tkwiły nieruchomo stwarzając złudzenie martwooty, ale port tętnił pracą również w niedzielę, tyle że z tej odległości nie mogłem tego stwierdzić. Przy goleniu zmusiłem się do intensywnego myślenia.

Jestem zmęczony, pracy dużo, i tak jej nie podołam. Co się

stanie jeśli tę słoneczną, lipcową niedzielę spędzę jak normalny człowiek? Hm”...

Uczułem, jak kamień spada mi z serca.

Śniadanie w barze Ekstra. Chodziłem tam, bo mieli ciemne piwo, jedzenie było pod psem. Spacer, długi, męczący. Mój organizm domagał się ruchu i świeżego powietrza. Do meczu pozostawało jeszcze trochę czasu, wstąpiłem do Klubu Książki i Prasy przy Alei Wojska Polskiego. Zacisznie, przyjemnie. Jak inni zagłębiłem się w stos kolorowych tygodników zagranicznych, pełno golizny. Niezła kawa, idylla. Pięknie zaczęła się niedziela...

Nie zwróciłem uwagi na mężczyznę, który przysiadł się do stolika. Cofnąłem nogi, aby zrobić mu miejsce. Czytałem i czułem, że przygląda mi się bacznie, natarczywie. Nie podnosiłem jednak wzroku. Dopiero słysząc charakterystyczny śmiech uprzytomniłem sobie, że tkwi w owym chichocie coś znajomego. Odłożyłem gazetę i... oczom nie mogłem uwierzyć.

Arystoteles Bax, jak boga kocham, jakem ateista! Siedział przede mną jak gdyby nigdy nic i mrugał zza kwadratowych szkieł.

– Cześć, skąd się tu wzięłeś, chłopie? – uścisnąłem wylewnie dłoń starego przyjaciela i współpracownika.

– Cześć, nie połam mi palców Pawełku – z pewną energią wyrwał rękę, roztarł palce.

– Zeszczuplałeś... – powiedziałem ostrożnie pamiętając, że onegdaj też nie odznaczał się zbytnią korpulentnością.

– Bez pleców trudno o brzuch – oświadczył smętnie. – Ty także nie wyglądasz najlepiej. Klub, gazety, jesteś na emeryturze?

Zamilkliśmy bo zewsząd rozległy się ostrzegawcze syknięcia. Dalszy dialog prowadziliśmy półgłosem. Powtórzyłem pierwsze pytanie.

– Mam urlop – odparł – zamierzam spędzić dwa, może trzy tygodnie nad morzem, w Świnoujściu.

– Pozazdrościć! Jak z pokojem?

– Będę walczył na miejscu.

„Naiwniak” – pomyślałem w duchu, powiedziałem jednak oględnie:

– Będziesz miał kłopoty. W tym mieście ludzie rezerwują kwatery na rok naprzód, ale nie zostawię cię w biedzie. Jaki masz plan na dzisiaj?

– Zobaczycie Szczecin. Dzwoniłem do ciebie z dworca, telefon milczał, a w komendzie także nic nie wiedzieli. Nie ożeniłeś się?

– Bez ciebie by się nie obyło, chłopie!

– Jeśli masz na myśli noc poślubną – nic z tego żony przyjaciół mnie nie interesują...

– Art, nie gniewaj się – odpowiedziałem podobnym tonem. – Tobie i żonę bym powierzył, ale skończmy z tym. Po co jedziesz do Świnoujścia?

– Odpocząć.

– Tylko? Tak zwyczajnie? Nie żartuj.

– Przy okazji zamierzam poznać język szwedzki.

– W ciągu trzech tygodni?

– Mogę przedłużyć swój pobyt do miesiąca, ale tylko wtedy, gdyby mi nie szło.

– No, tak... Wpadnę tam na parę dni.

– Bierz urlop i wal ze mną.

– Chłopie, sześć spraw na karku!

– Co? Czekaj, coś mi tu nie pasuje. Widziałem na mieście plakaty, Pogoń z Górnikiem, to może być niezły mecz, ty sobie w niedzielne przedpołudnie czytasz gazety, i na mecz pewnie także idziesz, co?

– Jasne! Takie imprezy opuszczam jedynie w wypadku trzęsienia ziemi!

– Dla Polski prognozy sejsmograficzne są przychylnie – zmierzyl mnie podejrzliwie. – Stary, nie kłam, alboś na emeryturze, albo... nie ma żadnych spraw!

Ubawiła mnie logika przyjaciela. Wyjaśniłem, w czym rzecz. Pojął z trudem. Dokończyłem:

– Szczecin nie jest dla milicji łatwym miastem, Warszawa pod tym względem jest oazą spokoju. Ale na ogół radzimy sobie niezłe, w ostatnich latach coraz mniej pracy..

Na pół godziny przed zawodami zajęliśmy miejsca na trybunach. Zaczęliśmy oczywiście wspominać, nie widzieliśmy się prawie dwa lata...

Arystotelesa Baxa poznałem w końcu sześćdziesiątego ósmego. Dawno. Pierwszy raz zetknąłem się z nim właśnie w Warszawie, gdzie pracowałem w stołecznej komendzie milicji. Brałem udział w jakiejś konferencji prasowej i jeden z dziennikarzy zapytał o sprawę „Domu przy ulicy Benedyktyńskiej”. Czytelnik uważnie śledzący prasę zapewne pamięta tę ponurą historię. Bestialski morderca uśmiercił w celach rabunkowych staruszkę rencistkę i jej ociemniałą córkę, po jakimś czasie dochodzenie utknęło, a opinia publiczna – ze zrozumiałych względów zainteresowana wyjaśnieniem zagadki – domagała się rychłego postawienia sprawcy ohydneho mordu przed sądem. Odpowiadając na pytania dziennikarza, jak mogłem, broniłem naszych ludzi, ale cóż? Oni zajmowali się sprawą, a mycie głowy spotkało mnie. Milczałem wysłuchując cierpliwie cierpkich i według mnie nie zawsze uzasadnionych zarzutów, spokojnie wyjaśniałem wątpliwości, starając się jak najbardziej rzeczowo odpowiadać na mądre i głupie

pytania. Zdenerwowałem się dopiero wtedy, gdy pewien młody człowiek, jak się okazało, asystent jednego z wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego, majowy współpracownik jakiejś gazety – wyraził się, i to w sposób niedwuznacznie ironiczny, o naszych metodach prowadzenia śledztwa i szybkości działania. Pamiętam, że na mojego interlokutora skoczyłem z góry i... nadziałem się. Na całe szczęście. Bo krytyk nie przejął się zbytnio moim wybuchem.

W krótkiej polemice, opierając się na danych i okolicznościach ujawnionych przez niektóre dzienniki, udowodnił, że dochodzenie poszło w niewłaściwym kierunku. Nie znając dokładnie szczegółów sprawy – bezpośredni nadzór sprawował nad nią jeden z moich zastępców – nie byłem w stanie nawiązać rzeczowej dyskusji, zresztą każde wgłębianie się w tajniki śledztwa groziło naruszeniem, tajemnicy służbowej, powiedziałem zatem, że co innego prowadzić trudne dochodzenie, a co innego wyciągać wnioski z gazet i argumentować je reminiscencjami z przeczytanych w młodości książek kryminalnych. Tym wprawdzie uciąłem dyskusję z młodym człowiekiem, aliści okazało się...

Na drugi dzień ten dziwak odwiedził mnie w biurze, aby „dokonać przyjemnej rozmowy”. Usiłowałem zbyć go byle czym, nie dał się spławić. Poleciałem przynieść podniszczone akta sprawy „Domu przy ulicy Benedyktyńskiej”. Arystoteles Bax – pamiętam jak dzisiaj, że kpiłem w duchu i z jego patetycznego imienia, i z byle jakiego ubioru – przeglądał akta uważnie, bardzo dokładnie, nic sobie nie robiąc z mojej pobłażliwej i pełnej ironii miny. Spoważniałem jednak, kiedy po przewertowaniu paru pękatych teczek młodzieniec w okularach rozpoczął monolog – bo mówił tak,

jakby poza nim nikogo nie było w pokoju – na temat „istotnych dla sprawy momentów i okoliczności nie uwzględnionych w dochodzeniu”.

Wiedziałem, że sprawę prowadził jeden ze zdolniejszych oficerów, i wierzyłem, że uczynił wszystko, co było do zrobienia. W zasadzie nie pomyliłem się, ale...

Tu chodziło o co innego, rzecz właściwie trudną do zdefiniowania. Mój gość miał instynkt, szósty, siódmy, lichy wie zresztą który zmysł czy coś w tym rodzaju. W gruncie rzeczy była to dziwna, wprost niezrozumiała intuicja, zdolność przewidywania pozwalająca nie tylko odgadnąć czyny przestępcy, lecz również – i to było najistotniejsze – jego działanie w okresie późniejszym. Cóż, nie będzie chyba potrzeby przedstawiania wszystkiego, co zdarzyło się zarówno w tamtym okresie, jak i parę lat później na linii: ja, oficer milicji, aktualnie major, noszący dość pospolite nazwisko Szymański, i on – Arystoteles Bax, doktor filologii klasycznej, tramp i trochę dziwak.

Mordercę z ulicy Benedyktyńskiej ujął po dwóch tygodniach od naszej pierwszej rozmowy, pisała o tym prasa, chociaż nazwisko naukowca, na jego wyraźne zastrzeżenie, nie zostało podane do publicznej wiadomości. Później przyszły sprawy „Braci z Józefowa”, mordercy zegarmistrza z ulicy Mokotowskiej, czterokrotnej zabójczym Olgi F. z Konstancina i inne. Co sprawa – to zbrodniarz za kratkami, jeden czy dwóch podzieliło los swoich ofiar, prawo jest prawem. Jeszcze potem, na zlecenie innych komend wojewódzkich, Bax schwytał pewnego wesołego młodzieńszka z Krakowa, mordercę kilku osób, rozszyfrował ponury gang gwałcicieli i zabójców z Łodzi, pomógł odzyskać państwu

i społeczeństwu ogromnej wartości dzieła skradzione z jednego z muzeów, wreszcie... wyruszył za granice kraju, aby spróbować szczęścia w detektywistycznym fachu w Anglii, w Republice Federalnej Niemiec, w Egipcie, a nawet w Stanach Zjednoczonych i Indiach. Trzeba obiektywnie przyznać, że owe próby wypadły dla młodego Polaka dobrze, żeby nie rzec imponująco, ale to już całkiem inna historia. Nie dało się jednak ukryć – przynajmniej w pewnym kręgu osób – roli, jaką spełniał, jego nazwisko stało się znane, przynajmniej dla nas, profesjonalnie zajmujących się tą branżą. Urlopy, dni wolne od pracy, niekiedy wieczory i noce – przeznaczał młody naukowiec na współpracę z nami, przeistaczał się wówczas w detektywa najwyższej klasy. Dziwiłem się ja, zdumieni byli moi przełożeni. Refleksje pojmanych przestępców musiały również – poprzez zaskoczenie, przerażenie i rezygnację – kończyć się jednakowo: że tak szybko powinęła się noga...

Miał trzydzieści kilka lat, był kawalerem, dość wysokim, szczupłym, denerwująco flegmatycznym. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie przeciętnego fajtłapy, nosił okulary na cienkim nosie, zaś jego mądrą głowę nakrywała strzecha włosów przypominająca kolorem stare siano. Spadały mu ciągle na oczy, odrzucał je co pewien czas do tyłu ruchem głowy lub ręki. Ubierał się tak, że mógłby bez trudu zginąć w tłumie wałęsających się autostopowiczów. Odznaczał się specyficznym, poczuciem humoru i szczerze przyznam, że nie wszystkie jego powiedzenia wydawały mi się dowcipne, nie palił, pił rzadko, ale jeśli już, to dużo, bardzo lubił żartować. Przy następnej okazji opowiem, jak drwił z naszego wiceministra.

Nigdy niczego nie notował. Był, jak wspomniałem, z wykształcenia doktorem filologii klasycznej i kontynuował w tym zakresie tradycje rodzinne, jego ojciec bowiem, Jan Bax, znawca kilkunastu języków i autorytet klasycystki – zaliczał się do najwybitniejszych ekspertów w swojej specjalności w Europie, a zapewne i w świecie. W Polsce uchodził także za specja w sprawach anglistyki. Nic dziwnego, rodzic Jana Baxa z kolei, dziad mojego przyjaciela, był już prawdziwym Anglikiem. Co do Arystotelesa – znał jednak mniej języków niż jego wielce uczonego ojciec, profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego i były wykładowca slawistyki na Akademii Brytyjskiej w Londynie, ale wiem, że nowożytnie wszystkie lub prawie wszystkie. Wspomniał mi kiedyś, że jednym z jego największych żartów jest to, że nie miał gdzie i kiedy nauczyć się języka chińskiego. Co się odwlecze...

Miał, jak prawie każdy naukowiec, swojego konika, była nim kryminalistyka. Na szczęście! Owe teczki z napisem „Umorzono”, cholernie smutny napis... Posiadał Bax rozległą wiedzę z zakresu medycyny, prawa, psychologii, logiki, toksykologii, sztuki i łącznie czego jeszcze, co się zresztą dziwić takiemu, który na uniwersytet został przyjęty bez egzaminu i w wieku lat ...szesnastu.

Nie lubił – jak mi się wydawało – milicji, prokuratury, sądów i ludzi pozbawionych poczucia humoru. Tych ostatnich nie lubił na pewno, mawiał o nich: To potencjalni przestępcy, pamiętaj, Paweł, człowiek prawdziwie radosny, życiowy optymista, nigdy nie popełni najcięższej zbrodni. Nie znosił polityki, w tej materii zapamiętałem takie jedno jego zdanie: Jestem za głupi, żeby się na niej znać, a za mądry, żeby się nią zajmować. Prawdopodobnie tak

samo myślał o kobietach. W kontaktach z nimi popadał w najrozmaitsze tarapaty, ale tylko z ładnymi, był arcysubtelnym estetą. W gruncie rzeczy – skąd ja, także autentyczny kawaler, to znałem? – był pełen lęku przed tak zwaną płcią odmienną...

Nie lubił też dużo mówić. Czasem trochę pofilozofował, zadzwiał z kogoś nieszkodliwie, niekiedy strzelił jakąś perełką, niemal aforyzmem. Jeden zwłaszcza wbiłem sobie do głowy na stałe. Brzmiał on: Jeśli nie ma zbrodni doskonałej, to tym bardziej nie ma doskonałych sposobów na jej wykrycie.

W praktyce owa sentencja nie pasowała jednak do autora, Arystoteles Bax znał bowiem te sposoby.

2.

Często zastanawiałem się nad metodami pracy mojego przyjaciela. Były trudne do uchwycenia, ba, nawet do określenia. Działał zawsze w pojedynkę, jak powiedziałem – nie sporządzał notatek, rzadko też korzystał z naszej pomocy, i w ogóle z czyjejkolwiek, a jeżeli już czegoś potrzebował – zlecał wykonanie takich prac, które stwarzały pozory pomysłów jeśli nie wariata, to przynajmniej tęgiego maniaka. A miewał te pomysły fantastyczne! Podejrzewam też, że często – jak to mówiło się u nas, – strzelał, blefował, ale przeważnie trafiał. Być może dlatego, że przedtem przygotowywał sobie grunt.

Skłamałbym twierdząc, że Arystoteles Bax potrafił po załamaniach paznokci określić zawód człowieka albo że po kolorze i rodzaju błota na butach ustalał czyjeś miejsce zamieszkania. Nie, nic z tych rzeczy. Na tym odcinku do pięć nie dorósł nie tylko wielkiemu Anglikowi, ale i innym znanym z literatury

detektywom. Był jednak, i to z całą pewnością, lepszym psychologiem niż wszyscy oni razem wzięci. Bax przewidywał, „rozgryzał przeciwnika wewnątrznie” jak sam to określał. I wygrywał. Myślał i rozumował z żelazną logiką i zadziwiającą konsekwencją. Wiem to doskonale, bo mnie samego zaskakiwał niejednokrotnie prostymi i tak oczywistymi spostrzeżeniami, że aż wstyd było, iż nie dokonało się ich wcześniej.

Stadion wypełnił się po brzegi. Drużyna górników z Zabrza zawsze cieszyła się w grodzie Gryfa wielką popularnością.

– Pamiętasz, Paweł – Bax wrócił do dawnych lat – jak kibikowaliśmy Polonii?

– Oczywiście, dalej czuję do niej sentyment, do Pogoni przywykłem przez tych parę lat, no a Górnik wiadomo...

Dużo ludzi...

Szczecin jest zakochany w piłce nożnej, szkoda tylko, że piłkarze Pogoni nie zawsze odwzajemniają tę miłość.

– Spadną do drugiej ligi i będziesz miał spokój uśmiechnął się. – Dużo teraz sportu w telewizji, często oglądam...

– Ja nie mam czasu, tutaj przychodzę, bo spacer i relaks, mam skłonności do tycia, chłopie.

Mecz rozpoczął się atakiem gości.

– Zostań kilka dni w Szczecinie – zaproponowałem. – Tutaj też spotkasz Szwedów, wybierzemy się któregoś wieczoru do Kaskady, słyszałeś o tym lokalu?

– Z prasy, ale nic dobrego. Stary, mam w kieszeni wszystkie cztery tysiące, na opłacenie pokoju, życie i podróż powrotną, nie wyskakuj mi z takimi ofertami!

– Zapraszam, więc płacę, chłopie! Zabawimy się, poderwiemy jakieś dziewczyny...

– Pawełku, sztasz pieniędzmi i czasem... Czy ty nie myślisz jednak o emeryturze? W końcu dostałbyś pełną.

– Chcę uczcić nasze spotkanie, otrzymałem od ciebie kartki z Egiptu, z Anglii i Indii. Co tam robieś, do licha?

– To dłuższa historia – zbył mnie. – Jeśli zamierzasz uczcić nasze spotkanie, zaproś mnie do muzeum, macie podobno także piękny zamek, duży port, stocznię... Ale to dzisiaj, po meczu. Jutro muszę być w Świnoujściu, szwedzka fonetyka nie należy do najłatwiejszych...

– Nie będziesz przecież całymi dniami gadał!

– Gdyby było z kim... Poza tym zamierzam odpocząć. Plaża tam, zdaje się, ładna i duża, a ja przez ostatnie miesiące harowałem jak wół.

– Plaża w Świnoujściu wspaniała, a dziewczyny... Jakie chcesz, studentki, cudzoziemki, rozmaite! A może... – zacząłem i urwałem, bo naraz zakotłowało się pod bramką Pogoni, piłka krążyła od napastników zabrzan do obrońców gospodarzy odbijał ją kilka razy bramkarz, wreszcie wyszła na aut. Odetchnąłem podobnie jak cały stadion. Bax zachichotał.

– Dręczy cię coś, wyduś...

– Krótko. W ubiegłym roku zamordowano kobietę, w prywatnym pensjonacie. Nie ustaliliśmy motywów. Podejrzani – nobliwi z dobrymi manierami, wzorowymi ankietami personalnymi i tak dalej. Aha, może to cię zainteresuje, wśród nich – kilku pensjonariuszy ze Skandynawii, zdaje się ze Szwecji i Norwegii.

– Rzeczywiście. Ciekawe... dla lingwisty.

– Nie tylko, Tło sprawy, chłopie, jak na kolorowej pocztówce, idylla, sielskość, anielskość czy jak tam się to określa. I nagle morderstwo.

– Nagle – dla milicji, dla mordercy niechybnie z długim przygotowaniem.

– Być może. W każdym bądź razie – zagadkowa mokra robota.

– Umorzono sprawę? Pytam dla porządku...

– Tak, prowadzili ją miejscowi, niedawno odesłali do nas, leży chwilowo w szafie, a potem...

– Do archiwum? Nie było jakiegoś punktu zaczepienia?

– Beznadziejna historia, Art.

– Nic dziwnego, że krzywa rośnie.

– Krzywa spada, i to poważnie, mimo ogromnego ruchu turystycznego, również i międzynarodowego. Wiesz, że coraz szerzej otwieramy...

– Wiem. wiem – przerwał mi. Po co referujesz mi tę całą sprawę?

Zebrawszy w swoje raczej potężne płuca jakąś tam ilość powietrza, wyrzuciłem:

– Weź sprawę!

Spojrzał na mnie spoza szkieł, potem przeniósł wzrok na murawę boiska. Gra toczyła się przeważnie na połowie Pogoni, chociaż doskonale wyszkoleni technicznie Ślązacy nie mogli sforsować ścisłej obrony i dobrego bramkarza szczecinian. Zawodnicy Pogoni, jak od niepamiętnych czasów, nadrabiali ambicją. Dobre i to.

– Weź sprawę – powtórzył Bax. – Ładnie to brzmi... A szwedzki, a odpoczynek? Hm.. Żal, że dusza biednej kobiety błąka się w zaświatach, żadna zemsty na stróżach prawa za ich nieudolność. Podaj, Paweł, garść szczegółów, ale zastrzegam się. pytam ze zwykłej ciekawości.

– Ofiarą, była niejaka Rożnowska, czekaj, nie pamiętam

imienia, jakoś na m lub n, tak, Natalia, Natalia Rożnowska, mieszkanka Szczecina, kobieta z prywatnej inicjatywy, lat około pięćdziesięciu... Zmierzył mnie pochmurnym wzrokiem.

– Stary, nie interesuje mnie jej ankieta personalna i dane z życiorysu, który zresztą zbadaliście pewnie ze zwykłą skrupulatnością. W jakich okolicznościach i jak – oto, co mnie ciekawi. Powiedziałeś, że brak w sprawie motywu, zgoda, są z tym niekiedy kłopoty, ale przecież jakaś namiastka hipotezy musiała zaświtać w otwartych głowach oficerów, co? Co wiesz na ten temat?

– Sprawę prowadzili miejscowi, musieli delikatnie, rozumiesz, cudzoziemcy...

– Rozumiem! Ewentualny przestępca-cudzoziemiec musi być traktowany inaczej. Tam do diabła! Przypuszczałem, że podobne kryteria stosują jedynie kelnerzy i służba hotelowa. Wracając do tematu, połowa mieszkańców Świnoujścia została przesłuchana? – pytanie zadał z wyraźną ironią, nie akceptował metod stosowanych przez nas, a polegających na wnikliwym badaniu wszystkich możliwych po szlak i źródła.

– Nie, to duże miasto, zwłaszcza w sezonie. Prze słuchaliśmy jedynie pensjonariuszy, właściciela „Rybitwy” – to nazwa tego domu – no i personel.

Dalszą rozmowę przerwał jeden z napastników gości, który rzucił się w samotny rajd bokiem boiska. Mijał graczy Pogoni jednego po drugim, ściągnął na siebie rosnącego stopera i ograwszy go pomknął ku bramce. Próbował zagrozić mu drogę bramkarz, ale zwinny Ślązak zrobił chytry zwód ciałem w lewo i kiedy goalkeeper Pogoni rzucił się na piłkę – przerzucił ją na drugą nogę i strzelił do pustej bramki. Głuchy jęk zawodu rozległ się na trybunach, dał się też słyszeć wrzask radości kilkudziesięcioosobowej grupki kibiców ze Śląska. Jeden zero dla gości.

– Piękna sztuczka – mruknął z podziwem mój przyjaciel. – Ograł całą defensywę jak grzeczne dzieci, no, no! Pawełku, twoja Pogoń jest już jedną nogą w drugiej lidze...

Nasi sąsiedzi poprawili humor tradycyjnymi metodami. Na ile skutecznie, najlepiej stwierdzi gospodarz stadionu licząc puste butelki po meczu.

– Jaki rodzaj morderstwa? – podjął temat Bax nie usłyszawszy odpowiedzi na swoją zaczepkę.

– Kobieta została uduszona szalikiem, podczas snu, w łóżku. Śpiąc... obok męża.

– Co? – spojrzał na mnie niedowierzająco. – Nie łżesz? To już jest coś! Nie słyszałem o podobnej historii. Dlaczego gość spał tak twardo?:

– Ktoś mu pomógł. Jak ustalono, zarówno Rożnowska, jak i jej mąż zostali uśpieni luminalem.

– Rożnowskiego nie próbowano wyekspediować na tamten świat?

– Nie. Obudziwszy się w nocy narobił wrzasku i zaalarmował cały pensjonat, przeżył podobno szok, wyobrażasz sobie, żona obok, w łóżku, z pętlą na szyi!

– Żonaci bywają narażeni na rozmaite niespodzianki, stary. Szalikiem, powiadasz?

– Kawałkiem materiału z jedwabiu, czymś w rodzaju szalika, wiesz, noszą je zamiast krawatów niektórzy artyści...

– Wiem. Do kogo należał?

– Nie pamiętam. Zobaczysz akta?

Pokiwał głową, ale gest ów nie odnosił się do mojego pytania, Bax dziwił się czemuś.

– Jeżeli zadano sobie trud i sprawdzono ten szczegół – powiedział po chwili – zobacz, czyja to zasługa i... weź tego

człowieka szybko do siebie, będziesz miał z niego pociechę.

Nie dotykały mnie jego kpiny.

– Dochodzenie przeprowadzono skrupulatnie, Art, uczyniono1 wszystko, co było do zrobienia.

– I sprawę umorzono?!

– Niestety.

– To znaczy, że nie zrobiono wszystkiego, jednego zwłaszcza: nie schwytano sprawcy.

– Historia jest tajemnicza. Absolutny brak motywu, żadnej kradzieży, najmniejszego rabunku. Rożnowscy byli idealnym małżeństwem, ona nie miała wrogów...

– Ponieważ jednak została zamordowana na zimno, z premedytacją – motyw musiał istnieć. Obecność cudzoziemców mogła rzucić pewne światło. A rodzina?

– Ona nie miała żadnej, on jakąś dalszą, nie utrzymywali jednak stosunków.

– Rożnowski nie miał motywu?

– Nie. Byli zgodnym, bezkonfliktowym małżeństwem. Zresztą wyobrażasz sobie człowieka zdolnego udusić własną żonę, by potem ułożyć się do snu obok trupa?

– Ja sobie nie wyobrażam, ja... myślę. Wiedz, że nawet w najporządniejszym małżeństwie znajdzie się zawsze jakiś motyw do morderstwa, nie, to nie ja wymyśliłem, niejaki Bernard Shaw...

– Ta sentencja nie pasuje do sprawy, Art.

– Nie? A skąd wiesz, że Rożnowski... spał obok żony?!

Zaniemówiłem. Rzeczywiście... Przypomniawszy dane z akt sprawy nie mogłem rozwiązać wątpliwości przyjaciela.

– Tak zeznał – ratowałem się.

Zamierzał poczęstować mnie jakąś kolejną pigułką, ale ładna akcja Pogoni przyciągnęła na moment jego uwagę. Kiedy zakończyła się fiaskiem, zamrugał do mnie oczami, tkwiło w nich zdziwienie.

- Czekaj no, Paweł, Roźnowski... Znam skądś to nazwisko.
- Prasa o tej sprawie nie pisała,
- Nie, to było co innego... Sport!
- Aaa... uśmiechnąłem się. – Tak, Roźnowski jest szachistą, tutaj, w Szczecinie najlepszym.

– Właśnie. I nie tylko w Szczecinie, grywał w reprezentacji narodowej i zalicza się do ścisłej czołówki krajowej. To doskonały szachista, jest mistrzem klasy międzynarodowej.

– Możliwe – odparłem. Tak głęboko nie tkwiłem w tym sporcie, a szczerze mówiąc, w ogóle nie umiałem grać w szachy. – Sprawa ma jakieś powiązania z tą grą. Jak relacjonował mi oficer prowadzący dochodzenie, niemal wszyscy goście „Rybitwy” grali namiętnie w szachy, zorganizowano tam nawet turniej czy jakieś zawody.

Arystoteles Bax zadumał się. Patrzył na boisko, ale myślami błędził gdzie indziej. Nie zwracał uwagi na grę, bo też i nie było na co, akcje rwały się, Ślązacy mając zapas jednej bramki nie wysilali się zbytnio. Nie przerywałem zamyślenia przyjaciela. Naraz potarł brodę, spojrzał na mnie z iskierkami wesołości w oczach i rzekł:

– Paweł, szachy to piękna gra... Masz jakiś pokój w Świnoujściu?,

- Zgadzasz się – uradowałem się.
- Masz pokój?
- Załatwię ci apartament w najlepszym hotelu!
- Potrzebny mi skromny pokoik na poddaszu. Przez długie lata mieszkałem w kawalerce, w której nie mieściły się moje

książki, nie mówiąc już o mnie. Z tym że, drogi majorze – mówił tak zawsze, gdy chodziło o sprawy służbowe lub finansowe – koszty pokrywasz ty i twoja zacna instytucja. Mogę przyrzec, że będę oszczędny, no jak?

– W porządku, Art, załatwione, po meczu idziemy na dobry obiad. A wieczorem do Kaskady!

Pogoń przegrała i opuszczaliśmy stadion niesieni falą niezbyt zadowolonego tłumu. Na moim jednak obliczu malowała się autentyczna radość. Znów odzyskałem kontakt z tym arcyciekawym człowiekiem i co najważniejsze, być może, jedna z ponurych i niewyjaśnionych zagadek doczeka się rozwiązania. Być może? Na pewno! Morderca Natalii Roźnowskiej, kim on tam nie był, nie powinien od tej pory spać spokojnie...

3.

Nazajutrz, z bólem głowy i monstualnym kacem, któremu nie zaszkodziło nawet wypicie dwóch litrów zsiadłego mleka, podniosłem się z tapczanu i poszedłem do łazienki myć się. Arystoteles mógł jeszcze pospać – umówiliśmy się u mnie na dziesiątą. Ale ja, ponieważ z rana jak w każdy poniedziałek miałem krótką roboczą naradę, nie mogłem nawalić. Cholera! Wypiliśmy więcej, niż zamierzaliśmy na początku. Tańczyliśmy z jakimiś dziewczynami, z kimś tam umawialiśmy się, kto by to pamiętał...

W biurze czekała mnie niespodzianka. Tuż przed ósmą nadzedł telefonogram ze Świnoujścia, z tamtejszej komendy powiatowej, i jego treść było niedwuznaczna. Zamyśliłem się głęboko, tym głębiej, że mój umysł pracował na zwolnionych, a właściwie

to na całkiem wolnych obrotach. Historia zaczynała wyglądać poważniej, niż początkowo przypuszczałem. Przewracałem zakurzone akta, oglądałem wyblakłe zdjęcia. Zamknąwszy teczkę położyłem dłoń na smutnym napisie. Wpiąwszy do akt kartkę telefonogramu zamknąłem je i przekreśliłem flamastrem wyraz „Umoorzono”, zaparafowałem poprawkę. Szczerze przyznaję, że lubiłem tę czynność...

Po naradzie wróciłem do gabinetu. Zanim doszedłem do biurka, rozległ się terkot wewnętrznego telefonu.

– Obywatelu majorze – usłyszałem głos dyżurnego sierżanta – jakiś gość do was. Śmiesznie się nazywa...

– Dawajcie go tutaj!

Po chwili mój przyjaciel, poprzedzany przez oglądającego się podejrzliwie podoficera wsunął się do pokoju. Usadowiwszy się w fotelu spojrzał na mnie z rozbawieniem. Sierżant wyszedł.

– Czy on nigdy nie słyszał imienia Arystoteles? Oglądał mój dowód osobisty, jakbym przyjechał z Marsa... Podle się czuję.

– Ja też. Z rana przyszedł telefonogram ze Świnoujścia, masz go tutaj. Dzisiaj w nocy usiłowano zamordować w „Rybitwie” Marię Reszel, tę intendentkę i kucharkę, wspominałem ci o niej wczoraj...

– Co my tu jeszcze robimy?! – rozejrzał się, jakby taksówka czekała w rogu gabinetu.

– Możemy jechać choćby w tej chwili, ale twój bagaż...

– Tu! – wskazał na podniszczoną torbę podróżną. – Tu jest mój bagaż! Cały. Znajdzie się jeszcze miejsce na te klejnoty – bez ceregieli pochwylił akta i włożył je do torby.

Skreśliłem kilka słów do zastępcy i poleciłem zawiadomić

komendę w Świnoujściu o moim przyjeździe. Po minucie milicyjny fiat rwał z maksymalną szybkością w stronę nadmorskiego kurortu.

– Spadłeś mi z nieba, Art, widzisz teraz sam, co to za sprawa!

Wertował uważnie plik akt. Mruczał coś do siebie, niektóre dokumenty czytał dwukrotnie, niekiedy patrzył w bok. Wyglądał jak pierwszy lepszy urzędniczyna, który oto jechał ze swoim przełożonym w teren i był tak pilny, że pracował w drodze! Przewracał papiery kilkakrotnie, nie zwracał uwagi na kosmyki włosów zakrywające mu okulary. Potem bez słowa oddał mi teczkę z aktami. Dałbym głowę, że każdy ciekawszy szczegół sprawy, każdy fragment zdjęcia i szkicu, każda kreska rysunku zostały zapisane na czulej taśmie jego pamięci bardzo dokładnie.

– Twoja grupa nie wzbogaci się jednak o współpracownika – mruknął.

– Z tym szalikiem? Widocznie nie można było tego ustalić, drobiazg.

– Ładny mi drobiazg – rzucił kpiąco, przez chwilę panowało milczenie, potem rzekł do siebie: – Dziwne, bardzo dziwne...

– Co?

– To, że dzisiejsza niedoszła ofiara, nie gra w szachy.

Nie rozumiałem niczego.

– Co Wspólnego mają szachy z morderstwem czy też usiłowaniem morderstwa, Art?

– A co wspólnego ma książyc z rybami? – odpowiedział pytaniem. – A jednak ma! Zapytaj rybaków lub wędkarzy, kiedy ryba lepiej bierze, w czasie przyływu czy odpływu?

Następnie zaczął mówić półszepem, jakby do siebie. Słuchałem

nie przerywając. Z jego słów wyłaniał się obraz ubiegłorocznej tragedii, tajemniczej, nie wyjaśnionej, do tej pory pozostającej w mroku. Świeżej z powodu nowego incydentu zaistniałego w tym samym miejscu, w podobnym czasie i pewnie okolicznościach.

– Przesłuchane czternaście osób. Zakładam wstępnie, że wśród nich należy szukać naszego lisa. Kogo więc mamy? Roman Borowski, właściciel nie tylko pensjonatu, ale także i zakładu fotograficznego. Dwa niezłe interesy. Co też robią nasze władze finansowe? Mężczyzna w sile wieku, pewnie cwaniak, bo zamotał swoje zeznania tak, że nic z nich nie wynika.

Dwóch Szwedów – braci, Ingemar Swenson, lat sześćdziesiąt, rozwiedziony, i jego brat Wolf, z żoną i dwunastoletnim synkiem, nasza kochana milicja nie przepuściła okazji i szansy, chłopca przesłuchano także, nawet dwukrotnie... I słusznie! Może drzemie w nim groźny przestępca? Uznajemy wszak daleko posuniętą profilaktykę!

Nie raziły mnie jego kpiące wstawki, bo opowiadał zajmująco.

– Dla uzupełnienia kolekcji obcokrajowców wymieniam Petera Nillsona, adwokata z Oslo. Z naszych znani już nam Rożnowscy, młody lekarz Połtyka, z całą pewnością beznadziejny nudziarz, studentka Bożena Czado, dzisiejsza ofiara Maria Reszel i dwoje dalszych pracowników Borowskiego, palacz i konserwator w jednej osobie, niejaki Lizęga i Róża Łukasiewicz. Różyczka, jak ją wszyscy w swoich zeznaniach nazywali; kelnerka i pokojówka, idę o zakład, że roztargniona. A co do studentki, fajno jest, stary, głowę daję, że bardzo ładna!

– Studentka ładna, pokojówka roztargniona – z kolei ja pozwoliłem sobie na ironię. – Art, nie za przedwczesne wnioski?

Pokiwał głową z politowaniem.

– Mógłbym o tych dziewczynach powiedzieć dużo więcej! Wyobraź sobie, dwudziestoletnia studentka Akademii Wychowania Fizycznego – a więc musi być do tego zgrabna i wysportowana – stała się obiektem zainteresowania warszawskiego dziennikarza, faceta pod pięćdziesiątkę. O nim celowo chcę mówić na końcu. Zajmowałby się brzydką?

– Masz szansę, chłopie...

– Zobaczymy – mój żart skwitował grymasem ust. – Piękne kobiety czy też dziewczyny niezależnie od tego, co się o nich mówi, są ciekawsze od innych, chociażby dlatego, że są piękne. Ale w naszej sprawie nie uroda jest ważna, tylko... szachy!

– Prześladują cię, jak widzę... Co z dziennikarzem?

– Janusz Milewski, interesująca postać, znam go ze sportowych programów telewizyjnych. Nie oglądasz? Taki przystojny, elokwentny. A szachy?! Stary, mnie one nie prześladują, to obsesja, prawdziwa obsesja! A nawet obłąd, szaleństwo, jak wolisz. Od tego do metody jeden krok.

– Równie dobrze mogli grać w brydża, deszcz lał przez cały sierpień, co mieli robić?

– Mogli grać właśnie w brydża! A nie grali. Stary, wśród tej galerii zajmujących postaci dziewięć osób na czternaście gra w szachy. Odlicz kobiety i palacza – wszyscy, a przecież to nie najłatwiejsza gra. Ten fakt nie dziwi podejrzliwego majora milicji? Nawet w Związku Radzieckim, gdzie szachistów, i to znacznie lepszych, jest kilkadziesiąt razy więcej niż u nas – podobna okoliczność byłaby zastanawiająca. Cudzoziemcy grają w szachy, Rożnowski to kadrowicz, dziennikarz Milewski jest znanym

teoretykiem i pewnie niezłym zawodnikiem, co o tym powiesz?

– Zbieg okoliczności.

– Być może... Pamiętasz, jaką rolę w sprawie „Braci z Józefa” odegrał poker? Tylko dzięki niemu wykryłem groźnych bandytów.

– Zgadza się.

– Jestem pewien jednego, nasz ptaszek doskonale orientuje się w podstawach debiutu, w tajnikach kombinacji i w pointach końcówek szachowych. To przekonanie pozwala mi już teraz wyeliminować parę osób, mianowicie te, które nie grają w szachy w ogóle albo grają słabo. A to już jest coś!

– Niewiele, by wykryć przestępcę.

– Ale dużo, aby mieć pewność, że uroczą studentka AWF Bożena Czado nie jest winna zabójstwa Rożnowskiej!

– Nie gra w szachy? – zapytałem rozbawiony.

– Otóż to!

Fiat wjechał na most łączący stały ląd z wyspą Wolin. Pół godziny jazdy i znaleźliśmy się w pierwszych zabudowaniach Świnoujścia. Przed promem stał długi sznur ciężarówek i samochodów osobowych. Na szczęście kierowca miał u promiarzy jakieś względy i ominęło nas oczekiwanie. Statek ruszył, a my zaczęliśmy obserwować krajobraz. Zieleń, pełno drzew, słowem, miasto park. Z lewej strony wystrzelały w górę sylwetki licznych wieżowców. Wokół statki, duże i małe, różnych bander, ich barwy aż kłuły w oczy, na kanale panował ogromny ruch. Jeśli Szczecin był okiem Polski na północ i zachód – to źrenicą tego oka było z całą pewnością Świnoujście. Pokazywałem niektóre ciekawostki przyjacielowi, nie zapomniałem nadmienić o jednym z najlepszych naszych oficerów – komendantów powiatowych w kraju,

młodym i bardzo energicznym podpułkowniku Jerzym S.

Stanęliśmy przy burcie promu wśród rozglądających się, różnobarwnie ubranych ludzi. Urlopowicze, czasowicze, kuracjusze... Jakaś starsza i tęgawa warszawianka z uporem dopytywała o kasę biletową. „Gdzie sprzedają te bilety” – nagabywała wszystkich i... wokoło słyszała śmiech. Jakiś młodzieniec nazwał kobietę „konikiem” i ludzie zachichotali jeszcze głośniej. Warszawianka nie warszawianka, tutaj każdy jedzie na gapę. Przejazd promem jest bezpłatny. Zorientowani tłumaczyli, iż przejazdka nic nie kosztuje, ale mieszkanka stolicy doszła do wniosku, że właśnie teraz usiłowano z niej zadrwić, odstawivszy walizki grzebała w portmonetce szukając drobnych. Pasażerowie śmieli się, bez złości, bez ironii... Lipiec, słońce, woda... Wesoło.

Zjechaliśmy z promu i ruszyliśmy w stronę dzielnicy nadmorskiej. Kątem oka obserwowałem zamyślane oblicze przyjaciela.

4.

„Rybitwa” była smukłym, dwupiętrowym, rzec można, budynkiem, drugie piętro bowiem składało się właściwie z poddasza. Całość stwarzała wrażenie dość zgrabnej bryły architektonicznej. Z dachu budynku strzelało w niebo kilka wieżyczek bliżej nieokreślonego przeznaczenia. Pensjonat leżał tuż przy promenadzie w zachodniej części miasta, za nim znajdował się już tylko las, a właściwie wzgórze pokryte bujną roślinnością, i granica z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Budowlę kryła ciemnoczerwona dachówka, jej ściany były kremowe, cegiełki narożników, framug i podpiwniczenia

kasztanowe, całość niczego sobie. Z tyłu znajdowały się garaże, budynek gospodarczy, wokół rozpościerał się trawnik, czysty, seledynowy, rosło na nim parę wysokich jodeł – widok jak z obrazka.

Wstąpiliśmy na schody wiodące ku frontowym drzwiom. W hallu pod dużą palmą stało trzech mężczyzn. Jednego znałem, był oficerem śledczym w miejscowej komendzie powiatowej, nazywał się niegramatycznie Wiater. Drugim był człowiek w ciemnym garniturze. Pocił się w nim chyba mocno, bo kręcił ciągle szyją. Na kilometr widać w nim było prokuratora. Młoda kadra po studiach; nie lubiłem mieć z takimi w prokuraturze do czynienia. Ostatni, krępawy i niewysoki, czarny jak żuk, z eleganckim wąsikiem, podbiegł do nas z wyciągniętą ręką. Domyśliłem się w nim gospodarza pensjonatu.

– Dzień dobry panom. Czekaemy, czekaemy! – Dłoń miał lepką i miękką, nie przepadałem za podobnymi mięczakami. Bax chyba też, bo z miejsca zakpił z faceta.

– Jak się nazywa ten pensjonat? – zapytał.

– „Rybitwa”, szanowny panie, „Rybitwa”.

– Sądziłem, że „Czerwona Oberża”. – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale oficer ze Świnoujścia zbliżył się do mnie i strzelił w dach. Powstrzymałem go ruchem dłoni.

– Nie trzeba, poruczniku, ta pani jest u siebie?

– Tak, leży w łóżku – pośpieszył Borowski. – Przeżyła szok, biedactwo.

– Można zamienić z nią kilka słów?

– Chyba tak, może najpierw ja...

– Z panem porozmawiamy później. Co lekarz?!

– Otrzymała zastrzyk, wkrótce będzie mogła wstać. I tak się dobrze skończyło, panie majorze.

– Pójdziemy do niej z kolegą, niech pan poczeka, poruczniku – udałem, że nie dostrzegam obrażonej miny prokuratora, niech tam, jego koledzy w Szczecinie traktowali mnie niekiedy jeszcze gorzej.

Poszliśmy korytarzem za Borowskim. Stawiał kroki pokracznie jak kaczką. Drzwi na lewo. Pokój jak pokój. Pojedyncze okno z nylonową firanką. Na tapczanie przykryta kołdrą leżała starsza kobieta, z okładem na czole. Obok tapczanu stała niemodna szafa z lustrem, przy niej stolik, na nim flakon ze sztucznymi kwiatami. Na podłodze wzorzysty dywan, na ścianie jakiś kicz ze świętym. Staroświecka atmosfera, w jakiej lubowały się panny, od dłuższego czasu gotowe wyjść za mąż.

– Jesteśmy z milicji – powiedziałem półgłosem. – Chcieliśmy prosić panią o kilka minut rozmowy. Zechce pani?

Kobieta opuszczeniem powiek wyraziła zgodę. Potem westchnęła ciężko i odrzekła:

– Czuję się już nieźle, boli mnie tylko głowa...

Nie trzeba było językoznawcy, aby rozpoznać w niej autochtonkę. Przysiadłem na stojącym obok tapczanu krześle, Bax z porucznikiem i właścicielem pensjonatu zatrzymali się przy drzwiach.

– Mogłaby pani powiedzieć coś... o tym wypadku?

– Och, proszę pana! – znów westchnęła, tym razem z bólem. Co za okropność! To jakieś straszne nieporozumienie! Nie mam żadnych nieprzyjaciół, wrogów, przez całe życie nie wyrządziłam nikomu najmniejszej krzywdy.

– To z pewnością pomyłka, proszę się niczego nie obawiać. Przybyliśmy, aby wszystko wyjaśnić.

– Więc, proszę pana, położyłam się spać jak zwykle o jedenastej, to znaczy o dwudziestej trzeciej, ale nie mogłam usnąć,

poczułam się źle. Dlatego wstałam i wyszłam do łazienki.

– Bolała panią głowa?

– Żołądek. Musiałam zjeść coś niestrawnego, chociaż nie wiem co, kupujemy zawsze świeże artykuły. Później zakręciło mi się w głowie, wróciłam do pokoju, położyłam się, usnęłam i... nastąpiło to... – przerażenie mignęło w zmęczonych oczach kobiety. – Uczułam coś dziwnego, obudziłam się, jakiś ciężar przygniatał mi piersi, zaczęłam się dusić... To było okropne, proszę pana... Najpierw wydawało mi się, że przeżywam straszny sen i że za chwilę się przebudzę, po ubiegłorocznym wypadku ciągle miałam podobne sny – zaczerpnęła powietrza i chudą ręką poprawiła okład. – Potem uświadomiłam sobie, że to nie sen, że tak jest naprawdę, że ktoś mnie dusi. Spróbowałam wydrzeć się z uścisku, zaczęłam krzyczeć i dalej już nie pamiętam nic... O Boże!...

– To już minęło...

– Kiedy odzyskałam przytomność, paliło się światło i stał nade mną kochany pan Roman – spojrzała z wdzięcznością na Borowskiego.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. – Widziałem, że jest zmęczona. – Czy piła pani wczoraj jakiś alkohol? Częstoowano panią czymś?!

Kobieta zastanawiała się przez moment.

– Owszem, wypłam dwie lampki wina z państwem Swenson i państwem... no, z panem artystą i jego żoną, zawsze zapominam ich nazwiska. Był także pan redaktor Milewski, to on mnie namówił na drugi kieliszek. Taki miły pan, bardzo go lubię, więc wypłam, z okazji ich przyjazdu. To nasz najlepszy turnus, prawda, panie Romanie? Źle czułam się po tym wszystkim.

– Rozumiem – potwierdziłem. – Na pewno stąd wziął się ten ból żołądka. Nie pije pani często, a dwie lampki wina to sporo.

– W ogóle nie używam alkoholu, proszę pana. Żałuję, że piłam to wino.

Podziękowałem kobiecie i wyszliśmy. Prokurator musiał obrazić się na serio, bo gdzieś zniknął. Odeszliśmy z oficerem na bok.

– Pan Arystoteles Bax weźmie tę sprawę z tym, że wy będziecie robili swoje – powiedziałem. – Wykonujcie, poruczniku, wszystkie polecenia pana Baxa, tylko pamiętajcie – miałem już pewne smutne doświadczenia z poprzedniego okresu i wołałem zabezpieczyć się na początku – muszą być one wykonywane ściśle i szybko. Niekiedy możecie nie pojmować niektórych szczegółów, ale nie przejmujcie się tym. Osobiście przede mną odpowiadacie za wykonanie tego rozkazu.

– Tak jest, obywatelu majorze! – odpowiedział służbiście oficer i obrzucił wysoką sylwetkę naukowca uważnym spojrzeniem. Pochwyciłem w jego wzroku najpierw błysk zdziwienia, a potem podziwu. Każdy, kto przepracował w milicji dłużej niż rok, dwa, musiał znać nazwisko mojego przyjaciela. Na sprawach prowadzonych przez niego uczyli się słuchacze naszych szkół, niektóre obrosły legendą.

– Pan prowadził dochodzenie w sprawie Rożnowskiej? – przystąpił do rzeczy Bax.

– Tak.

– Dlaczego nie ustalono, czyją własnością był ów szalik?

– Pytałem wszystkich, pana Borowskiego, zagraniczników, nikt nie wiedział.

– Ha! – krótkie parsknięcie było wymowniejsze niż wszystkie

słowa, tym bardziej że w ustach detektywa wyrażało najwyższą dezaprobatę. – Orientuje się pan, na czym polega różnica między otwarciem Birda, a debiutem Retiego?

Oficer miał minę ucznia szkoły podstawowej, którego nauczyciel wyrwał niespodziewanie do tablicy i zapytał o teorię kwantów. Milczał oczywiście. Było to zresztą najmądrzejsze, co mógł uczynić.

– To może – dobił go Bax – rozróżnia pan obronę sycylijską od francuskiej?

Skonfundowany milicjant milczał dalej nie wiedząc, co odpowiedzieć, w końcu Bax to Bax. Ten uśmiechnął się naraz i klepnął mnie po ramieniu. We wzroku miał triumf i pewnie myślał: „A widzisz, jednak nie ma zielonego pojęcia o szachach”.

Ja z kolei byłem przekonany, że mój przyjaciel zyskał w opinii zdezorientowanego funkcjonariusza komendy powiatowej miano wariata, a on sam położył jeszcze jedną cegiełkę na swoim murze niewiary w umiejętności niektórych naszych pracowników.

– O roli kolegi Baxa – wtrąciłem dla rozładowania atmosfery – proszę nie mówić nikomu, nawet prokuratorowi.

– Zwłaszcza prokuratorowi – pochwycił detektyw. – Ci tutaj rozszyfrują mnie zapewne po paru dniach, ale to nieważne, do tej pory będę wiedział to i owo. Do góry głowa, poruczniku! I niech pan przejrzy sobie jakiś podręcznik szachowy, mówię panu, co za relaks. Zwłaszcza po ciężkiej pracy umysłowej!

Udaliśmy się do pokoju właściciela pensjonatu. Czekał na nas i od razu zaprosił na obiad. Skorzystaliśmy z jego uprzejmości, jako że zbliżała się pora południowa, a byliśmy jeszcze bez śniadania. Duży prostokąt sali sprawiał wrażenie pustki. Pięć kwadratowych

stolików, białe obrusy, wyściełane krzesła. W jednym kącie telewizor, w drugim, przy oknie, pianino.

– Pani Różyczko – Borowski przywołał niebrzydką, młodą dziewczynę ubraną w takie mini, że najpierw, chcąc nie chcąc, oglądało się jej długie nogi, dopiero potem twarz. – Proszę podać cztery obiady i jakieś wino, panowie pozwolą, mam...

– Wino? – skrzywił się Bax. – Na moją nadkwasotę?

– To może jakaś wódeczka? – pośpieszył tamten. – Dysponuję jarzębiakiem... Zauważyłem, że Borowski zawsze zamiast „mam” mówi „dysponuję”. Brzmiało to pretensjonalnie.

– Prowadzenie pensjonatu jest kłopotliwe – powiedziałem, aby powiedzieć cokolwiek, gdy dziewczyna wyszła.

– Bardzo, proszę pana, bardzo! A przecież prowadzę też zakład fotograficzny! Ale najgorsze są kłopoty z tym... no, takie jak w zeszłym roku... Teraz ta sprawa... Los nie jest dla mnie łaskawy, szanowni panowie!

– Skoro już pan zaczął... – podchwyciłem temat chcąc, aby detektyw zorientował się w jak największej ilości szczegółów dotyczących wypadku. – Gdy zbudził pana krzyk tej biednej kobiety, która mogła być godzina?

– Chyba druga. Usłyszawszy wołanie pani Marii, a właściwie jej przytłumiony krzyk, zerwałem się z łóżka, przebiegłem przez biuro i wypadłem na korytarz. Od razu domyśliłem się, że zaszło coś niedobrego i że chodzi o panią Reszel, bowiem poza nami na parterze nikt więcej nie mieszka. Pchnąłem drzwi i zapaliłem światło. Przyznaję szczerze – wystraszyłem się.

- Czy nie uderzyło pana cokolwiek w wyglądzie pokoju?
 - Nie, nie spostrzegłem nic szczególnego, zresztą patrzyłem tylko na nią. Aha, znalazłem przy jej posłaniu to – wyciągnął z kieszeni jedwabny pas materiału – leżał na podłodze.
 - Czyje to może być?
 - Nie mam pojęcia. Wiele osób nosi podobne, pan Ingemar Swenson, nasz znakomity artysta pan Kowalik, niekiedy redaktor. Ale tego szalika nie widziałem u nikogo.
 - Pani Reszel zauważyła ten przedmiot?
 - Podniosłem niepostrzeżenie. Rozumiecie, panowie, w ubiegłym roku...
 - Wiemy – wtrącił milczący dotąd detektyw. – Identycznym uduszono Rożnowską. Niech pan powie, dlaczego nie wszedł pan do pokoju tej kobiety... natychmiast?
- Mężczyzna nagle zbladł i łyżka, którą trzymał w ręce zadrżała. Opanowawszy zmieszanie zaśmiał się nienaturalnie. – Skąd, jak to... Rzeczywiście! Zaskoczył mnie pan! Tak, w samej rzeczy zaważałem się i zatrzymałem, ze strachu, ze zwykłego strachu!
- Drzwi były otwarte?
 - Tak. I to było najdziwniejsze.
 - A więc nie ze strachu – przerwał Bax – lecz z przestrogi. Zdziwiło pana, że nie są zamknięte? Pomyślał pan, że pańska pracownica została... zamordowana?
- Borowski zmierzył detektywa raczej czujnym spojrzeniem.
- Zgadza się, tak pomyślałem, ale faktem jest, że jednocześnie bałem się. Skąd mogłem wiedzieć, czy morderca nie czał się za drzwiami? Co w tym dziwnego, że odczuwałem lęk?

- Ależ nie! Ja na pana miejscu wiałbym, gdzie pieprz rośnie!
- Borowski spojrział na detektywa z powątpiewaniem nie wiedząc, czy żartuje, czy mówi poważnie, w każdym bądź razie nastrój zmienił się. Postanowiłem to wykorzystać.
- Czy wszyscy goście z lipcowego turnusu opuścili pański pensjonat?
- Tak, poza państwem Kowalikami, którzy zostali na sierpień. Reszta wyjechała wczoraj, ostatni goście wieczorem.
- Ma pan już komplet?
- Oczywiście, wszyscy zresztą to znajomi z ubiegłego roku. Wygodniej mieć stałych klientów. Są państwo Swensonowie z synem, jest drugi pan Swenson ze Szwecji. Z Norwegii przyjechał pan Nillson, ich przyjaciel. To nadzwyczaj kulturalni ludzie...
- Kogo ma pan jeszcze?
- Jest pan redaktor Milewski, dusza każdego towarzystwa i przeuroczy człowiek! Przyjechała także panna Czado, wspaniała dziewczyna. Oni, rozumiecie, panowie – ściszył głos – mówię to w zaufaniu, sympatyzują ze sobą... Co za głowa!
- Redaktor?
- Nie, panna Bożena. Wykonałem w zeszłym roku kilka jej portretów, cudowne zdjęcia, gdyby panów interesowała fotografia...
- Mnie interesuje bardzo – szybko wtrącił Bax. – Jestem wręcz zapalonym kolekcjonerem dobrych zdjęć, gdybym mógł otrzymać kilka...
- Sprezentuję panu cały komplet! Pokażę też inne prace. – Widać było, że właściciel „Rybitwy” emocjonował się swoim zajęciem. – A wracając do rzeczy – następni goście, państwo

Kowalikowie, on znany artysta malarz, ona sympatyczna i miła kobieta. Wreszcie doktor Połtyka, mądry i poważny młodzieniec. Wszyscy przyjechali, nikt nie zawiódł...

– Nie zawiódł? – zdumiałem się.

– Umawiamy się listownie, gdy ktoś w ostatniej chwili rezygnuje, jestem w kłopotcie. My, właściciele prywatnych pensjonatów, staramy się mieć stałych klientów, człowiek przyzwyczaja się. Zwłaszcza w mojej sytuacji, gdy jestem sam...

– Szkoda, że wszystkie miejsca zajęte – powiedziałem zrezygnowany. Detektyw wyraźnie podkreślał przez drogę, jak bardzo zależało mu na tym, aby mieszkać w „Rybitwie”. – Mój przyjaciel, naukowiec z Uniwersytetu Warszawskiego, chciałby spędzić w Świnoujściu dwa, trzy tygodnie – aby poduczyć się języka szwedzkiego, szkoda... W duchu liczyłem, że może Borowski wynajdzie jakiś kątek. Nie pomyliłem się.

– A ja myślałem, że pan jest psychologiem – zakrzyknął mężczyzna. – Jest wolny pokój, nieduży, ale wygodny i przytulny, na drugim piętrze, tyle że od podwórza i stąd trochę ciemnowy, dlatego go nie wynajmuję, ale gdyby panu odpowiadał...

– Zgoda – skwitował detektyw. – Kawałek łóżka i jakiś stolik do pracy – nic więcej w czasie urlopu mi nie potrzeba.

– Ja, chociaż mieszkam nad morzem, od lat nie wiem, co to urlop! – przyochlebił się Borowski. – Jest tam wygodna amerykańska, wstawię małe biurko, a jakże! Tylko... płatne z góry.

Bax sięgnął po portfel. Gdyby miał liczyć tylko na swoje cztery tysiące, musiałby już od jutra przestać jeść. Chociaż pokój był mały i ciemny facet zdarł za niego właśnie równe cztery tysiące.

Odetchnąłem jednak wiedząc, że mój przyjaciel w swojej pracy zawsze chciał być jak najbliżej miejsca przestępstwa. Pierwszy krok został zrobiony.

Wracałem do Szczecina pozostawiwszy detektywa sam na sam... hm... czy ja wiem z kim? Biedny Arystoteles! Denerwował mnie niekiedy mocno, zżymałem się, na szczęście przeważnie w duchu, na jego uporczywe kpiny z milicji i wielu innych spraw, z których zwykli śmiertelnicy z reguły nie żartowali, ale teraz? Zamyśliłem się. Wiedziałem z dawniejszych doświadczeń, że zwracając uwagę na psychologiczną – powiedziałbym – stronę sprawy, nie pamiętał często o własnym bezpieczeństwie. W Józefowie został postrzelony w ramię, w Warszawie dwukrotnie oberwał po głowie, raz wylądował nawet w szpitalu, o wielu mniejszych perturbacjach nie ma sensu wspominać – a przecież bandzior z „Rybitwy” nie należał do najsztelniejszych. Będę musiał – postanowiłem – zorganizować dyskretną ochronę. W końcu to ja wciągnąłem go w tę zabawę. Niezła łamigłówka, nawet dla Baxa... Odgadnąć, kto zamordował w ubiegłym roku Rożnowską i kto usiłował dzisiejszego dnia, a właściwie dzisiejszej nocy uśmiercić Marię Reszel. Z zimnym wyrachowaniem, z konsekwentną premedytacją, w obu przypadkach posługując się środkiem nasennym i... kawałkiem jedwabnego materiału.

5.

Wieczór. Pokój znajdował się na poddaszu. Jedna ze ścian pomieszczenia zakończona była mansardą, z której małe okno wychodziło bezpośrednio na dach. Jak wyjaśnił właściciel pensjonatu, sąsiednie pomieszczenie, środkowe, zajmowała

studentka, dwa pokoje od frontu zaś, nazywane szumnie apartamentem – posiadały bowiem osobną łazienkę – dziennikarz z Warszawy, Milewski, sąsiedni pokój z lewej strony, również od podwórza, należał do młodego lekarza z Poznania, Portyki.

Detektyw pozostawił bagaż i rozejrzawszy się wyszedł na korytarz. Dwugodzinna drzemka, konieczna po zwariowanej nocy spędzonej w szczecińskiej Kaskadzie sprawiła, że czuł się dobrze. Szedł na ważne spotkanie. Pierwszy raz w życiu miał ujrzeć... Bałtyk.

W pensjonacie było pustawo. Goście korzystając z wieczornych spacerów i pięknej pogody opóźniali nawet kolację, obsługa krzątała się gdzieś w swoich pomieszczeniach.

Promenada. Szerokie, wysypane żółtym żwirem aleje, starannie utrzymane trawniki z wymyślnymi kompozycjami różnobarwnych kwiatów, prostokąty, kwadraty i koła z astrów, róż i bratków. Wykładane cementowymi płytkami przejścia przez wydmy, na nich nieznanne krzewy o cudacznych, dziwnych kształtach, sporo karłowatych drzew, jakieś zagajniki i długie pasma trzciny czy trawy, czegoś w każdym bądź razie zielonego i wysokiego. Nie wielki pomost, schody, molo. Łagodnie oświetlone, tonące w zamglonych smugach światła. Ludzie, sporo ich, a wokół jednak cisza, rozmowy toczone półgłosem. Ogrom morza przytłaczał. Stalowszarą, mroczniejącą coraz bardziej wodę, rozjaśniały z lewej strony światła pobliskiego Albecku, miasteczka położonego już w NRD, z prawej latarnia-staruszka. W oddali pohukiwały holowniki i zawodziły pojedyncze syreny okrętowe. Bałtyk był morzem żywym i pełnym ruchu.

Arystoteles Bax, nieco ochłonawszy i przywykwszy do wspinałego widoku, poczuł się wkrótce tak, jakby urodził się nad tą

wielką wodą. Może dlatego, że mała miejscowość na Polesiu, w której się urodził, leżała wśród ogromnych rozlewisk, tam spędził dzieciństwo, potem dwa krótkie urlopy. Teraz Bałtyk...

Usiadł na drewnianej ławce. Była pusta, stało ich zresztą wiele, dwa długie rzędy. Chwila zamyślenia i kontemplacji. Powietrze niczym łyk zimnej, źródlanej wody o dwunastej w południe na Saharze. W jakiejś małej księgarni warszawskiej zdobył starą broszurkę o Świnoujściu. Dowiedział się z niej o nadmorskim mikroklimacie, jodzie, aerozolu i unikalnych właściwościach klimatycznych Zatoki Pomorskiej. Nie było w tym przesady – tutaj płuca oddychały naprawdę!

Na molo snuli się ludzie, przeważnie parami, zrozumieli. Wy-marzone miejsce dla zakochanych. Grupkami chodzili starsi, głównie pacjenci miejscowego uzdrowiska. Wczasowicze i turyści zjeżdżali tu z całego kraju: górnicy, hutnicy i metalowcy z zadmionego Śląska i Zagłębia, tkacze z Łodzi, mieszkańcy stolicy i innych dużych miast, zatłoczonych i hałaśliwych. Przyjechali leczyć się i odpoczywać nad swoim morzem. Było też wielu obco-krajowców.

Na molo weszła wysoka dziewczyna. „Nieźle nogi” – pomyślał detektyw obserwując jej postać. Stała, rozejrzała się, podeszła do balustrady i oparła się o nią. Mniemanie młodego człowieka o jej dolnych kończynach ugruntowało się. „Mini moda przeżywa wzloty i upadki, ale ogólnie jest fajna”. Dziewczyna patrzyła przez kilka minut na filuterne migotanie latarni, potem rozejrzała się jeszcze raz i... zaczęła iść w stronę ławki, na której spoczywał detektyw. Do diabła! Czyżby przeznaczenie?! Siła wzroku?!

Idioto, zwyczajny przypadek, ślepy zbieg okoliczności...

Dziewczyna usiadła na drugim końcu ławki i teraz dopiero detektyw mógł osądzić, że była nie tylko zgrabna. Odetchnął, a potem... zmartwił się. Wiedział, że choćby miał na tej ławce przesiedzieć z piękną dziewczyną całą noc, a nawet jeszcze następny dzień – nie odezwałby się pierwszy. Nie szkodzi, jest blisko i można ją obserwować kątem oka. Nieśmiałość, ta cholerna nieśmiałość! Inni zaczęli od pogody lub innych bzdur, ale zaczęli, on mógłby o tym samym albo o tysiącu podobnych rzeczy, znacznie mądrzejszych i ciekawszych, nie pozwalała na to jednak trema, paraliżująca umysł, odbierająca odwagę, trema najgorszego gatunku, bo wrodzona. Może dlatego, mimo swoich trzydziestu kilku lat, był kawalerem? Gdzie ci mężczyźni!...

Dziewczyna założyła nogę na nogę i dla detektywa stało się jasne, że miała zamiar posiedzieć na tej ławce dłużej. Oczekiwała kogoś? Nie, takie dziewczyny nie musiały czekać, to jasne. Wyciągnąwszy ów prosty wniosek obserwował z boku zgrabny profil. „Teraz czas powinien stanąć w miejscu... Ale nogi!”

Naraz piękność przysunęła się bliżej, zupełnie jakby zamierzała coś powiedzieć. Detektyw najchętniej skoczyłby do wody, ale sparaliżowało go i pozostał na swoim miejscu.

– Przepraszam pana – miękki głos z pewnym opóźnieniem dotarł do przytępionej świadomości młodzieńca w okularach – jesteśmy, zdaje się, sąsiadami?

Przywołał na pomoc całą taśmę pamięci, a miał ją doskonałą, zwłaszcza wzrokową. Nie, co ona opowiada, widział ją z całą pewnością po raz pierwszy! Chociaż szkoda, zaraz wyjaśni się ta

pomyłka i dziewczyna sobie pójdzie... Sąsiadka? Mieszkał w Warszawie z ojcem, w willi na ulicy Rodzynekowej na Siekierkach, ulica ta poza wieloma innymi, cechami odznaczała się także i tym, że leżało przy niej kilkanaście domów, dość odległych od siebie. Jaka więc sąsiadka? A może zamieszkała od niedawna w którymś z pobliskich domów? No bo...

– Mówiłam, że jesteśmy sąsiadami – powtórzyła dziewczyna i Bax odzyskał wreszcie jaką taką jasność umysłu. Nie mógł jednak zdobyć się na sensowną odpowiedź.

– W tej chwili... – wykrztusił – jesteśmy sąsiadami... na pewno.

– Nie tylko.

– Proszę wybaczyć, żałuję, ale to... pomyłka, gotów jestem... – Nie był w stanie zachować zimnej krwi w obecności kobiet, które go zainteresowały. Na szczęście nie było ich wiele.

– Mieszkam w „Rybitwie”, na drugim piętrze – kontynuowała spokojnie dziewczyna. – Widziałam, jak pan wchodził z panem Borowskim do swojego pokoju, czyżbym się omyliła?

„Stary dureń! Przecież to jasne!”

– Pani... Bożena Czado? – poderwał się z ławki i wyciągnął rękę. – Nazywam się ... Ar... Artur Kowalski.

– Bardzo mi miło – powiedziała dziewczyna. – Mnie pan już zna, chyba pan Borowski wspominał? Przemięły człowiek! Czy pan wie, że robi doskonałe zdjęcia? Fotografował mnie w ubiegłym roku, kilka prac zamierzał wysłać na jakąś wystawę, nie zgodziłam się...

– Rozsądnie pani postąpiła. Na tej „Venus”, czy jak jej tam, często kradną...

– Ależ, proszę pana! Fotografował tylko moją głowę, portrety, nie słyszał pan?

Detektyw chciał powiedzieć, że nie tylko słyszał, ale nawet jeden komplet owych portretów ma już obiecany – ugryzł się jednak w język.

– Przepraszam, nazwijmy to gafą, dobrze?
– Nie szkodzi. Pan pierwszy raz w Świnoujściu?
– W ogóle pierwszy raz nad Bałtykiem. Piękne morze...
– To powinien pan przejść chrzest...
– Jaki?
– Napić się morskiej wody.
– Wypiję pół morza, ale pod warunkiem, że później napijemy się czegoś wspólnie – wyrzucił z siebie detektyw bez namysłu. „Udało się! Nareszcie coś zręcznego”.

– Ma pan niezły refleks. Nie odmawiam, tylko że piję wino... Słyszał pan o tym wypadku?

– Owszem, wspomniał pan Borowski. Często tu tak?
– Niech pan nie żartuje! W ubiegłym roku mieliśmy prawdziwe morderstwo, wie pan?

– Wiem. Smutna historia. Często pani przyjeżdża do Świnoujścia?

– Jestem tu drugi raz. Pan przypadkiem nie... z milicji?
– Boże uchowaj! Czyżby moja fizjonomia...
– Nie, tylko mówi pan dziwnie. Ale co milicja robi? Dlaczego nie wykryli sprawcy?

– Statystycznie nie jest najgorzej, cóż...
– Biedna pani Reszel!... Ciekawe, czy teraz złapią tego typa. Cóż ona komu winna? Taka spokojna i miła kobieta.

– Racja – detektyw zaczął odzyskiwać zwykły rezon. – Powinni udusić kogo innego, na przykład któregoś ze Szwedów lub chociaż... redaktora Milewskiego.

Dziewczyna na owe słowa zareagowała tak, jakby w ławkę strzelił piorun. Mimo wieczornego mroku widać było, jak zbladła i jak zaczęła szybko oddychać. Jej duże oczy stały się jeszcze większe, we wzroku malowało się przerażenie. Detektyw pochwycił jej rękę.

– Co się stało? – sam został wytrącony z równowagi reakcją studentki. – Przepraszam, ale...

– Nic, nic, już dobrze. Przeraziłam się... Przypomniał mi się ten straszny wypadek z ubiegłego roku...

– Jeszcze raz przepraszam, nie był to mądry żart...

– Już dobrze. Pan z Warszawy?

– Tak.

– Słyszał pan o redaktorze Milewskim?

– Słyszałem i widziałem w telewizji, czytuję też jego artykuły w prasie sportowej, dobre pióro...

– Prawda? – ucieszyła się dziewczyna. – Znamy się z nim i dlatego, kiedy wymienił pan jego nazwisko, przeraziłam się. Ma pan ochotę na spacer?

– Z największą przyjemnością, może pójdziemy plażą? Ten chrzest...

– Za karę powinien pan wypić całe morze.

Wstali i schodkami zeszli na ciepły jeszcze piasek.

Dziewczyna zdjęła sandały i wzięwszy je w ręce pierwsza wstąpiła na przybrzeżną płyciznę. Detektyw ogarnął jej zgrabną sylwetkę jednym spojrzeniem. Nie słyszał nawet chrzęstu piasku usuwającego się spod stóp.

Woda była ciepła, małe fale łagodnie ocierały się o nogi i chłodziły ciało. Szli tak kilometr, dwa, mijając licznych spacerowiczów. Rozmawiali mało, wieczór nad morzem nie skłaniał do głośnych rozmów i hałasu, ogromna płaszczyna wody skłaniała

do rozmyślań i marzeń, choćby o byle czym. Doszli prawie do granicy państwowej, aż pod budkę i wieżę, w której ciemniały głowy wopistów. Zawrócili.

– A chrzest? – dziewczyna zatrzymała się. – Niech pan pije w tym miejscu, trochę polskiej, trochę niemieckiej.

– Najpewniej to ona jest szwedzka, fale płyną z północy, wszystko mi jedno – zbliżywszy się do brzegu nabrał w dłonie wody i wypił jednym łykiem, była mdła i słonawa, ale nie tak słona, jak wynikało z tego, co słyszał.

– Jest pan swój. Jak spacer?

– Piękny. Wieczór nad morzem, rzeczywiście...

– Musi pan jeszcze zobaczyć wschód słońca – powiedziała i zmierzyła detektywa przyjaznym spojrzeniem. – Nie nudzę pana swoją gadaniną?

Zaprzeczył, gorliwie i szczerze. Wracali. Kontury mola. Dziewczyna włożyła sandały, skręcili ku przejściu. Promenada nadal tętniła wieczornym gwarem beztroskich wczasowiczów, jarzyły się na niej setkami okien większe i mniejsze pensjonaty, domy wczasowe, sanatoria, nastrój urozmaicały różnobarwne, przyćmione latarnie. Rozstali się w hallu pensjonatu jak starzy znajomi, studentka skręciła do świetlicy-jadalni, detektyw zaś, myśląc intensywnie o nowej znajomości i o tym, co było prawdziwą przyczyną nagłego przerażenia dziewczyny – skierowawszy się ku schodom omal nie zderzył się z palmą.

6.

Pierwszy dzień sierpnia stał się okazją do wzajemnego zapoznania, zorganizowano bowiem w „Rybitwie” –

wzorem zresztą tysiąca innych domów wypoczynkowych, coś w rodzaju wieczorka z tańcami. Nastrojowe świece, kawa i ciasta, wino, muzyka z magnetofonu.

Kiedy detektyw zszedł na dół, w świetlicy byli już wszyscy mieszkańcy pensjonatu. Panowała familijna atmosfera, znano się bowiem z ubiegłorocznego pobytu. Borowski, spełniający obowiązki gospodarza domu, ubrany w dobrze skrojony, popielaty garnitur, rywalizował bielą kołnierza i mankietów swojej eksportowej wólczanki z koszulami Skandynawów. Mały Olaf Swenson kręcił się wśród stolików, przy pianinie zasiadał od czasu do czasu jego stryj Ingemar. Grał nie najgorzej.

W pierwszej chwili, gdy zawisły na nim spojrzenia wszystkich gości „Rybitwy”, detektyw poczuł się skępowany. Opanował się, chociaż nie przyszło mu to łatwo, i zajął wskazane miejsce. Obrzucił wzrokiem mężczyznę siedzącego przy pianinie. Był wysoki, sztywny, szpakowaty, przypominał stuprocentowego dżentelmena angielskiego, grał niedbale fragmenty znanych arii operetkowych. Jego brat, podobny do niego, był jednak niższy. Pani Swenson posiadała urodę typowej Szwedki, proste blond włosy, uśmiechniętą twarz. Pachnąca czystością i dobrymi perfumami, oglądała się nieprzerwanie za wszędobylskim Olafem.

„Ten to Połtyka” – detektyw zerknął na młodego, tęgawego mężczyznę w potężnych okularach, których oprawą można by odzielić z pięć par owych przyrządów. Lekarz silił się na powagę, szło mu nietęgo, być może przeszkadzał mu w tym strój, flanelowa koszula i zwykłe, granatowe dżinsy.

Przy oknie, zajęci rozmową, stali dwaj mężczyźni. Jeden o wyglądzie starszawego i nobliwego urzędnika, z krótką hiszpańską bródką oraz fajką, drugi, młodszy, odznaczający się niedbałą

elegancją, w jasnym garniturze. „Peter Nillson i redaktor Milewski” – skonstatował w myśli detektyw. „Milewski wygląda najwyżej na czterdziestkę, chociaż w rzeczywistości ma pięćdziesiąt dwa lata” – młody człowiek przypomniał dane z akt sprawy. „Przystojny facet”.

Studentka prezentowała się inaczej. Szykowna sukienka koloru kawy z mlekiem kontrastowała przyjemnie z brązem jej opalenizny. „Ależ dziewczyna!”.

„Państwo Kowalikowie” – tak ich wszyscy nazywali. On, mężczyzna w średnim wieku, z czarnymi, ani chybi farbowanymi włosami i wąsem, też kruczym, ubrany w cudacznego kroju i barwy marynarkę, szyję miał, a jakże, owiniętą kolorowym szalikiem. Kolor jego twarzy, a zwłaszcza nosa, świadczył o braku pogardy dla określonych napojów. Ona, niewątpliwie starsza od małżonka – „no tak, racja, ponad dziesięć lat” – starała się wyraźnie podkreślić swoją rolę „dobrego ducha” artysty i opiekunki. Robiła to z wyczuwalną natarczywością, denerwowało to niekiedy obiekt jej wylewnych czułości, ale malarz panował nad Sobą.

Właściciel przedstawiwszy nowego pensjonariusza słowami: „Pan Artur Kowalski, naukowiec ze stolicy” – zaprosił wszystkich do stolików i z zawodowym uśmiechem wniósł banalny toast. Pogody, przyjemnego wypoczynku, zadowolenia z pobytu, no i mniej wiadomych wrażeń. I dużo, dużo słońca, a także takiej pięknej opalenizny, jaką dysponuje urocza panna Bożena.

Okazało się, że Maria Reszel wstała już z łóżka, snuła się bokiem między stolikami i pomagała Różycze usługiwać gościom. Podano wino i detektyw uśmiechnął się w duchu dostrzegłszy

grymas niechęci na obliczu malarza.

O czym myślał ci ludzie? – zastanawiał się między jedną lampką wina a drugą. Jest wśród nich morderca i oni o tym doskonale wiedzą, zwłaszcza po dzisiejszej nocy. Owa świadomość pewnie ich prześladowa, jednak godzą się z nią, udają, że nic nie zaszło. Dlaczego? Dlaczego nikt nie zbuntuje się, nie wybuchnie, nie ucieknie? Przybrawszy maski spokojnych wczasowiczów oczekują na coś, czuje się to wyraźnie. Na co czekają? Aż przyjdzie milicja i aresztuje zbrodniarza? Czy też na to, że zostanie popełnione nowe morderstwo? A jeśli tak, czy wiedzą na kim? Bzdura, nic nie mogą wiedzieć, poza jednym z nich. Ten, rzecz jasna, wie... Potrzeba kilku dni, aby wleźć w skórę każdej osoby, zrozumieć, co myśli. Czy to się uda? Przede wszystkim czy nie zostanie za szybko rozszyfrowany? Gdyby to nastąpiło już teraz, miałyby znacznie utrudnione zadanie. Ludzie nie lubią detektywów, tak samo jak nie lubią milicjantów... Musi się jak najdłużej maskować, zresztą naprawdę będzie uczył się szwedzkiego...

Albo – niedoszła ofiara – Reszel, ta już prawie staruszka – snuł swój wywód Bax. Teraz krzątała się wśród nich i być może, zaraz – jakie być może? Na pewno – a więc na pewno podawała kawę czy coś innego temu, który przed kilkunastoma godzinami próbował ją... udusić! Br... Dwudziesty wiek, centrum Europy, wielka cywilizacja, bezkonfliktowe społeczeństwo, spokojna Polska i... taka sytuacja! Do licha! A jeśli w zмовie było więcej osób, dwie, trzy, cztery?...

Rozmawiano po niemiecku. Detektyw stwierdził, że Szwedzi i Norweg władali tym językiem doskonale, ze znakomitym akcentem, co nawet dziwiło jego czułe i znające się na rzeczy ucho.

Borowski mówił niezłe, chociaż z gwarowymi naleciałościami, dziennikarz płynnie, także z nienagannym akcentem, artysta tak jak Ślązacy, mieszając słowa polskie i niemieckie, jego żona z kolei posługiwała się bliżej nieokreślonym wołapikiem, studentka znała niemiecki słabo, a lekarz dukał piąte przez dziesiąte. Sam Bax znał język Goethego niezłe, nie gorzej niż Skandynawowie czy Milewski, nie włączał się jednak do dyskusji – a jeśli już – to przekręcał umyślnie co trzecie słowo.

Po paru lampkach niezłego wina temperatura uroczystości, za chłodnej jak na wieczorek zapoznawczy, podniosła się. Artysta przyłgął do Borowskiego, mieli wspólne zainteresowanie, jak się okazało – akty. Jeden malował, a drugi fotografował. Żona malarza zajęła się na odmianę lekarzem, w ich rozmowie określenie „panie doktorze” padało kilka razy w każdym zdaniu. Medyk nie wymawiał r, co wychodziło zabawnie, tym bardziej ce lekarz traktował swoją interlokutorkę z wyniosłością godną dystansu dzielącego przedwojennego hrabiego i służącą.

– Tak dhoga pani, tegohoczny siehpień – perorował – będzie bahdziej upalny niż lipiec, nie twiehdzę tego na podstawie phognoz meteohologicznych, bynajmniej, sąd swój opieham na własnej obsehvacji natuhy

Goście ze Skandynawii interesowali się sprawami handlu, zapotrzebowania rynku w atrakcyjne dla nich artykuły, estetyczne pamiątki, praktycznie nieosiągalne, bo Świnoujście było zawałone szmirą w rodzaju kiczowatych stateczków z bursztynu. Wypytywali o ważniejsze, aktualne wydarzenia kulturalne, kręcili z podziwu głowami nad rozwojem polskiego przemysłu, nad wysokim standardem życia, nad gościnnością Polaków. Zżymali się, zresztą

z kurtuazyjną łagodnością, na niegrzeczną obsługę w sklepach.

Milewski gawędził ze studentką, nieprzerwanie, konfidentycznie, stopień ich zażyłości mógł dawać wiele do myślenia i Bax ze zdumieniem złapał się na podświadomej antypatii do dziennikarza.

– Nie ma dzisiaj mecenasów sztuki – wygłosiła sentencję Kowalikowa. – Artyści zmuszeni są większość swojego czasu poświęcać sprawom przyziemnym, walce o pieniądze. Tworzą w pośpiechu, muszą się liczyć z modą.

Dziennikarz przerwał rozmowę ze studentką. Widać było, że lubił polemizować.

– Wielu malarzy – zaproponował – otrzymuje przecież stypendia, organizuje się dla nich wystawy, plenery. Różne instytucje zakupują ich prace, często bądźmy szczerzy, na nie najwyższym poziomie.

Spojrzenie baby składało się z wyniosłości i pogardy.

– Wiemy coś niecoś na ten temat, panie redaktorze! Oleś od kilku lat ubiega się o stypendium lub zapomogę i nic.

– Pan Aleksander nie maluje tego, co powinien – stwierdził dziennikarz. – Gdyby robił akwarele, byłby zamożnym człowiekiem!

– Panie redaktorze, akwarele! – ton Kowalikowej świadczył, że nie miała wysokiego wyobrażenia o tej dziedzinie twórczości męża. – Groszowe historie.

Dziennikarz uśmiechnął się, chciał coś powiedzieć, ale najwidoczniej doszedł do wniosku, że w kobiecie nie znajdzie godnego partnera do dyskusji, bo zwrócił się do detektywa, pragnąc wciągnąć go do rozmowy.

– Dowiedziałem się, że jest pan ze stolicy, miło mi powitać rodaka. Jak się panu tutaj podoba?

Trafił jak kulą w płot. Bax nie zważał nigdy na konwenanse, nie znał ich zresztą, toteż powiedział:

– Miasto i pensjonat niczego sobie, morze wspaniałe, ale jak pomyślę, że mogę zostać w nocy napadnięty i uduszony – ogarnia mnie niezbyt przyjemne uczucie... Tak, panie redaktorze...

Zapanowała konsternacja. Dziennikarz zadał pytanie po polsku i takąż otrzymał odpowiedź, cudzoziemcy musieli domyślić się, że nowy gość „Rybitwy” powiedział coś oryginalnego, zaskoczenie pozostałych Polaków było jednoznaczne, unieśli głowy i patrzyli. Jedynie studentka nie zmieniła wyrazu twarzy.

– „Ciekawe, jak zachowuje się ta dziewczyna – pomyślał Bax. – Na molo przeraziła się, tutaj udaje, że nie słyszy”.

– Pańskie obawy są nieuzasadnione – przerwał ciszę medyk.
– Sphawą zajęły się ohgana śledcze, miejmy nadzieję, że hychło wyświetlą tę niewątpliwie ponuhą zagadkę.

„Bałwan” – skwitował detektyw w duchu krasomówczy popis lekarza.

– Oby nie tak jak w poprzednim roku! – podtrzymał temat dziennikarz. – Nie mam zaufania do naszych, jak pan to nazwał, organów śledczych. Zgadza się pan ze mną? – pytanie skierował znów do detektywa.

„Uwziął się na mnie – pomyślał Bax – poczekaj, bratku”. Odpowiedział:

– Całkowicie. Z ust mi pan to wyjął! Owa... szachowa łami-główka jest widocznie za trudna dla naszej służby kryminalnej.

Dziennikarz drgnął i jego śniade policzki pokryły się gwałtownie bledością. Zakrzusił się winem. Opanowawszy się rzekł:

– O czym pan mówi? Co z tym wszystkim mają wspólnego szachy?

– Powiedziałem tak sobie. Czytuję gazety, znam pańskie zainteresowania, redaktorze.

– Aaa! – dziennikarz wyszczerzył w uśmiechu zęby, których mógłby mu pozazdrościć amerykański aktor filmowy. – Pan grywa? – spytał z dość obojętną uprzejmością. Jego wzrok nie przestał być jednakże czujny.

– Nie, rozwiązuję tylko zadania, niejedną godzinę spędziłem nad pańskimi kompozycjami z „Szachów” i dzienników. Są trudne i pomysłowe.

– Dziękuję, układam je od lat, dla przyjemności i dla... chleba. Nie próbował pan grać?

– Sam z sobą, zawsze przegrywałem, he he he! Moje zdolności przewidywania kończyły się zawsze na trzecim ruchu.

– Jak to dobrze, że pan nie gra! – wtrąciła naraz studentka. – Będę miała towarzysza na okres, kiedy ci panowie zostaną znowu pochłonięci tym szaleństwem!

Detektyw udał zdziwienie, aktorem był raczej miernym, ale że nie miał najinteligentniejszej gęby, uszła mu owa mistyfikacja.

– Zorganizowaliśmy w ubiegłym roku turniej – wyjaśnił dziennikarz. – Graliśmy o nagrodę ufundowaną przez naszego przemiętego gospodarza, o srebrny puchar i o butelkę koniaku, oryginalnego napoleona kupionego za nasze składki. Dobrze, co? W tym roku zamierzamy powtórzyć rozgrywki, może pan wziąć w nich udział...

– Jestem bez szans, poza tym nie dokładałem się, dziękuję. Przyjechałem tu zresztą, żeby popracować, zamierzam poznać język szwedzki. W przyszłym roku kroi mi się wyjazd do Sztokholmu...

- Ładny wypoczynek!
- Przyzwyczajenie. Poza tym słyszał pan, redaktorze, co powiedziała panna Czadu? Gdybym wierzył, że mówiła poważnie, wyrzekłbym się nie tylko szachów, ale i szwedzkiego!
- To jest argument! Chociaż języka naszych północnych sąsiadów nie nauczył się pan w ciągu miesiąca.
- Spróbuję. Ciekawym partiom będę jednak asystował, bo lubię, ale tylko wtedy, gdy panna Czado będzie miała mnie dość.
- Zatem nie obejrzy pan żadnej partii!
- Oj, Bożeno – w głosie dziennikarza zabrzmiała żartobliwa przygana. – Jeśli tak, będę musiał zrezygnować z gry...
- Jak uważasz. Mam chodzić po tym pięknym kurorcie sama? I może sama leżeć na plaży?
- Niech zadecydują inni. – Milewski spojrzął na Skandynawów.
- Gra bez pana straciłaby wiele – rzekł starszy z braci. – I jest pan do tego faworytem. Puchar już w zeszłym roku powinien stać się pańską własnością.
- Pan nie wygrał? – udał zdziwienie Bax.
- Niestety, przegrałem z panią... Rożnowską.
- Co?! – Bax jakby wpadł w swoją rolę. – Uważam pana za jednego z lepszych polskich szachistów, a pan przegrywa z kobietą?!
- Słodka porażka – uśmiech dziennikarza był wymuszony. – Ta pani grała znakomicie. Nie oddała zresztą żadnej partii, a trzeba panu wiedzieć, że nasi mili goście ze Skandynawii są również doskonałymi szachistami. A wreszcie inni, pan Borowski, pan Kowalik – ostatnie nazwisko wymienił z ledwie wyczuwalną nutą ironii.

- Rożnowskiego nie było?
 - Był, ale nie chciał grać, wyjeżdżał co drugi, trzeci dzień do Szczecina. Rozłożyłby nas wszystkich. Nie zagra pan?
 - Nie, dziękuję.
 - Szkoda, jest nas siedmiu, nie do pary...
 - To ja zagram! – wykrzyknął mały Olaf.
 - Uspokój się! – skarciła go matka.
 - Niech gra – poparł chłopca dziennikarz. – Dużo umie, jak na swój wiek. W ubiegłym roku toczył poza konkursem ciężkie boje...
 - Wygrałem z panem doktorem! – pochwalił się głośno chłopiec, czym wywołał na obliczu matki gniew, na twarzy medyka zaś rumieniec.
- Pozostała część wieczoru upłynęła na podobnych., rozmowach, o szachach, pogodzie, o byle czym. Wypito jeszcze kilka butelek wina, trochę tańczono...

7.

Następne dni biegły zwykłym trybem. Słońce dopisywało, goście „Rybitwy” jak inni urlopowicze przebywali od rana do późnego popołudnia na plaży. Przychodzili jedynie na obiady, rozgrzani, opaleni, niektórzy spieczeni słońcem niczym przysłowiowe raki. Na plażę nie chodzili jedynie Kowalikowie. On, zamieniwszy jeden ze swoich pokojów na pracownię, malował dość udane pejzaże, martwe natury, bezpretensjonalne i z powtarzającym się motywem kwiatowym, niekiedy męczył się nad aktem? złym nie dlatego, że modelem była jego żona, lecz dlatego, że ten rodzaj malarstwa uprawiał wyraźnie niechętnie i z

widocznym przymusem, W wolnych chwilach małżeństwo okupowało stoliki w licznych, pustawych we dnie kawiarniach.

Czwartego dnia pobytu w Świnoujściu Arystoteles Bax, dzierżąc pod pachą gramatykę i słownik języka szwedzkiego, maszerował główną ulicą miasta ku poczcie. Wszedłszy do gmachu zamówił telefon do Szczecina. „Centrala Komendy Wojewódzkiej? Z majorem Szymańskim... Paweł? Cześć! Co słychać? Nieźle, piękna pogoda. Roźnowski, potrzebuję Roźnowskiego, tak, u ciebie, jutro, będę w Szczecinie osobiście, z rana, wodolotem, pogadamy o wszystkim, cześć”. Detektyw starał się nie narażać skarbu państwa na niepotrzebne wydatki i dlatego od razu położył słuchawkę, chociaż za minutę rozmowy płacił tak samo jak za trzy.

Jazda wodolotem sprawiła młodemu naukowcowi dużą satysfakcję. Pojazd mknął nad powierzchnią wody niczym rakietą, niekiedy zakolebał się z lekka, niekiedy zwolnił, a potem znów unosił swój dziób i szumiał potężnymi silnikami. Trasa ze Świnoujścia do Szczecina, przez Zalew Szczeciński, licząca około siedemdziesięciu kilometrów, została pokonana w równą godzinę. W porcie morskim czekał na detektywa wóz z komendy.

Powitałem przyjaciela w biurze.

– Jak twoja partia? – zapytałem.

– Ruch ma przeciwnik, a ja – jak widzisz – gramatyka i słówka.

– Z szachami koniec?

– Dopiero początek! To mądra gra. Dlatego nie zalecam jej swoim ludziom...

– Roźnowski będzie za parę minut – zerknąłem na zegarek. – Wezwaliśmy go zgodnie z twoim życzeniem, chcesz protokolan-ta?

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Oj, to słońce... Ten facet nie przychodzi, aby przyznać się, do zamordowania własnej żony. Magnetofonu także nie włączaj, szkoda taśmy... Chyba, żeby się zechciał przyznać.

W drzwiach stanął jeden z moich pracowników.

– Jest Roźnowski, obywatelu majorze! – zameldował.

Mężczyzna mógł mieć około pięćdziesięciu lat, sprawiał wrażenie człowieka, któremu powodziło się lepiej niż przeciętnemu obywatelowi. Na mój zapraszający gest zajął miejsce w fotelu, przyjął bez zastanowienia papierosa, zapaliliśmy. Był spokojny, nie drgnęły mu nawet końce palców. Na detektywa ledwie spojrział. Ten zmienił się nie do poznania, chociaż tylko schował okulary i uczesał się gładko. Czyniąc tak nie potrzebował już żadnej charakteryzacji, wyglądał bowiem zupełnie inaczej. Postąpił tak na wszelki wypadek, Roźnowski mógł przecież przyjechać do Świnoujścia...

– My jeszcze w sprawie żony... – rozpocząłem niezręcznie, widząc, że Bax nie kwapi się do rozmowy. – Kolega chce zamienić z panem parę słów...

Roźnowski obrzucił detektywa trochę dłuższym, dość uważnym spojrzeniem.

– Jest coś nowego? – zapytał.

– Nic szczególnego. – Bax bez szkieł wyglądał dziwnie, przede wszystkim jakoś żałośnie. – Tylko kilka pytań... Dlaczego w ubiegłym roku nie brał pan udziału w turnieju szachowym w „Rybitwie”?!

Zanim dotarła do mnie treść owego pytania, zdumiałem się reakcją Roźnowskiego. Zadygotały mu ręce, zgasił papierosa, właściwie rozgniół go w popielnicze. „Coś w tych szachach jednak jest” – oceniłem.

– Moje pytanie nie było jasne? – ponaglił detektyw, kiedy mężczyzna milczał.

– Ależ nie! – wyrzucił z siebie wreszcie. – Proszę wybaczyć, zaskoczył mnie pan, siedłem przygotowany na coś w rodzaju... przesłuchania, to znaczy złożenia... dodatkowych zeznań.

– Powiedzmy, że dobrze się pan nastawił. Słucham.

Kolejne sekundy milczenia sprawiały wrażenie, jakby Rożnowski pragnął zyskać na czasie. Potwierdziły to jego słowa.

– Nie rozumiem, co szachy mają wspólnego... ale jeśli pan sobie życzy... No, więc w zasadzie nie miałem urlopu, w ogóle nie miewam urlopów, prowadzę prywatny interes, prawie codziennie musiałem być w Szczecinie, poza tym wie pan, szachów mam dość na co dzień, to znaczy jesienią i zimą, w sezonie sportowym, resztą wycofuję się z gry wyczynowej, są młodsii...

Mówił chaotycznie. Inaczej Bax.

– Jaki poziom reprezentowała żona?

– Świętej pamięci Natalia grała dobrze, nawet bardzo dobrze jak na kobietę. W mistrzostwach Polski pań miałyby duże szanse, nie startowała jednak... Znała dokładnie teorię, pomagała mi w rozpracowywaniu wielu partii, jeździła ze mną na zawody, także i zagraniczne. Pomocy technicznej dla szachisty nigdy nie jest za dużo...

– Co pan powie o poziomie pozostałych uczestników owego wczasowego turnieju?

– No cóż, redaktor Milewski jest dobry, uważam, że gra ryzykownie, ale takim zawodnikom wychodzą niekiedy piękne partie. Znakomicie grał także Norweg.

– A pozostali?

– Szwedzi nie byli źli, ale brakowało im meczowego doświadczenia i odporności psychicznej, reszta to amatorzy, bez; znajomości zasad wyższej teorii szachowej. Właściciel pensjonatu, pan Borowski, jak na niezawodowca miał dobre końcówki, ale nie wykorzystywał ich, jak należało. Brak solidnych studiów...

– Żona pokonała wszystkich?

– Nie, pozostała jej jeszcze do rozegrania partia z Norwegiem, panem Nillsonem, ta gra miała zadecydować o zwycięstwie w całym turnieju, z tym że żonie wystarczył remis, adwokat bowiem stracił cały punkt z Milewskim.

– Gdyby przegrała?

– Musieliby we trójkę rozegrać dodatkowe partie. Norweg, Milewski i żona mieliby po jednej przegranej...

Rożnowski mówił spokojnie, wyglądało, że na tej wodzie czuł się pewnie. Detektyw sięgnął ręką do włosów, ale przypomniawszy, że ma je zmoczone i ułożone, cofnął dłoń. Zwrócił się do mnie:

– Masz coś zimnego do picia? Upał jak cholera...

Zadzwoiłem, aby przyniesiono kilka butelek ciemnego piwa z bufetu. Sączyliśmy zimny płyn z prawdziwą ulgą. Zdjąłem marynarkę i to samo zaproponowałem Rożnowskiemu. Mimo wszystko był jakiś naprężony, skupiony.

– Ciekawe... – mruknął do siebie detektyw. – Niezmiernie interesujące... Proszę pana, ja panu coś powiem. Nie wierzę, aby żona grała tak dobrze...

– Jak to?! Mówiłem przecież...

Detektyw odstawił pustą szklankę, podniósł się i podszedł do okna. Gdy chodził – jego umysł pracował na najwyższych obrotach, sam to wielokrotnie podkreślał. Wrócił i stanął przy Rożnowskim.

– Na początku prosiłem, o szczerłość. – Usiadł, wbił w oczy tamtego mocne spojrzenie, mimo wszystko bez szkieł wyglądał śmiesznie.

– I powtórzę to jeszcze raz. A teraz od początku: jak naprawdę grała pańska świętej pamięci żona?

– Grała nieźle...

– Hm... Nieźle to niczego nie mówi... Oczywiście, ja także gram nieźle... To dlaczego pan jej... pomagał?

Rożnowski poszarzał w ułamku sekundy. Dygocącą ręką podniósł do ust szklankę płynu, wypił resztę i milczał. Nie wyglądał na pewnego siebie, ba, sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Podsunąłem mu pudełko z papierosami.

– Jestem podejrzany?! – zapytał zmienionym głosem.

Detektyw skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

– Oczywiście! Mało tego, jest pan jedynym z podejrzanych, który coś kręci! Zataja pan prawdę w sprawie o morderstwo własnej żony. Szkoda, liczyłem na pana... A tak... Włącz, Paweł, magnetofon...

– Zaraz! – pośpieszył mężczyzna. – Nie trzeba, powiem wszystko, co wiem. Nie przypuszczałem, że to takie ważne...

– Bardzo ważne.

– Żonie zależało na zwycięstwie w tym nieszczęsnym turnieju, nie wiem tylko, dlaczego.

– Naprawdę?

– Przysięgam na jej pamięć, nie wiem, dlaczego. Faktem, jest, że prosiła mnie usilnie, co ja mówię, ona mnie błagała, zaklinała na wszystkie świętości, żebym jej pomógł! – policzki mężczyzny pokryły się rumieńcem.

– Pytał pan o powód?

– Zrozumiałe! Nie chciała go wyjawić, obiecała, że uczyni to później, uległem.

– Ustaliliście jakiś kod sygnałów?

– Tak – Roźnowski był autentycznie zmieszany, patrzył gdzieś na końce swoich butów. – Zrobiłem to pierwszy raz; w życiu, pierwszy i jedyny, tylko wtedy...

Jąkał się, czerwienił, ale mówił.

– Okazało się to potrzebne w grach ze Szwedami, byli lepsi od żony, a potem... z Milewskim; reszta się nie liczyła, żona wygrała z nimi bez mojej pomocy...

– Na czym polegał ów kod?

– Szkolne sztuczki. Ruch ręki, gest – oznaczał figurę, to wystarczyło, resztę załatwialiśmy wzrokiem..

– Jak przebiegała partia z Milewskim? Nie zorientował się?

– Nie, z nim postąpiliśmy nieco inaczej. Żona zaczęła partię przed południem, na początku nie musiałem jej pomagać. Grała białymi i stąd miała prawo wyboru określonej taktyki i strategii. Zdecydowaliśmy wcześniej, że zagra defensywnie, chodziło o wciągnięcie dziennikarza w pułapkę...

– Niezłe...

– Łatwo powiedzieć... Jeszcze w grze środkowej partia była remisowa, w południe, kiedy przerwano grę z uwagi na obiad – obmyślałem dwa warianty i zapoznałem z nimi żonę, pierwszy dawał pewny remis, drugi stanowił podstęp... Dziennikarz dał się złapać, nic dziwnego, jest ryzykantem. Zdobył dwa piony, stracił wieżę, musiał od razu poddać partię...

– Był pan obecny przy końcówce?

– Właśnie nie, chodziło...

– Jasne.

– Dlatego nie zorientował się, proszę pana.

– Czy sam pan wygrałby z nim?
– Raczej bez trudu. Milewski nie ma doświadczenia, niezbędnej rutyny, posiada nadto luki w grze obronnej... Nie wystarczy być doskonałym teoretykiem.

– Jak zareagował na porażkę?

– Był wyraźnie wytrącony z równowagi. Przeszarżowałem – orzekł. Rzeczywiście, mógł zremisować.

Zaczynało mi cokolwiek świtać, ale jeszcze nie wiedziałem, do czego zmierzał mój przyjaciel. Kiedy blefował, a kiedy operował faktami. Pomyślałem też, że bez jego diabelskiej przenikliwości i tym razem nie ruszylibyśmy w tej dziwnej sprawie z miejsca, na pewno! Któremu z oficerów najbardziej doświadczonych nawet i łabskich przyszłoby bowiem do głór wy zabierać się do całej historii z... podręcznikiem szachowym?

– Czy żonie zginęły jakieś rzeczy? – zadał następne pytanie detektyw.

Rożnowski popatrzył nań z niekłamany podziwem.

– Wie pan wszystko. Tak, kosztowności, rodzinne, to znaczy jej.

– Co to było?

– Cztery złote pierścionki z drogimi kamieniami, dwa cenne naszyjniki, brosze, kilka łańcuszków, trochę drobiazgów. Żona trzymała je w metalowym, inkrustowanym puzdrze.

– Cały majątek!

– Około trzystu tysięcy złotych, może więcej, szacunek tych kosztowności przeprowadzony był przed kilkoma laty.

– Zgodził się pan, aby żona zabierała takie cenne rzeczy na wczasy?

– Stanowiły jej własność. Zwróciłem uwagę, oczywiście, ale uparła się. Po jej śmierci stwierdziłem, że szkatułka zaginęła.

– Nie powiedział pan o tym milicji?

– Nie, obawiałem się. szczegółowych inwigilacji, dochodzeń, pan rozumie, nasz majątek jest znacznie większy...

– Czy ktoś wiedział o puzdrze?

– Nie, to znaczy chyba nie... Nie jestem pewien...

– Gdzie żona przechowywała szkatułkę?

– Otóż to! Przez cały czas naszego pobytu w Świnoujściu nie widziałem jej. Przyznaję, że intrygowało mnie to, kiedyś nawet zacząłem szukać, ale skrupuły, wie pan, podejrzewać własną żonę...

– Nie oddała kosztowności w depozyt? Chociażby Borowskiemu?

– Brałem tę okoliczność pod uwagę, pytałem go, nic nie wiedział.

Zapanowało milczenie, przerwał je detektyw.

– Muszę panu wierzyć. Jeśli powiedział pan prawdę, postąpił pan rozsądnie, mimo to nie mogę powstrzymać się od jednej uwagi. To, co powiem, będzie dla pana przykre, trudno, nie jesteśmy w Wersalu, bądź co bądź chodzi o morderstwo. Otóż jest dla mnie rzeczą oczywistą, że gdyby nie pomagał pan żonie wygrywać owych szachowych partii, a zwłaszcza zwyciężyć Milewskiego – nie zostałby pan... wdowcem.

Zimne i okrutne słowa jakoś nie pasowały do tej niewinnej z pozoru rozmowy prowadzonej w zacisznym gabinecie przy paru butelkach ciemnego piwa, ale jeśli o mnie chodziło przestałem się dziwić już czemukolwiek.

– Tak, proszę pana – Rożnowski ściągnął usta w bolesnym grymasie rozpaczony – przeczuwałem, że z owej gry nic dobrego

nie wyniknie. Żona należała do kobiet stanowczych, w prowadzeniu naszych interesów miała więcej zasług niż ja, szachy zabierały mi dużo czasu, nie byłem w stanie przeszkodzić... Powiedziałem prawdę, wszystko, co wiem, jestem gotów zeznać do protokołu...

– Wierzę panu. Ale musi pan nas zrozumieć. Szukamy mordercy pańskiej żony, znajdziemy go, pan nie powinien nam przeszkadzać.

– Powiedziałem prawdę i wszystko, co wiem – powtórzył smutno mężczyzna. – Przysięgam. Poza tym... zastosuję się do każdego pańskiego polecenia.

– Nie żądamy niczego, tylko dyskrecji. Nie było dzisiejszej rozmowy.

– Rozumiem.

– Gdyby przypomniało się panu cokolwiek, jakiś szczegół, jakaś rozmowa lub jej fragment – proszę zadzwonić do majora. Daj panu telefon, stary. A gdybym ja pana potrzebował...

– Oto moja wizytówka z adresem domowym i warsztatu, przez cały czas będę w Szczecinie, w najbliższych dniach nigdzie nie wyjeżdżam.

Kiedy zgaszony szachista zniknął za drzwiami, detektyw spojrział na mnie. Musiałem mieć niezbyt mądrą minę, bo zachichotał, a potem parsknął śmiechem.

– Stary, wyglądasz jakbyś spadł z księżycy!

– Co to wszystko znaczy, Art?

– Szukam motywu.

– Szachy?

– Są kluczem do naszej zagadki, wiedziałem to wcześniej, już w czasie czytania akt. Udał się nam ten Rożnowski.

– Może moi ludzie przyjrzeliby mu się trochę?

– Niech się przyjrzą, tylko bardzo dyskretnie.

– Jasne. Klucz zatem masz, gdyby tak jeszcze zamek...

– Zamek? – zamrugnął powiekami i przypomniał sobie o okularach, poszperał w kieszeni spodni i wyjął je, założył na nos, przejechał dłonią po głowie rozgarniając włosy. Natychmiast upodobnił się do prawdziwego Baxa. – Znajdę i zamek. Otóż nieprawda, że grano o puchar i butelkę koniaku, teraz, po tej rozmowie, zgodzisz się chyba ze mną? Walczono o inną, znacznie wyższą stawkę, mianowicie o taką, dla której warto było czy też trzeba było zabić człowieka. Kiedy ustalę, o, co grano – będę w posiadaniu zamka. I pozostając przy metaforach: otworzę wówczas drzwi, za którymi stoi morderca.

Przed odjazdem poprosił o załatwienie paru, jak to określił, drobiazgow. Wyszczególniam owe „drobiazgi” kolejno: ustalenie, co łączy braci ze Szwecji z Norwegiem Nillsonem, jaki jest stan majątkowy wszystkich trzech Skandynawów, czy byli w Polsce poprzednio i jeszcze parę innych rzeczy związanych z polskimi gośćmi „Rybitwy”, Milewskim, Kowalikami, Borowskim, Reszel i lekarzem.

– W aktach sprawy nie ma tych danych? – upewniłem się wiedząc, że na ogół dość skrupulatnie gromadzono różne informacje łącznie z wywiadami środowiskowymi.

– Trochę jest, ale za mało. Nie martw się, jest dużo innych, tyle że niepotrzebnych.

– A panna... Czado cię nie interesuje? – zakpiłem, jako że nie wymienił nazwiska studentki.

– Nie, jest poza wszelkimi podejrzeniami! A co do jej urody, stary... ach! – machnął ręką. – Klasa dziewczyna, do tego mądra!

– Wyłączyłeś ją bo... ładna?

– Nie. Bo nie gra w szachy.

8.

Rozpoczął się etap przygotowań do nowych rozgrywek, farsa stanowiąca parawan dla mordercy, zasłona dymna dla dokonania nowej zbrodni – tak myślał detektyw. O co grał? I którzy? Bax orientował się w tej chwili, że zdecydowanym faworytem jest dziennikarz, zagrozić mu mógł jedynie Norweg. Srebrny puchar, butelka napoleona... Szach, mat... Zwycięstwo mogło oznaczać... śmierć. Rożnowska została uduszona prawdopodobnie dlatego, że miała niemal stuprocentową szansę wygrać turniej. Niewinna gra, a tutaj... Co za nią stało? „Czarny Koń” – jak nazwał nieznanego przeciwnika detektyw – zaił się w mroku...

Bax stał przy oknie i patrzył na wzburzone morze. Rozhuśtane fale z białymi i pienistymi grzywami atakowały wściekle plażę i słupy przydrożnych umocnień. Niebo wisiało ciężkie, ołowiane.

„Mówi się, że jest sierpień, a za oknami listopad” – skonstatował młody człowiek kuląc się, lało bez przerwy już trzeci dzień, ochłodziło się, plaża opustoszała.

Detektyw zamyślił się. Od przyjazdu ze Szczecina sprawa nie posunęła się naprzód o krok, nawet o pół kroku. Z nauką języka szwedzkiego szło znacznie lepiej. Opanował podstawy gramatyki, wykuł na pamięć kilkaset najczęściej używanych słów, przeprowadził kilkanaście rozmów ze Szwedami, najczęściej gawędził z małym Olafem, który na odmianę uczył się niemieckiego. Chłopiec był dumny, że stał się nauczycielem.

Odbył kilka spacerów ze studentką, byli parę razy na kawie w zatłoczonych przybytkach świnoujskiej gastronomii. Dziewczyna

wyraźnie nudziła się, zaś podstarzały – co tu dużo mówić! – dziennikarz nie zawsze mógł sprostać jej młodzieńczej wytrzymałości i werwie, chodziła na dansingi, do dyskotek, nie miała żadnych trudności w znalezieniu towarzystwa. Detektyw z przykrością stwierdził, że Milewski adorował ją jednak oficjalnie. Myśli rwały się jak chmury wiszące nad kłębiącym się morzem.

– Obmyśla pan następny ruch? – rozległo się obok.

Bax odwrócił się. O wilku mowa... Na męskiej twarzy dziennikarza błąkał się przymilno-przyjazny uśmiech.

– Przecież nie gram, redaktorze...

„Oto mężczyzna! – pomyślał z zazdrością. – Pięćdziesiątka za nim i ma młodą, przeuroczą dziewczynę”.

Dziennikarz wyglądał znacznie młodziej, najwyżej na czterdzieści pięć lat, posiadał nadto pewien osobisty wdzięk i zdolność nawiązywania – jeśli tego pragnął – szybkich kontaktów z ludźmi. Jednym słowem, był z natury sympatyczny. Bax łamał głowę nad tym, co miały oznaczać słowa o następnym ruchu, czyżby...

– Beznadziejna aura – powiedział ostrożnie.

– Paskudny sierpień, rzeczywiście.

W świetlicy czy też – jak chciał tego Borowski – w klubie znajdowali się oprócz nich Swensonowie z synem i Norweg. Oglądali jakiś film w telewizji. Reszta gości przygotowywała się w swoich pokojach do zejścia na kolację. Dziennikarz ściszył głos.

– Chciałem z panem pomówić, panie... Kowalski.

– Moje nazwisko trudno przechodzi panu przez usta?

– Tak, ale proszę nie mieć za złe tej natarczywości, pragnę jak najlepiej... Pokazano mi pana kiedyś w Warszawie, a mam niezłą pamięć wzrokową...

„Jestem zdekonspirowany” – osądził Bax bez emocji. Czy to w gruncie rzeczy było dla sprawy istotne? Chociaż szkoda...

– Słucham, redaktorze,

– Panie Bax, ja wiem, że nie przyjechał pan tutaj, aby uczyć się języka szwedzkiego. Nie ma sensu ukrywać, że pana rozpoznałem, ale słowo – zatrzymam to dla siebie!

– Nie wtajemniczył pan... panny Czado?

– Nie, słowo dżentelmena! Chciałbym panu pomóc...

– Hm... Dziękuję, na razie nic nie wiem i stąd niczego nie potrzebuję... A co do sprawy – to ja zawsze interesuję się teoretycznie.

– W wyniku pańskich teoretycznych zainteresowań wielu przestępców zawisło praktycznie na szubienicy, ha ha. Mój kolega robił dla Expressu sprawę kradzieży obrazów z muzeum, ładnie pan rozpracował tych facetów.

– Pański kolega przesadził pisząc o mojej roli, to nie była taka trudna sprawa. A że siedzą? O tym decyduje sąd.

– Jasne, nie miałem niczego złego na myśli. Ale mimo wszystko wydaje mi się, że mógłbym być użyteczny...

– Wobec tego słucham, redaktorze.

– Jakby tu panu powiedzieć... – dziennikarz przerwał, zamyślił się nad czymś, potem kontynuował: W wyjaśnieniu tej ponurej historii jestem zainteresowany... osobiście. Zależy mi na czasie.

– Osobiście?

– Będę szczery. Chodzi o Bożenę, o pannę Czado,.. W ubiegłym roku poprosiłem o jej rękę...

– Gratuluję wyboru, wspaiała dziewczyna... – powiedział myśląc jednocześnie: „A bodaj cię pokreć!”

– Wiem. W zasadzie nie powiedziała nie, ale też i nie powiedziała tak, prosiła o czas do namysłu, chciała skontaktować się z rodzicami, byłem zresztą u nich, nie sprzeciwiali się. Wszystko było zatem na jak najlepszej drodze...

– I po co grał pan w te szachy, jeśli już idziemy na całkowitą szczerłość?

Dziennikarz zmierzył detektywa podejrzliwym wzrokiem.

– Ta ironia ma pewne podstawy. Skoro się pan domyślił, tym lepiej, chociaż jest pan w błędzie łącząc morderstwo z niewinnym turniejem. Ma pan rację o tyle, że śmierć Rożnowskiej przeszkodziła w realizacji moich zamiarów, Bożena przeraziła się czegoś, zmieniła się, nie ma już między nami dawnej szczerości, pełnego zaufania, powstają niedomówienia...

– Co z odpowiedzią na pańską ofertę matrymonialną? Minęło trochę czasu...

– Prosiła o dalszą zwłokę, tak jest do tej pory, a ja, pan rozumie, nie jestem młodym chłopcem, chciałbym te sprawy uregulować jak najszybciej...

– Skąd wzięty się jej wątpliwości?

– Nie mam pojęcia. Chyba podejrzewa, że mam coś wspólnego z tą paskudną historią, nie wiem, wyraźnie nigdy tego nie powiedziała, ale przecież...

– Jest pan zakochany, w takim wypadku wyolbrzymia się pewne sprawy...

– Panie Bax, gdyby wyraziła zgodę na małżeństwo, nie zwracałbym sobie głowy niczym, a tak...

– Czego pan oczekuje ode mnie? Rozumiem, że schwywanie mordercy – zakładając, że nie jest nim pan – wyjaśniłoby sytuację...

– Otóż to. Ponieważ wiem, że dochodzenie może przeciągnąć się i że, niestety, moja skromna osoba nie może być na razie wyeliminowana z kręgu podejrzanych – chcę pana usilnie prosić o przyjęcie pomocy, bo chyba wiem to i owo.

– To brzmi zachęcająco, redaktorze.

– Powiem krótko, powinien pan zainteresować się... Rożnowskim... I... tylko niech to nie zabrzmie zbyt szokująco, panem... Borowskim.

– Co?! Dlaczego?

– Wiem, że Rożnowska miała szkatułkę z kosztownościami. Mówił mi o tym właśnie Borowski. Po jej śmierci zaginęła, ma pan motyw...

– Z akt sprawy nic podobnego nie wynika – Bax widział, że rozmowa z dziennikarzem staje się dziwna, Milewski traktował go jak pierwszego lepszego pętaka. Postanowił nie przeszkadzać mu w owej zabawie.

– Panie Bax, to całe śledztwo warte było funta kłaków! Przesłuchano nas po kilka razy i na tym się skończyło! Niech pan zapyta o tę szkatułkę Borowskiego, w razie czego zgadzam się na konfrontację! – zaperzył się dziennikarz.

– To odważne, redaktorze, ale zapomniał pan, że ja chcę zostać na uboczu, poza tym... nie żał panu atmosfery? Tutaj tak miło... Ale wracając do sprawy: zatem o owej szkatułce wiedzieli Rożnowski i Borowski?

– Tak wypada.

– A inni?

– Raczej nie, w końcu nie pokazuje się podobnych rzeczy wszystkim ludziom!

– Nie przywozi się ich też na wczasy.

– Są kobiety, które nie rozstają się ze swoją biżuterią nawet na jeden dzień.

– Przekonał mnie pan, rzeczywiście są, czytałem coś podobnego o... Liz Taylor i Sophii Loren, tyle że pani Rożnowska nie była gwiazdą filmową. Uważa pan, że tę szkatułkę zabrał morderca?

– A któż by? Przecież to niepodważalny motyw!

– Rożnowski mógł zdobyć kosztowności w Szczecinie.

– I z miejsca zwrócić podejrzenie na siebie?

– Też racja. A co z Borowskim? Wygląda mi na człowieka, który muchy nie skrzywdzi.

– To cwaniak, panie Bax, a jak wykorzystuje Reszel!

– Jest zamożnym człowiekiem...

– Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Może pana zainteresuje taka okoliczność. Przed dwoma dniami przechodziłem obok pokoju kobiety, słyszałem głosy, jej i Borowskiego, wie pan, o co kłócili się? O to, że nie chce się z nią... ożenić!

– Borowski i Reszel? Trudno w to uwierzyć. Na pana miejscu wszedłbym tam, redaktorze.

– Po co?

– Namówić Borowskiego do małżeństwa. To nonsens, facet jest przecież zupełnie młody, a ona to staruszka, nie wierzę!

– Nie mogłem się mylić, panie Bax!

– Niech mnie pan nazywa Kowalski.. W każdym bądź razie dziękuję, z tą szkatułką to cenna informacja, muszę sprawdzić...

– Gotów jestem złożyć odpowiednie zeznanie na piśmie.

– Nie potrzeba. Ale zaczynając naszą rozmowę miał pan inne intencje. Co mogę dla pana uczynić?

– Chodzi o Bożenę...

– Wyłączyłem ją z grona podejrzanych.

– Ona nie może mieć nic wspólnego z tą sprawą, rozumiałe,

rzecz w tym, aby przy okazji szepnął pan jej jakieś zdanie o mnie, zaraz... no tak! – dziennikarz skrzywił się i potarł brodę. – No tak, przecież nie wie o pańskiej roli...

– Panie redaktorze, jeśli rozmawiamy z panną Czado kiedykolwiek o panu, zawsze mówimy same dobre rzeczy, a do ślubu z panem, jeśli nie zechce, nie zdołam jej nakłonić, nawet gdybym był Poirotem, Maigretem i nie wiadomo jeszcze kim. Nie podjąłbym się zresztą tego. Jeśli zaś chodzi o moją rolę, lepiej, żeby nikomu pan o tym nie mówił. To ważne przede wszystkim dla... pana.

Dziennikarz zmarszczył brwi. Wichura za oknami nie osłabła. Od północy nadciągały nad miasto coraz większe chmury i nagle zrobiło się ciemno. Zapalono światło, podano kolację. Obaj mężczyźni zajęli swoje miejsca. Tematem ogólnej rozmowy była pogoda.

– Chmuhka zapowiedziała stabilizację – zażartował lekarz. – Można zacząć ghać w szachy.

Zaczęto dyskutować o turnieju. Królował język niemiecki.

– Proponuję – rozpoczął właściciel pensjonatu – abyśmy rozpoczęli grać jutro. Puchar i koniak stoją tam – wskazał na oszkłona biblioteczkę. – Panie redaktorze, może pan uprzejmie otworzy listę zgłoszeń, żeby było jak należy...

– Proszę – powiedział dziennikarz wyjmując notes i pisak. – Ma być osiem osób.

Nie mylił się. Trzech Skandynawów, Kowalik, lekarz, Borowski, on sam i mały Olaf. Chłopiec aż podskoczył, gdy Milewski wpisywał jego nazwisko. Dziennikarz zamknąwszy notes rzekł:

– Ze swojej strony postanowiłem ufundować nagrodę specjalną dla zawodnika grającego z największą ambicją, nagrodą tą

będzie album „Z szachami przez świat”, wspaniałe dzieło polskiego autora. Jutro po śniadaniu losujemy.

– Zaczyna się – studentka nie mogła powstrzymać się od cierpekij uwagi. Odwróciła się do Baxa i powiedziała ostentacyjnie: – Zapraszam pana na wycieczkę w morze, statkiem Żeglugi Szczecińskiej.

– Bożenko, przy takiej pogodzie? – dziennikarz śmiał się, ale jedynie przy dużej dozie bezkrytycyzmu można by uznać jego śmiech za szczery. – Morska choroba pewna!

– Co do mnie – podjął szybko detektyw – nie odrzucę takiego zaproszenia, nawet gdyby szalał sztorm, nawet gdyby na Bałtyku pojawiły się ryczące czterdziestki!

– Nie martw się o nas, Janusz – dobiła go dziewczyna. – Będziemy trzymali za ciebie kciuki.

Bax przysiadł się do braci Swensonów. Kwadrans rozmowy, zdanie po zdaniu, jedno po niemiecku, drugie po szwedzku, na aktualne tematy. Szwedzi mieli zabawę, czułe ucho naukowca wychwytywało fonetyczne niuanse ich języka.

– Jak się panom podoba Polska?

– Piękny kraj. W ubiegłym roku zwiedziliśmy Warszawę, Kraków i góry, byliśmy w Zakopanem – Ingemar Swenson mówił wolno, niektóre słowa powtarzał, trudniejsze zwroty i zawiłości stylistyczne cierpliwie tłumaczył. – W tym roku zamierzamy urządzić jeszcze wycieczkę na Mazury i do Gdańska, mamy sprzęt wędkarski.

– Co u nas jest dobre, a co złe?

Mówił młodszy z braci, żonaty Wolf.

– Tego pierwszego jest znacznie więcej. Przede wszystkim podoba nam się wielka werwa życiowa Polaków, ich humor i zdolności, ujmuje nas wasza ogromna gościnność i serdeczność,

imponuje szeroko pojęta tolerancja. Odbudowane i nowe miasta, nowe budowle widzi się dosłownie na każdym kroku. Posiadacie także niezłe drogi, Polska ma wspaniałe warunki, aby stać się potęgą turystyczną, niestety, nie wykorzystujecie ich właściwie.

Co złego? Cóż, jeśli mam być szczery, pije się u was za wiele wódki, to lekkomyślność, zarówno jeśli chodzi o szkody biologiczne jak i ekonomiczne, wypadki, absencja w pracy i tak dalej. Nam, zamożnym przecież Skandynawom, nie mieści się w głowie jak ktoś, kto nie ma jeszcze lodówki, telewizora, auta – może wydać chociażby złotówkę na alkohol! U was są takie rodziny...

– Razi nas także – wtrącił Ingemar Swenson – czołobitność waszej obsługi przed cudzoziemcami, mnie osobiście to żenuje... Kelnerzy, służba hotelowa, a nawet personel sklepów traktują rodaka gorzej niż nas, dlaczego? Ale w gruncie rzeczy to drobiazgi, kwestia wypracowania jakiegoś stylu.

– A macie przecież tyle poważnych osiągnięć – dodał Wolf. – Powszechność waszej oświaty i dużą sieć wyższych szkół. Polacy uczą się masowo, to widać ha każdym kroku. Macie wspaniałą młodzież, moim zdaniem wartościowszą od naszej, niestety, dobrobyt niesie i negatywne skutki, poza tym podziwiamy waszą doskonałą organizację służby zdrowia, mówił nam o niej doktor – spojrzął na Połtykę. Ten nastawił uszu.

– Tutaj miałbym zastrzeżenie – zażartował detektyw. – Czy uważacie, panowie, że to w porządku, gdy chory pacjent składa wizyty zdrowemu lekarzowi?.

– No tak... wracając do turystyki – ciągnął Szwed – zbyt mało buduje się w Polsce hoteli i moteli, wasz kraj leży w środku

Europy, tutaj zbiegają się różne szlaki komunikacyjne, musicie to wykorzystać, w turystykę warto inwestować wielkie pieniądze, to doskonały biznes.

– Nas z bratem – uzupełnił Wolf Swenson – interesuje szczególnie wasz przemysł stoczniowy i rybacki, pracujemy w tej branży. Ja, jestem współwłaścicielem stoczni rybackiej w Malmö, Ingemar zaś produkuje sprzęt rybacki, a przecież Polska posiada w obu tych dziedzinach bardzo poważne osiągnięcia. Zwiedziliśmy stocznnię w Szczecinie, kolos, dobra organizacja, robotnicy o wysokich kwalifikacjach i dużej ambicji, to samo dotyczy kadry technicznej i inżynierskiej. Jedynym minusem, jaki zauważyliśmy, były spore przerosty administracyjne, ale to chyba łatwo zlikwidować. Byliśmy także w tutejszym kombinacie rybackim, to również wielkie, dobre przedsiębiorstwo. W zakresie sieciarstwa demonstrowano nam pomysły, które wprowadzone do produkcji mogłyby przynieść grube miliony dolarów zysku, trzeba te pomysły jak najszybciej wykorzystać...

Zakończono rozmowę tematem uniwersalnym, piłąk nożną, potem Bax wrócił na swoje miejsce. Pogawędki ze Szwedami dawały więcej niż wszystkie podręczniki i słowniki razem wzięte.

Po kolacji, gdy szedł na górę, dopędził go dziennikarz.

– Ma pan ochotę na drinka? Mam butelczynę whisky, „Old Smuggler”, miejscowy sklep PKO jest dość dobrze zaopatrzony...

– Wolę „Queen Anne” wprawdzie, ale cóż, z panem, redaktorze, przypuszczalnie piłoby się przyjemnie nawet terpentynę...

Dwa pokoje Milewskiego rzeczywiście zasługiwały na miano

apartamentu. Puszyste dywany, tapczan na mikrogumie, telewizor kolorowy, dwa telefony, wewnętrzny i bezpośredni, łazienka. Barrek dziennikarza był zaopatrzony tak, jak gdyby przyjechał nie na wczasy, lecz na wesele. Własne.

– Wie pan, co mi przyszło do głowy? – zaczął chytrze po dwóch kieliszkach. – A gdybyśmy tak Bożenę wtajemniczyli w nasz sekret? Jest arcydyskretna i potrafi trzymać język za zębami. Szepnąłby pan jedno słowo i sławnemu detektywowi uwierzyłaby jak amen w pacierzu, jeszcze w tym miesiącu zaprosiłbym pana na ślub.

– A te trzydzieści dni wyczekiwania?

– Papiery złożyliśmy w USC jeszcze w ubiegłym roku. Mógłby pan z nią porozmawiać podczas jutrzejszej wycieczki.

– Hm... Przemyślę tę sprawę. – Nagle Bax postanowił zagrać z dziennikarzem w otwarte karty. Cóż miał zresztą do stracenia poza urlopem? W tej cholernej sprawie należało się śpieszyć. – Dobrze, niech pan powie panie Czado, co tu naprawdę robię, ale bez wyolbrzymiania moich dotychczasowych zasług. Są mniejsze, niżby ktokolwiek sądził. Porozmawiam z nią o panu, ale odpowie mi pan na jedno pytanie, szczerze...

– Słucham...

– Dlaczego w ubiegłym roku przegrał pan z Roźnowską?

Długie spojrzenie dziennikarza, uważne, czujne, podejrzliwe. Nastroszył się wewnętrznie, riał zewnątrz starał się panować nad sobą.

– Była lepsza – odparł lakonicznie.

– Może Roźnowski... jej pomógł? Niczego pan nie spostrzegł?

- Nonsens! Nigdy by się na to nie zgodził! Po co zresztą?
 - Nie domyśla się pan?
 - W końcu to zabawa. Dlaczego mieliby oszukiwać?
 - Ta zabawa zakończyła się dla kobiety bardzo tragicznie.
 - Nie miało to nic wspólnego z naszą grą.
 - Być może... Pójdę już, mam trochę pracy, dziękuję za świetną whisky.
 - Może jeszcze jeden kieliszek? Jestem zaintrygowany...
 - Dobrze, ale ostatni... – detektyw westchnął. Dałby dużo, żeby znać prawdziwe myśli dziennikarza. – Widzi pan, redaktorze, ogólnie rzecz biorąc jestem tutaj, aby schwycić przestępcę. Wiem jednak, to znaczy domyślam się... nie, lepszym określeniem, będzie czuję. Tak, czuję, że moja rola nie ograniczy się do tego.
 - Nie rozumiem.
 - Obecnie moim głównym zadaniem staje się... niedopuszczenie do nowej zbrodni.
 - Co?! Nowej zbrodni? Co pan mówi, panie Bax?
 - Powiem panu więcej. Morderca czai się, chce uderzyć jeszcze raz. Nie wiem, kim jest, ale wiem, w kogo będzie godził.
- Dziennikarz zbladł, wyraźnie opuściła go zwykła pewność siebie.
- Niech pan powie, proszę... – głos mu się załamał, ręka z kieliszkiem napełnionym whisky „Old Smuggler” zadrżała.
 - Jeśli pan chce... To proste. W zwycięzcę obecnego turnieju. Dobranoc, redaktorze.

9.

Następny dzień był także deszczowy, ale cieplejszy. Po śniadaniu detektyw pożyczył od właściciela pensjonatu parasol i wyszedł na promenadę, miał dwie godziny czasu i dwie sprawy do załatwienia. O dziesiątej ruszał w morze statek i przed tym terminem musiał być na przystani, gdzie miała oczekiwać studentka. Arystoteles Bax już na długo przedtem czuł się, jakby szedł na pierwszą randkę w życiu. Dziennikarz zaraz zasiadł za szachownicą, pał go lichem! Ech, a gdyby tak odbić mu tę śliczną dziewczynę! Tylko czy to fair? „Stary ośle!” – to o sobie. Młody człowiek szedł i kiwał głową myśląc, jakie miałby szanse u Bożeny Czado? Jakie? Żadne. Wstąpiwszy do komendy powiatowej położonej przy olbrzymim świnoujskim parku zapytał o porucznika Wiatra.

– Pokój dwadzieścia sześć – poinformował dyżurny oficer – na pierwszym piętrze.

Porucznik zdziwił się, ponieważ detektyw nie składał dotychczas wizyt w komendzie.

– Jak idzie nauka? – zapytał Bax. Oficer sięgnął do szuflady i wyjął podręcznik gry szachowej.

– Studiujemy to razem z synem, chłopak na razie gra lepiej, bo nauczył się wcześniej, w szkole.

– Pewnie na wuefie. Zatem ogrywa pana?

– Cóż począć, dzisiejsza młodzież jest rozgarnięta.

– Niech pan trenuje pilnie, będę wyjeżdżał ze Świnoujścia, to zagramy partyjkę, dobrze?

– Chętnie. Czym mogę służyć? Akta?

– Nie. Czy panu wiadomo coś o szkatułce Rożnowskiej? Właśnie w aktach nic na ten temat nie znalazłem.

– Pierwszy raz słyszę.

– No tak... Gdzie jest szalik, którym zamordowano Rożnowską?

– Mam go w szafie. Był wysyłany do Warszawy, do Instytutu Kryminalistyki, badano, czy nie ma na nim śladów papilarnych.

– Wiem, zabieram go.

Skrawek jedwabnego materiału miał z osiemdziesiąt centymetrów długości, był wąski i miękki, zielonobiały, upstrzony żółtymi kreskami i brązowymi plamami liści.

– Prany?

– Nie.

– Więc nie zakładam. – Detektyw włożył przedmiot do kieszeni bluzy, która stanowiła jedną z jego bardziej uniwersalnych i ulubionych części garderoby, i pożegnawszy się z oficerem opuścił budynek komendy. Ponieważ zapomniał zabrać parasol, a nie chciał wracać, nakrył się bluzą i tak przeszedł ulicą Paderewskiego, potem Bohaterów Stalingradu. Na poczcie panował tłok, ludzie korzystali z lichej pogody i załatwiali zaległą korespondencję, wysyłali telegramy, telefonowali. Na błyskawiczną ze Szczecinem trzeba było czekać ponad dwadzieścia minut, zwykłą rozmowę dostawało się w ciągu kwadransa. Postęp techniczny w telekomunikacji był zrozumiały zapewne tylko dla ściśle wtajemniczonych.

– Szymański, słucham – głos w słuchawce zadudnił, jakby wydobywał się z głębokiej studni.

– Cześć, stary, jak materiały?

– Cześć. Jeszcze nie mam, powinny być za parę dni.

– Dlaczego tak krzyczysz, Paweł?

– Bo słabo słyszę.

– To ja powinienem krzyczeć, ale nie mogę, telefonuję z poczty.

– Ale z kabiny? To krzycz ty, coś cholernie szumi! Art, dzwoniłem do „Rybitwy”, podałem się za kolegę ze studiów, powiedziano, że pojechałeś statkiem w morze. Co to za kawały?

– Kawał. Jeden. Zrobiłem dziennikarzowi, Milewskiemu, jadę na tę wycieczkę z panną Czado.

– Byłem pewien, że w pensjonacie żartowali, ty i panna Czado, chłopie! W taką pogodę?

– Skąd wiesz, jaka pogoda jest tutaj?

– Przeważnie taka sama jak w Szczecinie albo gorsza. Mam niewesołą wiadomość, Art...

– Żenisz się?

– Idź do diabła! Uważaj raczej na siebie! Rożnowski... zwiął.

– Jak to „zwiął”?

– Wczoraj wyjechał promem do Ystadt, wykorzystując sfałszowany paszport.

– Awansuj w dół tego, który go pilnował! Postaraj się zebrać o Rożnowskim jak najdokładniejsze informacje, tylko szybko, pod kątem znajomości w Szwecji. Jasne?

– Już to robimy. Jak szachy?

– Właśnie rozpoczął się turniej.

– Ty nie grasz?!

– Nie, w każdym bądź razie nie bezpośrednio. Wykiwał nas Rożnowski!

– Miał coś na sumieniu, łobuz! Przykro mi, chłopie, że tak się stało...

– Upij się ze zmartwienia, cześć. Nie mam czasu.

Studentka ubrana w nieprzemakalny płaszcz z kapturem oczekiwiała na przystani.

– Cały pan mokry, chodźmy do środka.

Niewielki stateczek miał na pokładzie obszerną salę ze stolikami i miękkimi siedzeniami, niżej jeszcze jedno pomieszczenie dla pasażerów i małą, przytulną salkę z bufetem. Udali się właśnie do niej i zajęli dwa z pięciu stołków.

– Jak na razie mało chętnych – powiedziała dziewczyna. Była ubrana na sportowo, w kolorowy sweter i spodniej

– To lepiej, nie znoszę tłoku, zwłaszcza na morzu. Co pijemy?

– Ja wino...

– Nie prowadzimy – oświadczył barman stojący w drzwiach mikroskopijnego pomieszczenia służącego za kuchnię i magazyn. – Mamy koniak, winiak i piwo. Na gorąco parówki i herbata, bynajmniej.

Detektyw zmierzył mężczyznę uważnym spojrzeniem i sprawdził, czy przypadkiem nie jest podobny do właściciela pensjonatu. „Bynajmniej” mogło świadczyć o pokrewieństwie. Ale nie, barman był blondynem, tęgim, dość wysokim.

– Napije się pani koniaku, Bożeno?

– Nie przepadam...

– Pliska, najlepszy koniak, bynajmniej! – podpowiedział szybko barman.

– Najlepszy to on u pana, bynajmniej, w ogóle to jeden z gorszych. Ma pan jakiś radziecki? Armeniak, gruziniak, wszystko jedno.

– Znajdzie się. Dwa duże?

– Mały i duży, szefie.

Siedzieli w milczeniu. Dziewczyna patrzyła nań nieco inaczej niż zwykle, z pewnym szacunkiem. Był to skutek informacji przekazanej z rana przez dziennikarza. Całkiem sympatyczny – osądziła w duchu spoglądając na mokre kosmyki włosów i szczupłą twarz. – Oryginalna uroda, trochę podobny do Tadeusza Rossa...

Szkoda, że ma jasne włosy. Tak więc wygląda najszynniejszy polski detektyw? Janusz mówił, że najlepszy nie tylko w Polsce, chyba przesadził... Ale fajny jest...

O refleksjach Baxa lepiej nie mówić, studentka podobała mu się coraz bardziej. Wypiła łyk koniaku, skrzywiła się.

- Mocny.
- Rozgrzejemy się.
- Mówił mi o panu Janusz...
- Pewnie nałgał? Jak to dziennikarz... Myśmy wczoraj za to rozmawiali o... pani.

Udała zdziwienie.

- O mnie? I czego pan się dowiedział?
- Wszystkiego, chociaż o nic nie pytałem.
- Janusza nie zaliczyłam do najdyskretniejszych mężczyzn.
- Zna ich pani wielu?
- Mam kolegów.
- Co innego koledzy, a co innego... narzeczonej.
- Rzeczywiście wypaplał wszystko. Nie uważam się za jego sympatię.

– Oświadczył się...

– Pan może zrobić to samo... Jest starszy ode mnie, no, nie będę mówiła ile, w każdym razie chyba za dużo...

– Jeśli się kocha... trzydzieści lat nic nie znaczy.

– Najwyżej się lubi, kto by go nie polubił? Wierzy pan w miłość? Ile jest dzisiaj małżeństw z miłości? Słyszał pan o takich?

– W literaturze współczesnej i w filmach nie ma na pewno, a w życiu? Nie jestem zorientowany...

– Za to ja jestem: jedno na tysiąc najwyżej. Janusz twierdzi, że mnie kocha, ja nie powiedziałam mu tego nigdy, nikomu zresztą, jeśli nie liczyć tego, co wygadywało się chłopcom w szkole

podstawowej. Ma pan jakąś radę dla mnie, najśawniejszy detektywie?

– Ukończy studia.

– Małżeństwo by mi w tym nie przeszkodziło.

– A dziecko? Zresztą decyzja należy do pani. Co rodzice?

– Mieszkają w małym miasteczku, nie są zamożni. Zobaczywszy Janusza, a szczególnie jego wóz i wypchany portfel, z miejsca pobłogosławili nasz związek. Obiecał ojcu pieniądze na ciepłarnię, pan wie, co to znaczy?

– Wiem, ogórki, pomidory, wczesne i drogie, kwiaty, jednym słowem, duże pieniądze. Nieładnie tak mówić o rodzicach.

– Uważają, że skoro mam dwadzieścia dwa lata – jestem już starą panną. Mocny ten koniak.

– Radziecki, najlepszy, mówiłem, bynajmniej – wtrącił barman.

– Mówił pan, że najlepsza pliska, wyraża się pan elegancko, szefie, jeszcze dwa duże, napije się pan z nami?!

– Miłym gościom nie odmawiam, bynajmniej, a co do mojej edukacji – uczyło się tu i ówdzie.

– Dla mnie mały – powiedziała dziewczyna. – Już mi się w głowie kręci, zaraz będę pijana. Fajno tutaj...

– Zrobię państwu herbatę, bynajmniej, z cytryną – wszedł do pomieszczenia wielkości szafy i krzątał się przy kuchence elektrycznej.

– Wie pan co? – studentka spojrzała detektywowi prosto w oczy, śmieiej niż zwykle, widocznie naprawdę piła koniak po raz pierwszy.

– Mam propozycję, wypijmy bruderszaft.

– Co? Chętnie! Ale to trzeba uczcić! Szefie, całą butelkę koniaku!

– I ja tak myślę, bynajmniej, będę państwu nalewał. Proszę.
– Najwyżej będziesz mnie wioził do pensjonatu, niech tam, Bożena, bez zdrobnień...

– Art.

– To ładny skrót, skąd takie imię? Oryginalne.

– Mój starszek jest zakochany w starożytności, specjalizuje się w klasycystyce, łacina, greka...

– Pocałuj mnie, nie bój się! Nie w policzek, niech pan się odwróci, szefie! Art, nie tak, o tak!

Jakby go ktoś obuchem zdzielił w głowę. Jeszcze objęła go za szyję i mocno przytrzymała. Czyżby ten koniak?

– Aleś ty nieśmiały... Mocne to... Zjemy parówki?

– Jasne, szefie, dwie podwójne porcje! Pusto tutaj...

– Powinien pan cieszyć się z tego, bynajmniej. Trochę pasażerów jest na górze, jak statek znajdzie się na pełnym morzu i ludzie przywykną – zejść wtedy na dół, zaczniesz się ruszać, bynajmniej, szpilki pan tu nie włoży.

– Kiedy ruszamy?

– Coś pan? Już pół godziny jak płyniemy!

– Nie było nic słyszać, tam do diabła!

– Ja na pana miejscu też bym niczego nie słyszał, bynajmniej. Pływam tym pudłem kilka lat, a jeszcze takiej dziewczyny nie widziałem.

Detektyw czuł się znakomicie. Szumiało mu w głowie.

– Wiesz, Bożeno, ten Milewski to równy gość.

– Co mi radzisz? Zerwać z nim?

– Oczywiście! Wyjdź za mnie!

– Upił się, Art, nie pijmy więcej.

– Najtrzeźwiej myślę po pijanemu. Wiem co mówię, no jak?

- Głuptas! Nie jesteś żonaty?
 - Nie.
 - I nie masz dziewczyny?
 - Nie mam. Ale co prawda, to prawda, wozu takiego jak pan redaktor nie mam, przed dwoma laty kupiłem fiacika, nogi mam za długie, myślę o innym...
 - Jesteś wyjątkowy głuptas! Co tu ma wóz do rzeczy? Powiedz, Janusz jest wmieszany w tę historię?
 - Jest.
 - W jakim sensie?
 - W normalnym. Jest jednym z podejrzanych.
 - Wierzysz, że mógł to zrobić?
 - Dopóki nie znajdę prawdziwego winowajcy, moje sympatie nic tu nie znaczą.
 - Nawet dla ciebie?
 - Tym bardziej dla mnie. Kiedy jestem detektywem, zapominam o prywatnych sprawach, pozwól, naleję ci...
 - Już nie mogę, może jak zjem te parówki!
- Zmarszczyła w śmieszny sposób swój ładny nosek i zaśmiała się widząc, jak detektyw z barmanem wychylili kieliszki jednym haustem.
- Panowie, to nie wódka, koniaku tak się nie pije!
- Barman nie wypuścił butelki z ręki.
- Pan ma jakieś zmartwienie, niech pije, bynajmniej.
- Gdy pierwsi pasażerowie zeszli na dół, zbliżała się jedenasta.
- Chodźmy na górę, Art, zaczerpniemy powietrza... No i zobaczymy pełne morze.
- Alkohol zrobił swoje. Detektyw idąc wąskimi schodkami musiał uchwycić się poręczy. Usiedli w krytej, dziobowej części statku. Dopiero teraz odczuli jego kołysanie. Fale osiągnęły metrową

wysokość i zalewały pokład, rozpryskiwały się o szyby i opadały z powrotem. Bałtyk był szary, podobnie jak niebo. Gdzieś w górze zakwiliła żałośnie zabłąkana mewa, targana wiatrem zatrzepotała bezradnie skrzydłami i dała się ponieść ostrym podmuchom, coraz dalej i dalej.

Gdy wracali do pensjonatu dziewczyna podjęła poprzedni temat.

– Wiesz, dlaczego pytałam o Janusza?

– Oświadczył ci się, traktuje cię jak narzeczoną, coś dziwnego w tym, że się nim interesujesz?

– Głównie chodzi jednak o co innego, zatrzymaj to dla siebie, proponował mi wyjazd do... Szwecji.

– Co?!

– Dopiero po ślubie...

– A jak z zezwoleniem na ten wyjazd?

– Załatwił wszystko jeszcze w ubiegłym roku.

– Ot i co dziewczynie w głowie! Szwecja to ładny kraj, ale poczekaj chociaż do końca miesiąca.

– To chciałam od ciebie usłyszeć, dziękuję.

Zrzucając w hallu mokrą odzież widzieli przez oszklone drzwi pochylone głowy grających.

– Proszę mnie nie wołać na obiad – powiedział detektyw Różyccze – źle się czuję i będę spał.

– O której pana obudzić?

– Przyjdzie pani z szalikiem? Nie, dziękuję, sam wstanę.

– Ależ pan ma żarty! – dziewczę spojrzało zgorszone i obrażone.

– Uważaj, dziecko, ten facet dusi tylko kobiety!

Znalazszy się w swoim pokoju Bax umył się i szybko wsunął pod kołdrę. Kiedy wypił za dużo – musiał odespać kilka godzin, żeby pioruny były!

A były naprawdę, bo za oknami rozszalała się burza. Usnął.

Wstał przed dziewiętnastą. Toaleta, małe prasowanie, to ostatnie na myśl o studentce. Zszedł na dół i pchnął drzwi klubo-świetlicy-jadalni. Od czasu gdy słowo „salon” zostało potępione, nie wymyślono nic mądrego na nazwę domowego pomieszczenia, w którym można zjeść kolację, obejrzeć telewizję czy pograć w brydża lub w szachy. Byli wszyscy, ale tylko niektórzy unieśli głowy. Zajmując miejsce czuły na sobie spojrzenia zdumione i niespokojne. Starszy ze Szwedów poderwał się, usiadł, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Z brzękiem uderzył w talerz widelec wypuszczony przez żonę jego brata. Na szyi detektywa widniała zmyślna kokarda związana z fantazją z dwóch jedwabnych pasków materiału, jednego białozielonego z brązowymi liśćmi i drugiego niebieskiego, w duże grochy. Pierwszym pozbawiono życia w ubiegłym roku Rożnowską, drugim próbowano wyprawić na tamten świat Marię Reszel.

– Skąd... skąd... ma pan... te... szaliki? – wykrztusiła Szwedka.

– Szaliki? Nie podobają się pani?

– Przepraszam – wtrącił Ingemar Swenson. – To... moje szaliki, ten zielonobiały zginął mi w ubiegłym roku, ten drugi przed paroma dniami!

– Znalazłem je na dnie swojej szafy. Ponieważ nie mam własnych, a jest chłodno i mam katar, założyłem je. Są dość twarżowe, pozwoli pan, że zwrócę je jutro?

– Nie! – rzekł szybko Szwed. – Może je pan zatrzymać, mam jeszcze trzy podobne.

– Komplet tych szalików podarowaliśmy bratu w zeszłym roku, tuż przed przyjazdem do Polski – wyjaśnił Wolf Swenson.

10.

W dwa dni później detektyw obudził się wczesnym rankiem. Miał zamiar pójść przed śniadaniem na długi, samotny spacer, chciał dojść aż do falochronu, do którego w godzinach rannych podpływała z morza zabłąkana foka. Stanowiła sezonową atrakcję. Być w Świnoujściu i foki nie widzieć?...

Golił się na sucho, zarost miał miękki jak młokos, ubrawszy się zaczął zmierzać ku drzwiom.

Nagle, nieoczekiwanie, gdzieś z parteru, z części budynku położonej od podwórza, rozległ się krzyk tak przeraźliwy, że ciało młodego człowieka przeniknęły dreszcze. W tej absolutnej ciszy było to tak niespodziewane, że w pierwszej chwili stracił głowę, potem, ochłonawszy z osłupienia rzucił się do przodu. Krzyczała kobieta, trudno było jednak rozpoznać która. Detektyw sadził na dół wielkimi skokami, pokonując schody, parter, hall i korytarz.

Drzwi do pokoju Marii Reszel były otwarte. Na progu zamajaczyła leżąca postać. Różyczka, kelnerka i pokojówka, spoczywała na boku, nogi miała podkurczone. „Chyba zemdląła” – pomyślał. Korytarzem nadbiegli właściciel pensjonatu, Norweg, Szwedzi... W piżamach i szlafrokach, wyrwani ze snu, wystraszeni.

– Co się stało?! – w pytaniu Borowskiego dźwięczał strach.

– To pewnie ona krzyczała – Bax ujął dziewczynę pod pachy i uniósłszy przekazał w ręce pozostałych mężczyzn. Wszedł do pokoju, spojrzął na tapczan, w brzasku wstającego dnia nie mógł się mylić... Podeszedł bliżej...

Stara kobieta leżała na plecach z potwornie wykrzywioną twarzą. Z jej ust wystawał zsiniały język, ręce ze skurczonymi palcami

mięły koszulę w niemym, geście samoobrony, przy jej szyi zaś...

Detektyw wzdygnął się, fala gorąca uderzyła do jego głowy, rozlała się po całym ciele. Śmiertelna pętla zadziergnięta na szyi Marii Reszel wykonana była z dwóch barwnych szalików, tych samych, które jeszcze wczoraj nosił...

Wezwanie było wyraźne. Wyraźne i bezczelne. Rzucone jemu osobiście – Arystotelesowi Baxowi, niezależnie od tego, czy ktoś go uważał za detektywa czy naukowca, za Baxa, czy Kowalskiego! Ukrywający się w mroku morderca zabił raz jeszcze i jednocześnie zadrwił sobie z niego, zadrwił jak z pierwszego lepszego pętaka. Młody człowiek ściągnął brwi i zacisnął usta. Czyżby to wszystko było dziełem jednego osobnika? Przy braku pogody noce nad morzem bywały ciemne i ponure, bezgwiazdne. „Czarny koń” – jak nazywał w duchu swojego przeciwnika – zabijał tylko nocą...

Wsunęli się pozostali. Detektyw odszedł na bok. Długą chwilę panowało milczenie, a raczej napięta, złowroga cisza. Ogarnął jednym spojrzeniem grupkę mężczyzn. Wysoki Ingemar Swenson stał z pobladłymi policzkami, w gruncie rzeczy to j e g o szalikami uduszono Marię Reszel, podobnie jak Roźnowską. Jego brat oparł się o ścianę z zaciśniętymi wargami i wzrokiem wbitym w martwą kobietę. Czy sprawiając ów prezent mógł przypuszczać, że szaliki zostaną użyte do t a k i e g o celu? Właściciel pensjonatu stał, nagle pomalafy, przygarbił się, zaciskał pięści na grubym szlafroku. Pewnie rozmyślał o wielkim pechu, jaki zaczął od roku prześladować jego spokojny pensjonat. W oczach Norwega czał się strach zmieszany z chłodnym zdumieniem. Artysta z, kolei zastygł w przerażeniu z ustami otwartymi jak ryba chwytająca powietrze albo starzec nie panujący nad odruchem, dolnej szczęki. Dziennikarz wydawał się najbardziej opanowany. Jego oblicze przypominało doskonałą maskę, bez wyrazu, bez uczuć.

– Niczego nie ruszać! – pierwszy opanował się Borowski. – Trzeba zawiadomić milicję!

Zaczęto wychodzić, w korytarzu siedziała na krześle dziewczyna, blada, roztrzęsiona, obok niej stała studentka i żona artysty. Pani Swenson pochyliwszy się nad Różyczką wycierała jej twarz mokrym ręcznikiem. Zebrano się w hallu, przyszedł właściciel pensjonatu.

– Zawiadomiłem milicję, zaraz tutaj będą. Co za nieszczęście! – pochwyił się za głowę. Sprawiał wrażenie, jakby przybyło mu nagle lat.

Ekipa śledcza składała się z czterech osób. Był w niej porucznik Wiater, jakiś ważny cywil – zapewne prokurator, oraz podoficer w mundurze i fotograf ze sprzętem. Gdy Borowski prowadził przybyłych do pokoju kobiety, Bax zdążył szepnąć oficerowi:

– Mnie tutaj nie ma, róbcie swoje.

Zjawiło się pogotowie, lekarz w towarzystwie sanitariusza, kilkanaście minut trwały urzędowe czynności, normalne w tych warunkach. Stwierdzenie zgonu, zdjęcia, zabezpieczenie śladów. Do grupy pensjonariuszy zbliżył się ten najważniejszy, za nim podążał porucznik.

– Cóż, panie Borowski – najwidoczniej znał właściciela „Rybitwy” – zaczną się nowe kłopoty. Proszę przygotować książkę meldunkową i dokumenty denatki. Wszyscy pańscy goście są na miejscu?

– Tak.

Zechcemy ich przesłuchać.

– O ósmej maimy śniadanie.

– Więc natychmiast po śniadaniu. Kto pierwszy zauważył panią Reszel?

– Różyczka, panina Róża, moja pracownica, zemdląa w drzwiach...

– A kto pierwszy wszedł do pokoju denatki?

– Ten pan – Borowski wskazał na detektywa.

Prokurator ogarnął wysoką sylwetkę Baxa taksującym spojrzeniem. W jego wzroku odbił się jakby cień zastanowienia, chciał coś powiedzieć, zmarszczył nawet brwi, ale w końcu okręciwszy się na pięcie ruszył do gabinetu właściciela pensjonatu. Ten pośpieszył za nim, oficer uczynił to samo.

Spożywano posiłek w milczeniu, wiele osób nie jadło nic. Po śniadaniu detektyw wstał i podszedł do okna, zbliżył się do dziennikarza.

– Nie wiedzą o pana roli? – zapytał mając na myśli prokuratora i milicjantów.

– Komu to potrzebne? Ja nie przeszkadzam im, oni nie wadzą mnie. Poza tym oni nie mają zielonego pojęcia o... szachach!

– Podobnie jak pani... Reszel – w głosie dziennikarza zadźwięczała wyraźnie ironia. – Ten ruch należał do pańskiego przeciwnika.

– To gra pozycyjna, redaktorze.

– Z miny prokuratora wynikało, że ma zamiar traktować pana jako pierwszego podejrzanego.

– Najwyżej jako drugiego, pierwszym będzie pan... Połyka.

Dziennikarz rozejrzawszy się po sali strzelił w palce.

– Do licha, ma pan rację! Nie ma naszego doktora! To ci dopiero! Może śpi?

– Ten hałas obudziłby nawet niebosz... – Bax ugryzł się w język. – Nie ma go, redaktorze, niestety, a ponieważ morderstwo popełniono prawdopodobnie nocą – pan Połyka pierwszy zostanie zapytany o alibi.

– Ja mam takie, że spałem u siebie, dość twardo, sen mi nad morzem bardzo dopisuje.

„Spróbowałbyś powiedzieć, że nie spałeś u siebie!” – detektyw pomyślał o studentce. Głośno rzekł:

– Ma pan takie alibi jak każdy, to znaczy żadne. Jedyne państwo Swensonowie mogą mówić o jakichś świadkach, jest ich trójka, a i to nigdy nic nie wiadomo, temu małemu jakby źle z oczu patrzyło...

– Czytałem w jakiejś książce, panie Bax, że jak pan niczego nie wie, to trzyma się pana wisielczy humor.

– Chyba to prawda.

Zjawił się Borowski, wyglądał na spokojnego.

– Pan prokurator polecił, abyście państwo zatrzymali się na dwa kwadranse, chce z każdym porozmawiać, proszę się nie obawiać, nie będą to oficjalne przesłuchania – jąkał się biedaczysko pragnąc złagodzić decyzję urzędnika. – Zaraz każę podać wino i kawę, najpierw prokurator chce rozmawiać z panem, panie Kowalski.

Detektyw wszedł do gabinetu i usiadł potulnie na wskazanym mu krześle przed biurkiem. Pierwszy raz w życiu miał rozmawiać z prokuratorem w charakterze podejrzanego.

– Nie mogę sobie przypomnieć – rozpoczął przedstawiciel świnoujskiej prokuratury. – Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali?

– Nie przypominam sobie, chyba nie.

– Czyżbym się mylił? – zastanawiał się jeszcze tamten marszcząc rzadkie brwi. – Mam dobrą pamięć wzrokową. Pan nie siedział? Może w Warszawie? – zerknął do książki meldunkowej. – Pracowałem jakiś czas w stołecznej prokuraturze...

„Żeby cię pokręciło z twoją pamięcią” – zaklął w duchu detektyw. „Mógł mnie widzieć na jakimś wykładzie” – Bax prowadził kiedyś szkolenie dla warszawskiej służby kryminalnej, przychodzili na te wykłady również pracownicy prokuratury.

– No, mniejsza z tym. Pan pierwszy wszedł do pokoju denatki?

– Tego nie wiem. Wszedłem tam o godzinie szóstej dwadzieścia.

– Z zegarkiem w ręce?

– Na ręce.

– Hm... Trudno przypuszczać, aby był tam ktoś przed panem!

– Przypuszczać? Jest pewne, że był!

– Jak to? Kto taki?

– Morderca!

– Zadziwiające! – uśmiechnął się ironicznie surowy syn Temidy, ale zaraz spowaźniał. – Ma pan alibi?

– Jakie?

– Na dzisiejszą noc?

– Spałem w swoim pokoju.

– Otóż to! Czyli nie ma pan?

– Gdybym wiedział, że zamordują tę biedaczkę – zaprosiłbym do siebie kogoś, najchętniej ładną dziewczynę, ale pan i tak by mi nie uwierzył...

– W samej rzeczy! Pan i ładna dziewczyna! Dobrze, poruczniku?

Oficer od początku owego „przesłuchania” miał iskiereki wesołości w oczach, teraz zaśmiał się głośno, miał okazję dać upust rozbawieniu.

– No, dobrze – udobruchał się urzędnik. – Ale dość tych żartów, zauważył pan coś podejrzanego?

- Tak, i to bardzo.
- Co mianowicie?.
- Zamordowaną panią Reszel.

Prokurator położył ręce na biurku. Miał kobiece dłonie, białe i wypielęgnowane, widać, należał do tych mieszkańców Świnoujścia, którzy unikali plaży i słońca.

– Nie znam źródeł pańskiego dobrego samopoczucia – warknął – ale oświadczam: jest pan jednym z podejrzanych!

– Pan mnie przesłuchuje w tym charakterze?

– Ha! Widzę, że zna pan kodeks postępowania karnego, tym lepiej! Na razie traktuję pana jako świadka!

– Wobec tego zapomniał pan o pewnej formułce, mniejsza z tym. Cały czas zresztą narusza pan ten swój kodeks. Czym zatem mogę służyć?

– Niczym. Otrzyma pan oficjalne wezwanie, i to zaraz! Poruczniku, proszę wypisać i wręczyć temu obywatelowi!

– Nie zabrałem blankietów.

– Hm... Przyślę zatem przez gońca, jest pan wolny. Niech pan poprosi następnego świadka, Janusza Milewskiego! – zerknął do notesu.

– Nie należy to do moich obowiązków, panie prokuratorze.

Detektyw udał się do siebie. Położył się na tapczanie. Zardwiono z niego, to fakt. Biedna kobieta, musiała wiedzieć coś ważnego... W szachy przecież nie grała. Znała mordercę Rożnowskiej? Domyślała się czegoś? Zbrodniarz spieszył się, widocznie nie miał za wiele czasu... O co grają w te przekłete szachy? Żeby mieć już tamte informacje! Było prawdopodobne, że klucz od ponurej zagadki znajdował się poza granicami kraju, za dużo było

w tej sprawie cudzoziemców. Rożnowski uciekł do Szwecji, dziennikarz miał zamiar wyjechać tam ze studentką, co za fatum! Rożnowski, jeśli zamordował żonę... Zaraz, co w takim razie ma do niego Reszel? Nic, do diabła!

Położył ręce pod głową i patrzył w sufit, wędrowała po nim mucha, sunęła zygzakami, osiągnęła swój cel – klosz od lampy, potem zniknęła w jego zagłębieniu.

„Sperano w moim pokoju” – myśl o szalikach spowodowała przyływ gniewu. Pierwszy raz zakpiono z niego bezczelnie. Naraz detektyw uśmiechnął się, wstał. „Nie jest źle, facet śpieszył się, wiadomo”. Ciężki mordercy wyłaniał się coraz wyraźniej, tylko o co grali, o co grali? Swoisty system eliminacji sprawił, że na liście podejrzanych zostały trzy osoby, tylko trzy... Tylko?

Bax wezwanie otrzymał, było wystawione na nazwisko Kowalskiego, przyniósł je w południe goniec prokuratury.

Nazajutrz o wyznaczonej godzinie zameldował się w sporym, czerwonym gmachu. Sąd, prokuratura, małe więzienie z tyłu, od podwórza, właściwie ośrodek pracy. Jego pensjonariusze mogli utrzymywać z dozą określonego uzasadnienia, że przebywali na wczasach. „Gdzie spędziłeś ostatni rok? W Świnoujściu”.

„Dom towarowy dla przestępców – osądził Bax. – Można wejść, zostać przesłuchanym, otrzymać sankcję i wyrok, odsiedzieć go – wszystko w jednym budyńeczku”.

Było parę minut po ósmej. Młode i ładne urzędniczki snuły się po korytarzach otrząsając z siebie resztki snu. Prokuratorowi towarzyszył tym razem pomocnik ubrany także w garnitur, mimo pełni lata, służba nie druźba...

– Nazwisko i imię, imiona rodziców, data i miejsce urodzenia... detektyw śmiał się w duchu, ale na pytania odpowiedział grzecznie rad, że tamten nie zażądał dowodu osobistego, byłaby kłapa. Przepisy były przepisami. Po chwili prokurator wytoczył najcięższą armatę, strzelił z niej też natychmiast.

– Szaliki, którymi uduszono Marię Reszel, stanowią pańską własność?

– Nie mogę zaprzeczyć.

– Ale wyjaśnić pan to może?

– Muszę. Po prostu mi zagięły.

– Pan uważa, że zadowoli mnie takie wyjaśnienie?

– Nic nie uważam, odpowiadam na pańskie pytania.

– Podkreślam, tymi szalikami uduszono kobietę.

– Jeśli to takie ważne dla pana, to wyrażę własne zdanie, nie wydaje mi się, aby szaliki odegrały w tym zabójstwie rolę, jaką pan im przypisuje.

– Człowieku! Znalaziono je na szyi tej biedaczki! Sam pan to chyba widział?

– Widziałem, i co z tego! Ma pan orzeczenie lekarskie?

– To moja sprawa!

– Nie podejrzuje pan przecież samego siebie!

– Nie. Podejrzewam pana!

– Raz jestem świadkiem, raz podejrzanym, historia powtarza się. A teraz serio: niech pan zapozna się z ekspertyzą lekarską – jeżeli i wtedy będzie pan twierdził, że Reszel została uduszona moimi szalikami, trudno, przyznam się do wszystkiego.

– Zmieniam kwalifikację! – zdenerwował się nagle prokurator i Baxowi zrobiło go się żal, w gruncie rzeczy był bezradny.

Powiedział:

– Chwileczkę, niech pan nie kończy, przypomniałem sobie pana, siedział pan w pierwszym rzędzie!

– Co? W jakim rzędzie?

– Dwa lata temu prowadziłem cykl wykładów w Komendzie Głównej Milicji. Pan często zadawał pytania!

Mina młodego prokuratora daleka była od mądrej, niemniej wykazał refleks, bowiem polecił pomocnikowi wyjść. Potem wyciągnął do detektywa rękę.

– Przepraszam, pan... Bax? Cały czas głowiłem się, skąd pana znam, przepraszam...

– W porządku. Jestem w kontakcie z majorem Szymańskim ze Szczecina i porucznikiem Wiatrem, ale tylko z nimi, to ciężka sprawa. Jak więc z tym orzeczeniem lekarskim?

– Miało już być, zaraz ponaglę.

Po kilku minutach pochyłili się obaj nad arkuszem papieru. Lekarz w ekspertyzie stwierdził wyraźnie: „Maria Reszel została uduszona – i tu się zastrzegam: najprawdopodobniej rękami ubranymi w skórzaną, szoferskie rękawice”. Miały o tym świadczyć plamy z benzyny i smaru znajdujące się na szyi kobiety. Jako godzinę zgonu podawał czas pomiędzy drugą a trzecią w nocy.

– Skąd pan wiedział? – zaciekawiał się prokurator.

– To jest tak: my wszyscy, to znaczy pan, milicjanci i ja amator – powinniśmy patrzeć na świat i poszczególne zjawiska związane ze zbrodnią w taki sposób, żebyśmy mogli jednym okiem widzieć kulę ziemską, a drugim źdźbło trawy. Kto w tej profesji chce do czegoś dojść – powinien jeszcze słyszeć, jak ta trawa rośnie... Niech mi pan odda szaliki, mimo wszystko uważam, że są twarzowe.

– Mogą być na nich jakieś odciski palców!

- Moich na pewno. Albo rękawiczek tego faceta.
- Skąd pan wiedział? – powtórzył prokurator. Wyjął z koperaty jedwabne paski i podał je detektywowi.
- Były zawiązane na szyi tej kobiety z taką fantazją, że dobre to mogło być na spacer lub na wycieczkę. Poza tym wiem, że morderca chciał zrobić kawał mnie. To musi być cholernie dowcipny jegomość! Mogę odejść, panie prokuratorze?

11.

Życie w pensjonacie wracało powoli do normy. Minęły dwa dalsze dni. Słońca jak nie było, tak nie było, deszcz wprawdzie nie lał jak po. przednio, ale o plażowaniu nie było mowy. Pozostawały spacery, wycieczki i... szachy. W turnieju już tylko dwóch zawodników pozostawało bez straty punktu: Milewski, który wprost gromił swoich przeciwników, oraz Norweg Nillson grający bez polotu, lecz z żelazną konsekwencją. Wielką furorę zrobił artysta, który najpierw pokonał obu Szwedów, później zaś, po zaciętym i w końcu nawet dramatycznym pojedynku, zremisował z Borowskim. Ten ostatni tak przeżywał swoje sportowe niepowodzenie – w grze z malarzem był bowiem zdecydowanym faworytem – że upił się i urządził dziką awanturę bogu ducha winnej Różyczce za jakieś niedopatrzenie trudnych obowiązków. Trudnych, bo dziewczyna przejęła po Marii Reszel dokonywanie zakupów, prowadzenie rachunków oraz pomoc nowej kelnerce i pokojówce.

Kłopotów napytał sobie także lekarz. Wróciwszy owego dnia do pensjonatu, była chyba godzina dziesiąta z rana – wlaźł prosto

w ręce rozsierzonego prokuratora. Ten zajął się. młodym medykiem z energią godną sprawy co najmniej Marchwickiego.,

Medyk tłumaczył, się, jak mógł, kręcił, lawirował i za żadną certę nie chciał wyjawić, gdzie był w nocy. Ani gdzie, ani z kim, ani nawet co robił. Przyparty do muru – zasłonił się... tajemnicą zawodową i etyką lekarską, chociaż, jako żywo, jedną noc spędzona w ramionach przypadkowo poznanej damy wiadomej konduity absolutnie go do podobnych tłumaczeń nie upoważniała! Tym bardziej że owa dama, przyszedłszy jeszcze tego samego dnia do „Rybitwy” i także wpadłszy w ręce surowego stróża prawa – od razu i w całej rozciągłości potwierdziła przypuszczane fakty zastrzegając się, że powodowała się li tylko uczuciem, które w niej rozgorzało od pierwszego wejrzenia. Powoływała się jednocześnie na to, że podobne wyznanie uczynił jej młody adept eskulapowej sztuki.

Mimo wszystko następną noc lekarz spędził na twardych deskach, a mówiąc dosadniej na pryczy aresztu komendy powiatowej milicji. Cóż, porucznik Wiater nie musiał wierzyć na słowo prostytutce i raczej lubił sprawdzać, co podobne damy mówiły, zwłaszcza gdy szło o zabójstwo człowieka. Zwalniany z aresztu usłyszał od porucznika:

– Wypuszczam pana, bo okazało się, że rzeczywiście był pan u tej dziwki, jednak myślę, że od każdej mewki można się bez trudu urwać i dokonać czynu przestępczego. Stąd pozostaje pan nadal podejrzanym, doktorze...

Medyk na wszelki wypadek udał się do adwokata, ale wyszedł z jego biura jeszcze bardziej przerażony i uboższy zarówno o nadzieję, jak i o parę złotych. Kręcił się też biedaczysko koło

wszystkich pensjonariuszy tłumacząc każdemu, że przecież nie był w stanie popęlić tej „okhutnej zbhodni” Dokuczano mu, ile wlezie...

Najwięcej używała na nieboraku studentka prosząc, aby opowiedział szczegółowo historię pamiętnej nocy. Kiedy zaczynał mówić, jakie to „deski były twahde, a koce bhudne w tym wsthętym aheszcie” – dziewczyna przerywała i zaznaczała, że chodziło nie o tę noc, lecz poprzednią, na co lekarz czerwienił się, milkł i wykręcał palce.

Detektyw chodził po swoim pokoju. Przypadkowo zatrzymał wzrok na kalendarzu ściennym. Minęło już dwanaście dni sierpnia, turniej szachowy, kończył się za tydzień, cały turnus za dziesięć dni i po tym czasie Skandynawowie zamierzali wyjechać na Mazury, mieli tam przebywać do końca miesiąca.

„Zobaczę ich już przy pożegnaniu” – skonstatował smętnie młody człowiek. „W jaki sposób ten drań skradł szaliki? Najzwyczajniej w świecie: podczas mojej nieobecności wziął klucz z skrzynki wiszącej w hallu”.

Odpowiedziawszy w ten sposób samemu sobie udał się do sklepu i kupił – na rachunek komendy milicji wojewódzkiej – zamek typu łucznic, identyczny z tym, jaki tkwił w drzwiach jego pokoju. Następnie, przy pomocy paru prostych narzędzi wymienił główkę zabezpieczenia, Różyczce oświadczył, że może nie sprzątać i widać było, że dziewczyna nie zmartwiła się zbytnio tym poleceniem. Od tamtej pory nie zostawiał zapasowego klucza w skrzynce.

Zaterkotał wewnętrzny telefon.

– Pilny telefon do pana.

Dzwonił porucznik Wiater. Chciał podzielić się informacją, która mogła okazać się cenna. Otóż jeden z jego pracowników

dowiedział się przypadkowo od bufetowej restauracji „Jantar” położonej przy świnoujskim placu Wolności, że doktor Połyka krytycznej nocy, około godziny drugiej, nabywał u niej pół litra wódki. Skrupulatny funkcjonariusz podał nawet, że była to pomarańczówka. – A zakąskę brał? – zażartował Bax.

– Tego... nie... wiem – zmieszał się porucznik – Chyba tak..

– Nie może być żadnego chyba, poruczniku – rzucił detektyw zły, że przerwano mu rozmyślenia. Dziękuję za wiadomość, jak szachy?

– Coraz lepiej, już wygrałem z synem dwie partie.

– Moje gratulacje, niech pan spróbuje sił z innymi.

– Rozkaz!

Bax zszedł do świetlicy. Mężczyźni trwali przy stolikach, studentka rozmawiała z panią Swenson. Ujrawszy detektywa przeprosiła Szwedkę i zbliżyła się.

– Już romansujesz? – zagadnęła.

– O co chodzi?

– Ktoś dzwonił do ciebie, słyszałam jak ta panienka łączyła.

– Kolega.

– Uważaj, Art, bo wplączesz się w podobną kabałę co pan doktor!

Połyka zajęty grą udawał, że nie słyszy kpin studentki.

„Jednak nie powiedział wszystkiego” – pomyślał detektyw o zeznaniach medyka. Bożena... Od czasu wycieczki w morze, po której śniła mu się nocami, nie rozmawiali w cztery oczy. „Karpys, czy chodziło jej o dziennikarza”. Ten z kolei, niby żartem i przypadkowo, rzekł na drugi dzień: – Ładnie mi pan pomógł,

w ogóle nie chce rozmawiać o małżeństwie!

A ci grali! O co i którzy? Dwa krótkie pytania prześladowały Baxa od początku rozgrywek. Obserwując niektóre partie wyciągnął szereg ważnych wniosków. Po pierwsze: mały Olaf i lekarz nie grali o nic, bo grali po prostu za słabo. Po drugie: żadnych szans na zwycięstwo nie mieli już ani właściciel pensjonatu, ani Wolf Swenson, ani też jego brat, wszyscy bowiem przegrali po dwie partie, Borowski ponadto stracił pół punktu remisując z malarzem. Ten ostatni miał jeszcze szansę, musiałby jednak wygrać z Norwegiem i dziennikarzem. Dzisiejszego wieczoru część owych niejasności miała się rozwiązać, artysta spotykał się z Nillsonem. Siedzieli właśnie naprzeciw siebie, skupieni, pochłonięci walką.

Szachy to wojna. Przede wszystkim wojna nerwów. Odporność psychiczna jest w niej niekiedy atutem decydującym. Reszta jest jak w prawdziwej bitwie: strategia, wybór najlepszych wariantów gry, zmiana obranych wariantów na lepsze w zależności od sytuacji, zdobywanie pozycji i figur przeciwnika, przewidywanie jego posunięć, obliczanie ruchów na pięć, sześć, a nawet siedem posunięć naprzód... Trzeba w takiej grze mieć pamięć komputera, refleks szermierza i zdecydowanie alpinisty. Zdarzają się szachiści, którzy potrafią rozegrać partię „na pamięć”, bez szachownicy i figur.

Norweg zmarszczył brwi, zagryzł wargi, od czasu do czasu nerwowo gładził starannie utrzymaną brodkę. Po każdym ruchu przeciwnika mrużył oczy. Kiedy nad posunięciem medytował malarz – podpierał się jedną ręką i spokojnie, na zimno analizował sytuację. Nigdy nie podnosił wzroku.

Artysta zachowywał się zgoła inaczej. Opierał ręce na udach,

uderzał nimi niespokojnie, zacierał je po udanym zagranu. Wykonawszy ruch, co akcentował mocnym postawieniem figury, uśmiechał się triumfalnie spoglądał wokół, jakby szukając potwierdzenia słuszności swojego posunięcia u kibiców. Jego zachowanie mogło złościć niektórych przeciwników, wyglądało, że Norweg należał do takich. Malarz grał białymi i atakował, co przy jego improwizowanej taktyce mogło przynieść sukces. Przeliczył się jednak. W połowie partii adwokat z Oslo wyrównał sytuację, potem białe straciły piona i przewagę pozycyjną – i stało się jasne, że Kowalik nie odejdzie od stolika w aureoli niespodziewanego zwycięzcy. W tej grze Nillson był nieefektywny, ale konsekwentny; minimalną przewagę wykorzystał do końca i kiedy na szachownicy został biały król z pionem i czarny z dwoma – uśmiechnął się i podniósł głowę – Poddaję – powiedział regulaminowo malarz i wyciągnął do Norwega rękę. Nie potrafił ukryć zawodu. – Nie wyszło,

– Był pan trudnym przeciwnikiem – mruknął kurtuazyjnie adwokat i jego słowa wywołały na twarzy artysty dalszy grymas. Zdawał sobie sprawę, że w turnieju nie ma już żadnych szans. Wstał i zwrócił się do dziennikarza:

– Jutro gram z panem, pójdę na całego! Kropnę sobie przedtem kielicha i zaleję panu sadła za skórę!

Milewski nie tryskający zwykłym humorem odparł z przekąsem:

– Niech pan zostawi trochę sił na... pojutrze; gra pan jeszcze... z Olafem.

Nie traktował poważnie pogróżek artysty, jakoż i nie bez uzasadnienia. Grając z nim następnego dnia i wylosowawszy białe,

bez pardonu zaatakował i wygrał, mówiąc językiem sportowym, „jak chciał” Malarz był niepocieszony

– Gdybym ja zaczynał.. – rozpaczał tak długo, aż Milewski zaproponował rewanż, rzecz jasna, poza konkursem. W dwudziestym trzecim posunięciu artysta dostał klasycznego mata i na tym skończyły się jego popisy w turnieju.

– Nie obszedł się pan z tym biedakiem najłagodniej – detektyw pogratulował dziennikarzowi zwycięstwa.

– W sporcie nie powinno być żartów! Zlekceważył go Borowski i stracił pół punktu, Norweg grał z obawą, jakby na remis, i mógł przegrać. Z takimi improwizatorami gram ich własną metodą – atakuję!

– Norweg jest z panem bez szans.

– Nic podobnego! Zna doskonale teorię i w normalnych warunkach, to znaczy w meczu składającym się z dwóch partii – zrobiłby z artystą to samo co ja. W jednej grze nigdy nic nie wiadomo, może wyjść fuks. W ubiegłym roku pokonałem go w czterdziestym siódmym ruchu, po ciężkiej walce. Boję się tej partii.

Wieczorem znów telefon z komendy powiatowej. Porucznik Wiater był niezawodny.

– Mam informacje. Pierwsza z tą zakąską. Przyparliśmy bufetową do muru: lekarz kupował galaretkę z nówek wieprzowych i dorsza po grecku.

– Hi! hi! hi! Do pomarańczówki? Co pan, poruczniku, sądzi o tym?

– Podejrzane.

– Myślę to samo. Kto przypierał bufetowa do muru?

– Ja osobiście.

- Czy kupował jeszcze coś? Na przykład pieczywo?!
- Nie, chyba mieli...
- To wszystko? Dziękuję. A ta druga informacja?
- Przeglądałem rzeczy Reszel, które zabezpieczyliśmy wtedy, jest jej notes, może pana zainteresuje.
- Co?
- Notes Marii Reszel, takie notatki, ale może...
- Do diabła! Dlaczego pan dopiero teraz o tym mówi?
- Myślałem...
- Dobrze, niech pan je szybko tutaj przywiezie, będę czekał przed pensjonatem.

Był to notes-kalendarz w czarnych plastikowych okładkach. Znajdowały się w nim rozmaite zapiski, rzędy liczb, skrótowe notatki. Rozpoczęło się dokładne wertowanie. Kalendarz pochodził sprzed dwóch lat, widocznie kobieta przyzwyczaiła się do niego. Strona po stronie, kartka po kartce: kolumny z nazwami artykułów spożywczych i przemysłowych, rzędy cyfr i liczb, podsumowania. Różne numery telefonów. Wreszcie, w ostatniej części notesu, adnotacje dające do myślenia, niemal rewelacyjne! Krótkie i lakoniczne, ale jakże ważne!

Pierwsza z nich brzmiała: „Znów 40 000”, druga: „J. jest niepewny”, przy czym pierwsza litera była napisana tak, że równie dobrze mogła oznaczać I jak i J. Trzeci zapisek był pozornie jasny: „Ślub musimy wziąć w Polsce, przygotować metrykę urodzenia i chrztu, wyrobić nowy dowód osobisty”. I ostatnia adnotacja, najbardziej niezrozumiała: „N. Miller 1943 rok, 5 grudnia”.

Co to wszystko znaczy? „Znów 40 000”... Pożyczka? Jeśli tak – to udzielona komu? I skąd ciężko pracująca kobieta miała tyle pieniędzy? Mogła posiadać oszczędności, może coś z dawnego

okresu? Niewykluczone... Wyraz „znów” świadczył, że nie była to pierwsza pożyczka, zatem brał ją ktoś znajomy i cieszący się zaufaniem starej kobiety. A może Maria Reszel pożyczala pieniądze dla któregoś Skandynawa, zdarzali się wśród nich amatorzy różnych dzieł sztuki, obrazów olejnych, ikon, cennych starodruków, pamiątek historycznych... Kowalik? Nigdy nie miał pieniędzy, odpadał.

„J. jest niepewny”... Kto kryje się za tą literką? Janusz Milewski? Ingeniar Swenson? Dlaczego niepewny? Co wiedziała zamordowana kobieta? Musiała znać jakąś tajemnicę, ważną tajemnicę, inaczej... chodziłaby po tym pięknym świecie.

A może została zamordowana przez niewypłacalnego dłużnika? Czterdzieści tysięcy plus jakaś, chyba też nie najmniejsza kwota pożyczona przedtem – to mogło rzeczywiście stanowić problem... gdy przyszło się rozliczyć.

Trzecia adnotacja wprowadzała dalszy chaos i tak w niezbyt logiczny plan domysłów, hipotez i wniosków. Pozostawało wyzucie. No i intuicja, która do tej pory nie zawodziła. W tej dziwnej sprawie jednak...

Wreszcie – za kogo miała wyjść za mąż ta sterana wiekiem i ciąglą pracą kobieta? Wiekiem pasowałby Ingeniar Swenson, można, by z tym połączyć treść drugiego zapisu, ową literkę „J” i to, że jest „niepewny”... Rzeczywiście... Szwed trzymał się doskonale, nie, to odpada. Maria Reszel... lepiej nie mówić. Każdy w jego sytuacji byłby „niepewny”...

To, że ślub miał odbyć się w Polsce, mogło oznaczać, że narzeczony pochodził z innego kraju. „Ślub w Polsce – miesiąc miodowy za granicą”. Czyżby jednak Ingemar Swenson?

A co oznaczały sugestie Milewskiego o podsłuchanej rzekomo rozmowie Reszel i Borowskiego? Wspominał właśnie o ślubie, zwariować można!

Ostatnia adnotacja była dla detektywa najmniej zrozumiała. „N. Miller 1943 rok, 5 grudnia”... Rożnowska. To jej dotyczył ten zapisek! Bax wiedział to od razu: takie bowiem, Miller, miała nazwisko panięskie. Ale co, do licha, oznacza ta data?

12.

Słoneczna pogoda, panująca od dwóch dni na wschodnim i środkowym wybrzeżu, dotarła wreszcie i do Świnoujścia. Miasto poweselało. Przemoczone kosze wyschły w ciągu kilku godzin, piasek szerokiej i długiej plaży ogrzewał się błyskawicznie, woda zajaśniała, ociepliła się.

Promenada znów ożyła, zapachniała tysiącami kwiatów, wieczorem szaszłykami. Powróciła na swoje miejsce mała orkiestra szczecińskiej filharmonii, przed muszlą koncertową zbierał się, jak dawniej, tłum miłośników dobrej muzyki.

Plaża zakwitła setkami parawanów, parasoli i kostiumów, różnobarwnych, krzyczących. Znów mozolnie wygrzebywano grajdołki, znów o siódmej rano zajmowano najlepsze kosze i miejsca, znów walczono w tasiemcowych kolejkach o kajak, łódkę, ponton i rower wodny.

Na zmianie aury skorzystał detektyw. Milewski miał do rozegrania trzy partie, męczył się długo z właścicielem pensjonatu i młodszym Swensonem – co było dla wszystkich dużym zaskoczeniem – Bax więc plażował w tym czasie ze studentką. Kwiecisty parawan osłaniał przed pozostałymi plażowiczami, można było swobodnie rozmawiać.

– Zrugał mnie twój narzeczony – detektyw bez przerwy opalał plecy, jednak bez widocznych efektów.

– Dlaczego ciebie? Ze mną chce się żenić! – dziewczyna leżała twarzą do góry. – Powiedziałam, że o tamtych sprawach porozmawiamy we wrześnieu, w Warszawie.

– Jak się wszystko dobrze skończy, wyjdiesz za niego?

– Nie wiem, przyzwyczaiałam się, jest dla mnie dobry...

Detektyw uniósł głowę i podparł brodę rękoma.

– To ważne.

– Art, wykryjesz sprawcę?

– Pytasz takim tonem, jakby chodziło o to, czy lubię ciemne piwo.

– Lubisz?

– Owszem.

– No więc jak?

– Gdyby było, napiłbym się...

– Wiesz, o co pytam!

– Wykryję. Po to jestem.

– Ciągłe mi się wydaje, że w tym naszym pensjonacie coś się jeszcze wydarzy.

– Niewykluczone.

– Mówisz z takim spokojem...

– Słońce, morze, piękna dziewczyna...

– W gruncie rzeczy sam jesteś pełen obaw. Podobam ci się?

– Mówiłem już.

– Nie mówiłeś, plotłeś po pijanemu.

– Ale to była prawda.

– Więc podobam ci się?

– Byłbym największym kłamcą mówiąc, że nie.

– Ze wszystkimi dziewczynami tak rozmawiasz? Co innego chcę usłyszeć!

– Bardzo mi się podobasz – powiedział tak jakoś naturalnie, że dziewczyna uniosła się i spojrzała mu w oczy. Pomyślał: „Albo się zgrywa, albo ogarnął ją sentyment”.

– Chciałbyś spotkać się ze mną w Warszawie?

– „Czyżby ani jedno, ani drugie? Mówi poważnie...” Przytaknął.

– Masz telefon w domu? Pozwolisz, że zadzwonię? Wyberzemy się gdzieś, mógłbyś przyjechać na Bielany, jesienią tam pięknie...

– A co...

– Janusz? Nie zabroni mi widywać się z przyjaciółmi!

– Nawet po ślubie?

– Nie wyjdę za mąż przed ukończeniem studiów – powiedziała ze zdecydowaniem w głosie.

– Przecież to jeszcze trzy lata. Będzie czekał?

– Nie musi... Przemysłałam wszystko, wolę być niezależna, muszę zdobyć zawód.

– Kim będziesz?

– Robię specjalizację z pływania, będę instruktorem, potem może trenerem...

– Wie o twojej decyzji?

– Wie. Myśli, że żartuję. Art, pracujesz w milicji?

– Dlaczego pytasz?

– Nie przepadam za milicjantami, przepraszam.

– Nie ma potrzeby. Jestem asystentem na katedrze anglistyki uniwersytetu.

– To ci ptaszek! Janusz mówił, że udajesz z tym niemieckim! Szwedzki pewnie też znasz...

– Właśnie się uczę. Niemiecki rzeczywiście znam, tylko nic lubię rozmawiać w tym języku.

- Ile ja mam kłopotów z angielskim! Oszaleć można.
- Weź się za naukę. To piękny język. Zadzwońisz – dam ci kilka lekcji i zobaczysz, że pójdzie łatwo.
- Byłabym ci wdzięczna do końca życia. Wstyd powiedzieć, ale mam poprawkę.
- No to co? Ja z pływania też bym nie zdał.
- Jesteś zatem detektywem amatorem, nie ubliżam ci?
- Pochlebiasz, lichy ze mnie detektyw, bawię się tym,
- Opowiadał Janusz, że jesteś sławny, ty wykryłeś tę kradzież w muzeum? Czytałam o tym.
- Wpadłem na trop przypadkowo. Nie jest zły na mnie?
- Nie, dlaczego?
- Przez, ciebie.
- Skądże! Nie jestem przecież dzieckiem, sama decyduję o sobie.

„Czyżby przegrał?” – pomyślał Bax o zamiarach matrymonialnych dziennikarza. „Trzydzieści lat różnicy.. Przerazająco dużo.. Nie to samo, co... piętnaście! Oj, stary durniu – myślał z kolei o sobie – czego ci się zachciewa! T a k i e j dziewczyny!”

Spojrzał na studentkę. Długie i jasne włosy, niebanalna twarz o dużych oczach zakrytych teraz powiekami. Proporcjonalna figura opięta białym kostiumikiem bikini, brązowa skóra, pewnie gładka i delikatna, aż kusiło, żeby wyciągnąć rękę i pogłodzić Długie nogi... Gdy szła plażą, oglądali się za nią wszyscy, młodzież, starsi i kobiety, te ostatnie z nieukrywaną zawiścią.

„A gdyby spróbować... – Różne myśli nachodziły detektywa – Nie ma szans, żadnych, najmniejszej, nie ma się co wygłupiać! Stary ośle, dostaniesz kosza i wpadniesz w kompleksy!

Do licha z tym wszystkim! Jest. tutaj, aby znaleźć mordercę

dwóch kobiet, podjął się tego. Paweł – zacności człowiek i przyjaciel – ufa mu, czeka na jego sukces, zawsze cieszy się zwycięstwem i trzeba przyznać, to duża frajda, kiedy klepie po ramieniu tą swoją ręką kowala i mówi: – Wiedziałem, chłopie, że dasz radę. Przyślę ci jeden egzemplarz wyroku”.

Przysyłał. Z warszawskich i innych spraw nabierała się tego sporateczka: kary śmierci, dożywocia, długoletnie wyroki więzienia. Czytał owe pisma obojętnie, nieraz miał skrupuły, starał się o tym nie myśleć, w końcu istniała i druga strona medalu: zamordowani, ich rodziny, bliscy...

A co do Bożeny – nie ma najmniejszych nadziei, Przyjaźń... To piękna rzecz, ale...

Skończywszy swoje myślowe deliberacje przeprosił dziewczynę i poszedł po kajak. Udało się.

Wyłynęli w morze. Na wodzie było znacznie przyjemniej niż na rozpalonej patelni plaży. Chłód, znakomite powietrze. Wziął jedno wiosło, dziewczyna oparła się o przednie siedzenie i spoglądała poważnie na Baxa wykonującego niezgrabne ruchy.

- Art, miałaś dziewczynę?
- W jakim sensie?
- No, sympatię.
- Niejedną – łąał bez skrupułów.
- Bujasz! Całować nie umiesz! Popływamy?
- A kajak?
- Naokoło, skaczę pierwsza, uważaj!

Pływała jak ryba. Detektyw nie znał żadnego stylu, pruć wodę po swojemu. Przebywali w wodzie kilkanaście minut, potem próbowali wejść do kajaka, poszło z trudem.

– Co za woda! – wyraziła swój zachwyt studentka. – Nieźle pływasz, ale nie masz pracy nóg.

– Jak to nie mam? Macham nimi jak diabli!
– Nie masz o tym zielonego pojęcia. Nogami też się pływa,
– Ja – angielski, a ty – pływanie, chcesz?
– Stoi. Powiem Januszowi, będzie wściekły.
– Masz zamiar drażnić go moją osobą?
– Mam zamiar drażnić go w ogóle! Czego się boisz? A gdyby ci przyszło walczyć o dziewczynę?

– Nie znam się na tym.
– Boś fajtłapa.
– Niby o kogo miałbym walczyć?
– Chociażby o mnie, podobam ci się.
– W jaki sposób mam o ciebie walczyć? I kiedy? Jak będziesz w Szwecji?

– Wykrywanie przestępców to dla ciebie znacznie łatwiejsza sprawa niż... podrywanie dziewczyn.

– Nie tylko dla mnie. I nie dziewczyn. Narzeczonych.
– Przestań!
– Złócisz się?! Coraz lepiej, powiedz, co ci naobiecował w tym złotym kraju?

Dziewczyna naraz posmutniała.

– Żartujesz, a Janusz twierdzi, że ma tam duży majątek,
– Ulokowany w akcjach firm Swensonów?
– Więc wiesz? – zdziwiła się, później spojrzała jakby podejrzliwie. – Art, ty wiesz jeszcze coś...

– Domyślam się niektórych rzeczy... Jedno wiem na pewno: nie jesteś materialistką.

– A może? Każda dziewczyna chce mieć ładny dom, samochód, pieniądze... Co w tym zdrożnego?

– Nic. Zapomniałaś o jednym detalu, o uczuciu.

– To filozofia. Przyjaźń, przyzwyczajenie – oto elementy

uczucia. Art, trąbią o tym wszyscy psychologowie i inni specje. Skąd. wiesz o tych akcjach?

– Przecież milicja grzebała w jego życiorysie już w ubiegłym roku.

– Nie wspominaj mu o naszej rozmowie.

Po kolacji, detektyw jak zwykle zajął się językiem szwedzkim. Szło dobrze. Mógł już rozmawiać na ogólniejsze tematy. Naukę przerwało mu pukanie. Zjawił się artysta, grzeczny, uniżony.

– Można?

Wstęp dowodził, że czegoś potrzebował. Istotnie, chodziło według niego o drobiazg – pięćset złotych. Na dwa trzy dni, najpóźniej do poniedziałku, w niedzielę wystawia parę płócien i kilkanaście akwareli w miejscowym domu kultury, na pewno coś pójdzie, wtedy zwróci

Bax orientował się, że sympatyczny skądinąd malarz ma długów więcej niż obrazów i pędzli, nie był jednak w stanie odmówić. Wdzięczność artysty była spontaniczna zaprosił detektywa na wódkę.

– Ma pan? – zapytał Bax na wszelki wypadek.

– Zaraz kupię! Wstąpię po pana, Ninka ucieszy się, powiemy panu coś ciekawego... Jaką pan pije?

– Żytniówkę Proszę, dołożę się.

Kowalikowie zajmowali dwa pokoje na pierwszym piętrze, jeden narożny, wychodzący na podwórze, drugi środkowy. Nieporządek panujący w pomieszczeniach nie miał nic wspólnego z tak zwanym artystycznym nieładem. Książki, albumy, plakaty i jakieś przybory malarskie mieszały się z różnymi częściami garderoby,

przeważnie damskiej. Mniejszy pokój został prowizorycznie zaadaptowany na pracownię i bił z niego zapach farb olejnych, po kostu i czegoś trudnego do określenia.

– Cieszymy się, bardzo się cieszymy! – żona malarza była wylewna i przymilna. – Ostatnio wieczory spędzamy w domu, Oleś pracuje, dansingi nas nie interesują, czasem idziemy do kawiarni...

To „czasem” było równoznaczne z codziennym, kilkugodzinnym ślęczeniem nad małą czarną, detektyw jednak nie zaprzeczał.

– Pan bywa w kawiarniach? Widziałam pana kiedyś...

– Rzadko.

– Jest ich w Świnoujściu wiele, ludzie zbijają pieniądze. Co pan o nich sądzi?

„Do licha! Mam rozmawiać na takie tematy? Co za babsztyl!”

– O ludziach? Robią forszę, jak w każdej miejscowości wczasowej, nad morzem ceny są szczególnie... słone.

– Dobrze! Słyszalesz, Oleś? A pańskie zdanie na temat lokali?

– Wszystko na odwrót: wino młode, kelnerki stare..

Artysta walczył z korkiem od butelki wina. Jego żona, jak się okazało, nie piła wódki.

– Nad czym pan pracuje? – zapytał Bax widząc duże płótno na sztalugach.

– Robię akt Ninki.

– Och, proszę nie oglądać, jeszcze nie skończony!

– Kobieta wbrew temu, co mówiła, zachęcała do obejrzenia dzieła, podeszła bowiem do sztalug i zdjęła ochronną zasłonę.

Obraz mógł mieć sześćdziesiąt na sto centymetrów. Detektyw znał się nieco na malarstwie, dużo czytał i umiał odróżnić pracę w miarę wartościową od kiczu. Akt z całą pewnością należał do

tych ostatnich. Twarz bez wyrazu, tutaj być może artysta celowo zrezygnował z ujęcia realistycznego, ponieważ musiałby w innym wypadku przedstawić oblicze małżonki ze stałym grymasem uniżenia połączonego z zawiścią. Za to z fotograficzną wiernością oddał brzydkie piersi, bez wątpienia autentyczne, uda grube i krótkie, całość niemal żenująca. „Nic dziwnego, że wpadł w alkoholizm” – Bax im więcej czuł antypatii do kobiety, tym bardziej współczuł malarzowi. – I jak? – zapytała z uzasadnioną obawą w głosie Kowalikowa.

– Nieźle – jakoś przeszło przez gardło. Gdyby karano za kłamstwa, detektyw musiałby w tej chwili zawisnąć na szubienicy.

– Widzisz, Oleś! A ty nie chcesz mnie malować! Niech pan sobie wyobrazi, on uważa, że te akty są mniej wartościowe od jego... akwareli! Akwareli!

Ostatnie słowo wypowiedziała tonem, jakby mówiła o śmieciach.

– Nie jestem znawcą, poza tym nie widziałem innych prac.

– Proszę, są tutaj! Moje akty, pejzaże, martwe natury... No i te akwarele!

Wyszdyzane przez Kowalikową dziełka odznaczały się lekkością i wdziękiem, a także właściwym doбором barw i bezpretensjonalnością.

– Mnie się podobają.

– Ma pan oko! – ocenił artysta i napełnił kieliszki. Odnosiło się wrażenie, że przy tej czynności czuł się równie pewnie, co i przy sztalugach. – Napijmy się za sztukę!

– Akwarele nie są najgorsze – ustąpiła kobieta – ale akt jest aktem. Weźmy Rubensa...

- Ninko, skończ z tymi analogiami, gdzież mi do Rubensa!
- Malarz mrugnął porozumiewawczo, detektyw zrozumiał: baba miała na tle swojego ciała porządnego fioła.
- Zna pan dowcip o modelce?
 - Oleś!
 - Przecież to nie aluzja, pozwól. Otóż pytają modelkę, czy pozowała kiedykolwiek do aktu. Pozowałam – odparła – ale malarzowi nigdy, ha ha ha!
- Detektyw zawtórował; lubił dowcipy, ale jeszcze więcej facetów śmiejących się z własnych kawałów.
- Wie pan – podjęła poprzedni temat kobieta – za ile kupiono w Katowicach mój akt? Nie ma pan pojęcia! Siedem tysięcy złotych zapłacił pewien adwokat z Warszawy.
 - Za akwarele dostałem więcej – wtrącił malarz.
 - To było wtedy, gdy nie piłeś!
 - Dobrze, Nineczko, nie przy gościu... Ten akt sprzedamy też. Niech pan wybierze sobie jakiś drobiazg, w prezencie...
 - Mogę kupić. O, tę akwarelę! Ile kosztuje?
 - Dwieście złotych – szybko powiedziała kobieta.
 - Ninko! Sto, sprzedajemy takie po sto!
 - Kupuję po dwieście, biorę trzy, można? Mam trochę miejsca nad tapczanem w domu.
 - Proszę bardzo, ale jedna na dodatek, policzymy się...
 - Oleś, poproś pana, żeby teraz nie zabierał. Damy je na wystawę z napisem „sprzedane”, robi dobre wrażenie...
 - Jak pani sobie życzy, mogę poczekać.
 - Co pan sądzi o współczesnym malarstwie? – zapytał rzeczowo Kowalik, chociaż był po trzech wódkach.

- Jest dla mnie niezrozumiałe, nic więcej.
- Dla mnie też, ale co moda, to moda, wszędzie się o nim bębni.
- Rzeczywiście dużo wrzawy, taki ryk na jeleniowisku, hi hi hi! Wspomniał pan o jakiejś wiadomości...
- Ninka panu powie...
- Tylko prosimy o dyskrecję – rozpoczęła tajemniczo kobieta.
- Wiemy, że pan jest z milicji, a my szanujemy władzę. Pomyśleliśmy, że nie powinniśmy ukrywać podobnej sprawy...
- Do rzeczy, Ninko, do rzeczy!
- Cztery dni temu wybraliśmy się do Albatrosa na kolację, sprzedałam Olesiovi dwa płótna, chcieliśmy to uczcić, nie wiem, czy pan pamięta, nie było nas tutaj tego wieczoru. Otóż zamierzaaliśmy wrócić późno, ale poczułam się źle, moje korzonki nerwowe...
- Nineczko, zanudzasz pana!
- Już mówię. Przyszliśmy wcześniej i zastaliśmy w naszym pokoju... niech pan zgadnie kogo? Nie ma pan pojęcia? Ja też bym nigdy nie przypuszczała! Zastaliśmy... pana Milewskiego!
- Nie rozumiem. Drzwi były otwarte?
- Skądże! Zdenerwowałam się okropnie, on sam wyglądał jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, tym bardziej że...
- Pokażemy panu! – przerwał zniecierpliwiony artysta i zaprosił detektywa do drugiego pokoju. – Proszę! – wskazał na stary olej zawieszony na ścianie. – Myśli pan, że to zwyczajny obraz? Nie, to drzwi skrytki!
- Pan Milewski nie zdążył zamknąć – uzupełniła kobieta – potem pokazał nam, co i jak.
- Detektyw podszedł do ściany i przyjrzał się obrazowi. Nic

podejrzanego. Zbliżył się artysta i uchwyciwszy ramę przekręcił ją w lewo, potem przyciągnął ku sobie. Z cichym trzaskiem uruchomiony został niewidoczny mechanizm, drzwi skrytki odskoczyły i ukazał się prostokątny schowek w głębi ściany. Był pusty. Bax dokładnie oglądał wnętrze. Skrytka zbudowana była z grubej blachy. Ani śladu kurzu czy pyłu... Była używana, a to niedawno, świadczył o tym jej mechanizm, naoliwiony i wyczyszczony. Co w niej przechowywano? Skąd dziennikarz wiedział o jej istnieniu? Czego szukał? Zaraz, zaraz! A Borowski? Musiał także wiedzieć o schowku! Spokojnie, to trzeba przemyśleć w samotności...

– Co mówił pan Milewski?

– Czerwienił się jak sztubak, jąkał się... Najpierw chciał w nas wmówić, że drzwi były otwarte i wszedł przypadkowo, że interesowały go prace Olesia i że zauważył tę skrytkę, bo była otwarta, ale kiedy mu powiedziałam, żeby nie uważał nas za głupców, wyznał, że na własną rękę prowadzi śledztwo i zbiera materiały do jakichś artykułów. O schowku miał dowiedzieć się od Rożnowskiego.

– Od Rożnowskiego?

– Tak. Te pokoje zajmowali w ubiegłym roku właśnie Rożnowscy. Myśmym mieszkali w pańskim.

– Ja w swoim znalazłem także skrytkę – zażartował detektyw i kiedy Kowalikowa wytrzeszczyła oczy, dodał: było w niej trochę dolarów, nic więcej...

– Co pan opowiada!/? Oleś, widzisz, ty fajtłapo! Musimy przeszkąć jeszcze w drugim pokoju!

– Ninko, pan żartuje...

– Niech będzie... Rożnowscy znali się z Borowskim?

– Bardzo dobrze! Oni tu przyjeżdżali od lat!

- Czy pan Milewski nie zabrał czegoś z tej skrytki?
- Otóż to! Od razu tak pomyślałam i wygarnęłam, co o tym myślę. Należałoby się nam dziesięć procent znaleźnego...
- No, ale państwo nie odkryliście tej skrytki...
- Redaktor twierdził, że niczego nie znalazł!
- Kto by się przyznał? Rewidować go nie mogliśmy! Pewnie szukał tego złota, które zginęło Rożnowskiej.
- Skąd pani wie o tym złocie?
- Wszyscy wiedzą! Po śmierci żony Rożnowski kilka dni chodził po wszystkich pokojach i wypytywał cichaczem, czy nie znalaziono jakiejś szkatułki.
- Jak zakończyła się wizyta redaktora?
- To spryciarz! Odwołał Olesia na bok i dał mu pięć tysięcy złotych. Co było robić – wzięliśmy.
- Co pani o tym sądzi?
- Za mało! Przepraszam, pan Milewski powinien być aresztowany!
- Ninko, co ty wygadujesz?
- Milcz! Zabił w zeszłym roku Rożnowską za tę szkatułkę ze złotem! Odnalazł ją dopiero teraz! Jestem gotowa przysiąc przed każdym sądem! Tylko niech pan o tym nikomu nie mówi!

13.

Było już po dziesiątej, detektyw przygotowywał się do snu, gdy nagle ktoś gwałtownie zastukał do drzwi. Szybko je otworzył... stała w nich studentka, blada, przerażona. Pochwycił ją w ramiona.

- Bożeno, co się stało?

– Wybacz, jestem wstrząśnięte! – głos miała drżący, twarz jak papier.

– Uspokój się! Co się stało?

– Nic... już nic... – jąkała – szalik jest... u mnie...

Niewiele z tego zrozumiał. Podeszedł z dziewczyną do fotela, usadowił ją w nim, pogładził dłonią miękkie, pachnące włosy. Powoli odzyskiwała równowagę.

– Mam ciemne piwo, napijesz się?

– Tak. Bardzo się przestraszyłam... Nie gniewasz się?

– Mów po kolei.

– Szalik, Art, szalik... Wisi u mnie na oknie.

Otworzył szafę, dwa jedwabne paski leżały jak przedtem.

– Moje są na miejscu, chodźmy zobaczyć.

– Nie! Nie pójde, idź sam, ja zostanę tutaj, chociaż z kwadrans...

– Zostań, ile chcesz, pójde, zobaczę i zamknę drzwi. Gdzie masz klucz?

– Leży na stole. Wracaj szybko, boję się.

Detektyw wszedł do pokoju studentki. Był w nim po raz pierwszy. Czysto, na stole świeże kwiaty, trochę książek. Na środkowej framudze otwartego na oścież okna wisiał jedwabny szalik, brązowy z czarnymi plamami. Zbliżywszy się ujął jego końce i rozwiązał nieskomplikowany węzeł. Był z tej samej serii co tamte, świadczyła o tym długość, gatunek i mater...

Strzał. Buchnął z nocy, nagle. Detektyw rzucił się do okna, przywarł pod parapetem. Cisza. Niepokojąca, groźna.

„Strzela z drzewa” – pomyślał.

Przyszła natychmiastowa refleksja: jeśli tak – to jest tam nadal. Bandzior, cholerny bandzior! Ostrożnie, stary, ostrożnie... To

naprawdę groźny facet. Szkoda by było ginąć tak głupio...

Sekunda za sekundą, sekunda za sekundą... Ile? Wieczność.

Pierwszy raz twarzą w twarz z przeciwnikiem, może najmniej bezpiecznym w dotychczasowej praktyce. Twarzą w twarz? Tamten pozostaje w mroku, jest niewidzialny, posiada broń, strzela z niej. Ostrożnie, tylko ostrożnie. Lewa ręka zaczęła sunąć ku stojącej na oknie doniczce. Stłuc klosz, w pokoju musi być ciemno, szanse będą równiejsze...

Zamach ręki, głośny trzask i Bax skoczył ku drzwiom. Niczym kot, ale nie tak sprytnie, nic też dziwnego, że runął jak długi na korytarz. Bożena! Słyszała strzał! Jeśli tak – boi się! Cisza. Podniósł się. Jakiś odgłos, w drzwiach swojego pokoju stał lekarz, wystraszony.

– Co się tutaj dzieje? – spytał patrząc podejrzliwie. – Pan w pokoju panny Czado?

– A dlaczego nie?

– Zamieniliśmy się – dziewczyna wychyliła głowę z pokoju Baxa. Ten rzucił się ku schodom.

– Zostań na korytarzu z doktorem! – krzyknął. – Zaraz wracam!

Na podwórzu spokój. W odległości ośmiu, może dziesięciu metrów od budynku stały dwie strzeliste i smukłe jodły.

Szukanie śladów po nocy było czystym nonsensem. Stanąwszy w cieniu ściany trwał parę minut bez ruchu. Cisza, żadnego szelestu, żadnego stuknięcia. W środkowych oknach pierwszego piętra zgasło światło. Mieszkał tam Ingemar Swenson. Na dole nic. Parę innych okien też jaśniało światłem, reszta ziała czernią. Po co tu gnał jak oszalały? Chyba dla zabicia własnego strachu? Należało wracać.

W hallu zetknął się z Różyczką. Zamykała świetlicę, kończyła pracę.

– Niczego pani nie słyszała?

– Nie. Stało się coś?

– Pan Kowalik udusił żonę, z nudów. Gdzie jest pan Borowski?

– Pan zawsze tak żartuje! – wzdrygnęło się dziewczę.

– Szef jest w ciemni, wywołuje zdjęcia. Co pan taki wystraszony?

– Bałem się, że nie zdążę, przed zamknięciem.

Wąskie schody prowadziły do piwnicznej części pensjonatu, w której mieściły się pomieszczenia gospodarcze, pralnia, suszarnia, kotłownia i magazyn. Borowski miał tam także pracownię fotograficzną. Otworzył drzwi dopiero wtedy, gdy detektyw zapukał po raz drugi.

– Aaa, to pan? Czym mogę służyć? – wyszedł na korytarzyk.

– Nie zapraszam do środka, bo tam ciemno i nie mogę zapalić światła; mam papiery w roztworze, przepraszam.. Może pójdziemy na górę?

– Chodźmy, chcę pana prosić o małą przysługę, muszę wiedzieć, kogo nie ma w pensjonacie.

– Stało się coś? Chodźmy! Zobaczmy po kluczach.

– To nic nie da. Pierwszego mnie by nie było!

– Przejdę po pokojach.

– Będę u panny Czado.

Studentka stała z lekarzem w tym miejscu, w którym ich pozostawił.

– Dziękuję, doktorze. Wejdźmy, Bożeno, na parę minut do ciebie.

Dziewczyna zobaczywszy resztki klosza i ziemię z doniczki

zdumiała się. Zachowywała się jednak dzielnie.

– Szybko posprzątajmy – detektyw wyjaśnił przyczynę nieporządku.

– Mam w szafie nocną lampkę, większą od tej – wskazała na grzybek przy tapczanie.

Zbierali wspólnie skorupy klosza i doniczki, dziewczyna zmiatała ziemię.

– Art, słyszałam jakiś strzał i potem głuchy stukot, co to było?

– Strzelano do mnie, nie bój się, już po wszystkim. Pośpieszmy się, zaraz przyjdzie tu Borowski.

Pocisk tkwił w ścianie na wysokości około dwóch metrów. Nie wbił się zbyt głęboko. Detektyw wydułbał szczyrykiem ołowianą kulkę, jej czub był spłaszczony. Dziewczyna obserwowała jego czynności w milczeniu.

– Art! – podbiegła naraz i schwyciła młodego człowieka za ramiona. Dopiero teraz zdawała się pojmować grozę niedawnej sytuacji. – Mogli cię zabić! Mój Boże, przeze mnie...

– Straszylbym tego zbója przez całe życie! Jego życie ma się rozumieć, he he he! Kiedy zauważyłaś szalik?

– Parę minut po przyjściu. Wróciłam przed dziesiątą. Byliśmy z Januszem i Kowalikami w Albatrosie, pokłóciłam się z nim i wyszłam.

– Nie odprowadził cię?

– Nie chciałam, był kompletnie pijany, zaczął jeszcze w południe. Szedł za mną, ale uciekłam...

– Kiedy wróciłaś, twoje drzwi były zamknięte?

– Tak, jeden klucz noszę stale przy sobie, drugi wisi w hallu.

Art, boję się!

– Nie potrzeba, już po wszystkim.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Borowski.

– Przepraszani najmocniej – ukłonił się po swojemu – sprawdziłem, proszę pana. Nie ma państwa Swensonów, pana Nillsona, państwa Kowalików i naszego przezacnego redaktora.

– Dziękuję; uważam, że nie powinniśmy nikomu nic mówić, co?

– Oczywiście, oczywiście, panie Bax! Już i tak w moim domu za dużo smutnych atrakcji. Może zawiadomić milicję?

– Nie trzeba, nie mielibyśmy spokojnej nocy. Dobranoc panu. Co zrobimy? – zapytał dziewczynę, gdy tamten zniknął.

– Zostań, nie usnę nawet minuty.

– Dobrze, kładź się, ja usiądę w fotelu.

– Przysuń go do tapczanu i zamknij okno. Zgaszę światło i przebiorę się.

– Zamknę mój pokój.

Wróciwszy szukał po omacku fotela. Noc była ciemną i mglista. Usiadł, wyciągnął nogi, słyszał oddech dziewczyny.

– Daj mi rękę, nie bój się, przecież cię nie zjem. Chcę wiedzieć, że jesteś przy mnie.

– Jestem,

– Daj rękę..

Dłoń dziewczyny była ciepła i miękka. Detektyw zamknął oczy, czuł się tak, jakby opadał powoli w przepaść. Trzeba było wyteńczyć umysł, zmusić się do myślenia, wyciągnąć wnioski z ostatnich zajęć – nic z tego. Palce dziewczyny zacisnęły się na jego ręce. W młodości lubił pójść nad rzekę, położyć się na plecach i patrzeć w niebo, na obłoki, o niczym nie myśleć, przestać istnieć... Był w takich chwilach absolutnie szczęśliwy... Podobne uczucie ogarnęło go teraz.

– Art, jestem zmęczona. Nie wychodź, gdybym usnęła.

– Zostanę, ale rano...

– Wyjdiesz, jak się rozjaśni...

Kiedy oczy przywykły do mroku, mógł odróżnić zarysy mebli. Odwrócił głowę w prawo. Twarz dziewczyny odbijała się od pościeli. Miarowy oddech świadczył, że zasnęła. Wstał i delikatnie położył jej rękę na tapczanie. Usiadł z powrotem, spróbował zebrać myśli.

„Co to wszystko miało znaczyć? – myśli kłębiły się niespokojnie i chaotycznie. – Strzelano do niego – to jasne! W świetle okna nie sposób było pomylić tęgawej sylwetki dziennikarza z jego postacią, szczupłą i wyższą. Ale zaraz! Morderca – jeśli już tak zaplanował – musiał założyć, że do pokoju dziewczyny wejdzie dziennikarz, to logiczne! W normalnym układzie do niego pobiegłaby po pomoc? Może chciał zabić ją?

Dlaczego nie trafił? No, głupia wątpliwość! Ale z takiej odległości?! Może zajmował niewygodną pozycję? Milewski? Nie można wykluczyć, że to on strzelał, mógł pójść za dziewczyną, ale szalik... Czy zdążyłby?... Należy zapytać Kowalików... Po co? Za parę groszy przysięgną, że nie odchodził od stolika, nawet do toalety. Do diabła z nimi!”

Czuł zmęczenie, powieki same mu się kleiły, usnął.

Obudziwszy się stwierdził, że jego nogi spoczywały na krześle, sam zaś okryty był grubym pledem. Świtało. Dziewczyna spała na boku, położywszy jedną rękę pod głowę, włosy zakrywały jej część twarzy.

Zerknął na zegarek, wpół do piątej. „Iść już? Jest jeden klucz, więc musiałby zamknąć drzwi i gdyby obudziła się...Nie, jeszcze się przestraszy, nie można, trzeba poczekać”.

Otworzyła oczy po szóstej.

– Jesteś – szepnęła.

- Wstawiałaś w nocy?
- Tak, okryłam cię, mocno spałeś.
- Dziękuję.
- To ja dziękuję. Pocałowałem cię, nie czuleś...
- Nie, szkoda. Pójdę już, Bożeno.

Korytarz był pusty. Gdzieś na dole rozległy się tłumione kroki, brzęk naczyń i szczęk zamków. Pensjonat budził się do nowego dnia. Co on przyniesie?

Przyniósł wiele, i to już na samym, początku. Tuż przed ósmą, gdy zamierzał zejść na śniadanie, przyszedł nieznajomy mężczyzna, w którym każdy wyczułby milicjanta.

– Ja od majora Szymańskiego – podał Baxowi pakiet owinięty w szary papier.

Nareszcie! Oczekiwane z taką niecierpliwością informacje. „Przejrzę po śniadaniu” – postanowił rozrywając lak i pieczęć, ten Paweł zawsze był formalistą! List od przyjaciela schował do kieszeni. Rzucił mimo woli okiem na arkusz leżący na wierzchu. „Co za lichy? Kowalikówna? No tak, przegapili ci w zeszłym roku! Jakim cudem? Nie miała dowodu? Chyba tak... Spisali dane z książki meldunkowej albo takie, jakie podała! Co za osły”

Z arkusza wynikało, że prawdziwe imię i nazwisko żony artysty brzmiało... Nina Miller!

14.

Miller... To nazwisko oznaczało wiele. Tak nazywała się żona artysty, podobnie brzmiało panieńskie nazwisko zamordowanej Roźnowskiej. Siostry? Personalia rodziców inne, zarówno ojca jak i matki. Zbieg okoliczności? Może siostry przyrodnie?

Jedna z adnotacji w notesie Marii Reszel miała treść: N. Miller 1943 rok, 5 grudnia”. Co kryje litera N? I skąd, u licha, ta data?

Śniadanie upłynęło w przygnębiającym nastroju. Wszyscy wyczuwali, że coś wisi w powietrzu, nie każdy znał wieczorne wypadki, ale domyślał się, że wydarzyła się jakaś nowa historia.

Wiele oczu zwracało się ku gospodarzowi, wiele patrzyło na detektywa – ale ci milczeli. Dziennikarz próbował zagadnąć dziewczynę, obrzuciła go takim spojrzeniem, że szybko wsadził nos w talerz mlecznej zupy i udawał, że je.

– Smutny piątek – usiłował ratować sytuację Borowski. Przyseł mu W sukurs lekarz.

– Phoponuję, abyśmy zorganizowali jutho wieczorek taneczny. Ponieważ mamy przewagę panów, pophosimy pannę Hóźyczkę, żeby zaphosiła ze dwie koleżanki...

– Pan przecież ma dziewczynę! – nie przepuściła okazji studentka.

– Są inni, panno Bożeno, na przykład pan Ingemah, pan Kowalski, pan Peteh...

– Pan Kowalski będzie miał z kim tańczyć – studentka patrzyła wyłącznie na Połtykę.

– Doskonała myśl! – podchwycił Borowski. – Co państwo o tym sądzą?

– Przełożmy na niedzielę – wtrącił dziennikarz. – Jutro mamy ostatnie gry.

Myślał zapewne głównie o partii, jaką miał rozegrać z Norwegiem. Inne stanowiły formalność.

– O której godzinie zamierzacie panowie rozpocząć? – starszy Szwed spojrział najpierw na dziennikarza, potem na Norwega. Ci porozumieli się szeptem.

– Po zakończeniu innych gier – odparł dziennikarz. – Zatem nie wcześniej niż po obiedzie.

– Wobec tego – Borowski zatarł ręce i uśmiechnął się, zamierzał rozruszać swoich gości – wobec tego wieczorek zorganizujemy w niedzielę, po kolacji. Z uroczystym wręczeniem nagród.

– Nagrody możemy dać jutro – powiedział Wolf Swenson.

– Nie, nie! – Borowski uparł się przy swoim. – Będzie uroczystej! Wypijemy koniak, o ile zwycięzca...

– Złożmy się – rzucił propozycję artysta. – Trzeba kupić trochę wódki, jakieś wino...

– Nie „jakieś”, Oleś, ale kilka butelek wina! Dobrego! – poprawiła natychmiast połowica.

– Ja przygotuję zakąski – pośpieszył właściciel – zimne i gorące. Różycko, zaprosz na niedzielę ze dwie koleżanki!

– Dobrze, szefie.

Po posiłku detektyw wyszedł z pensjonatu i skierował się na podwórze. Spojrzał na wysokie drzewa. Strzał nie mógł paść z żadnej jodły. Ułożenie pocisku i kąt, pod jakim wbił się w ścianę, świadczyły, że strzelec musiał stać niżej. Poza tym jak wleźć na takie drzewo?

„Jak to mogło być? Gdyby siedział na jodle, pocisk wbiłby się. niżej niż na wysokości dwóch metrów, zrozumiałe i logiczne; najniższa gałąź znajdowała się na jednym poziomie z parapetem okiennym”.

Na wszelki wypadek detektyw obszedł pień drzewa, obejrzał dokładnie trawnik, żadnych śladów, żadnego zadrapania na korze. Skąd zatem strzelano?

Powiódł wzrokiem dookoła. Wysoki mur oddzielał posesję

Borowskiego od sąsiedniej. Z muru? Zaraz, na murze można swobodnie stanąć. Jeśliby przyjąć, że przeciętny mężczyzna ma od stu siedemdziesięciu do stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i strzela z wysokości głowy – kula powinna utkwic tam, gdzie utkwiała. Odległość? Około piętnastu metrów, najwyżej dwudziestu, a więc dla dobrego strzelca żadna. Celował w głowę, rzecz jasna.

Bax zbliżył się do miejsca, w którym prawdopodobnie stał nocny strzelec. Mur jak mur, szara elewacja, gdzieś tam brudnoczerwone plamy cegieł, tu i ówdzie kępy bluszczu. Spojrzał w dół i drgnął. Dwa wyraźne ślady stóp, głębiej odcisnięte w przedniej części. „Zeskoczył z muru” – pomyślał detektyw i nachylił się. Wyraźne, przecinające się kreski, tak... Były to ślady „traktorów”, butów na grubej, gumowej podeszwie, wygodne dla kierowców i dobre na slotę. Co tu dużo mówić! – widział identyczne na nogach Petera Nillsona!

Maria Reszel została uduszona rękami ubranymi w rękawice szoferskie, świadczyły o tym plamy smaru i benzyny na jej szyi. Morderca operował dłońmi w rękawiczkach, na żadnym szaliku nie było odcisków palców! A więc właściciel auta? Tak, na pewno, tyle że z gości „Rybitwy” własne wozy posiadali wszyscy Skandynawowie i dziennikarz. Borowski także miał fiata...

Wróciwszy do siebie zajął się lekturą otrzymanych informacji. Pierwsza dotyczyła Kowalików, a właściwie autentycznego malarza Aleksandra Kowalika i jego przyjaciółki czy też konkubiny Niny Miller, stanu wolnego, a ściślej mówiąc, panny. Malarz był żonaty i należało się domyślać, że miał upartą żonę, skoro przez piętnaście lat nie uzyskał z nią rozwodu. Bo przez taki właśnie czas przebywał pod opieką troskliwej pani Niny, dobrego, a

prawdę powiedziawszy złego ducha swoich inspiracji twórczych i natchnienia. Na stałe byli zameldowani w Katowicach, mieszkali w różnych miastach, detektyw z pewnym zdziwieniem wyczytał z bardzo szczegółowego materiału, że Nina tańczyła niegdyś w Operetce Łódzkiej. „Stąd ta obsesja do przeistaczania się w modelkę!” Mistrz Kowalik, absolwent Akademii Sztuk Pięknych – a jakże! – otrzymał za swą twórczość nawet nagrodę państwową trzeciego stopnia, ale przecież nie stopień był tu ważny. Widocznie od tamtej pory zajął się... aktami i tak zmarnował swój niewątpliwy talent.

Rożnowscy. Byli małżeństwem od czterdziestego ósmego, cały czas w Szczecinie. Różne prywatne interesy, to futrzarstwo, to handel, to jakaś drobna produkcja. Prowadziła owe interesy raczej ona, męczyzna więcej czasu poświęcał na szachy. O, ważny szczegół, bardzo ważny! Rożnowska miała w Świnoujściu willę, sprzedała ją w roku sześćdziesiątym pierwszym, nabywcą był... Borowski! Zgadza się, ulica Żeromskiego, numer czterdzieści dziewięć, obiekt ów nosi obecnie romantyczną nazwę... „Rybitwa”! To ci dopiero! Nawet niedrogo, trzysta osiemdziesiąt tysięcy, no, ale budynki w owym czasie były tańsze, może też dom był zniszczony?

Akt własności otrzymała kobieta jeszcze na nazwisko panińskie, w roku czterdziestym siódmym. Dom stanowił spadek po ojcu, a więc... To tłumaczyło wiele! Odwiedzając „Rybitwę” od szeregu lat Rożnowscy czuli się w niej niemal, jak u siebie, znali rozkład domu, zapewne tajne schowki...

Janusz Milewski. Kawaler, cały czas w dziennikarstwie sportowym, główne zainteresowanie, rzecz można, pasja – szachy. Teoretyk, zawodnik, autor zadań czy, mówiąc fachowo, kompozycji

szachowych. Częste wyjazdy do Szwecji i Norwegii, Sztokholm, Malmo, Oslo... Niektóre wyjazdy dłuższe, przysyłał wtedy do rodzimej gazety korespondencje, niekoniecznie o tematyce sportowej. Detektyw wiedział o akcjach dziennikarza w Szwecji, prawdziwy cel tych eskapad jawił się jak na dłoni, tylko skąd średnio zarabiający polski redaktor ma je za granicą? O żadnym spadku informacje nie mówiły, mogły być zresztą niekompletne.

Roman Borowski mieszkał w Świnoujściu od czterdziestego piątego, a właściwie był na tych terenach jeszcze w czasie okupacji. W czterdziestym drugim został wywieziony z Warszawy na przymusowe roboty do wojskowego ośrodka w Peenemünde i po wyzwoleniu pozostał nad Świną. Ha! Same niespodzianki! Po wojnie prowadził w Świnoujściu przedsiębiorstwo budowlano-rozbiórkowe, obłowił się wtedy nie najgorzej, był nawet radnym powiatowej rady narodowej. Potem otworzył warsztat fotograficzny i musiało mu dalej niezłe się powodzić, świadczyło o tym nabycie domu. Wdowiec od roku pięćdziesiątego, milioner, dosłownie, jego konto bankowe składało się z siedmiu cyfr. Polska Ludowa szczerze wynagradzała pracowitych obywateli, ten zaś należał do nadzwyczaj zaafierowanych: zakład fotograficzny, pensjonat na kilkanaście miejsc, luksusowo urządzone i drogi, wyżywienie...

Skrócona biografia lekarza nie przedstawiała się zajmująco. Studia ukończył niedawno, pracował w szpitalu miejskim w rodzinnym Poznaniu. Jego matka również była lekarzem, ojciec nie żył. Posiadali skromny domek na przedmieściu, pewnie z ogródkiem. Wszystko.

Życiorys Marii Reszel był znacznie bogatszy, a co najważniejsze

ciekawszy. Autochtonka, zamieszkiwała w Świnoujściu od roku trzydziestego, stanu wolnego, znów panna. Biedne kobiety! Zaraz, co to? Detektyw raz jeszcze przebiegł wzrokiem gęsto zapisane rubryki arkusza ewidencyjnego. Przed wojną Maria Reszel pracowała w charakterze gospodyni u niejakiego... Normana Millera!!! Ojca Rożnowskiej!!! W tym domu, w którym on teraz studiuje tę pasjonującą lekturę!

Detektyw przetarł spocone czoło. Złoto – nie informacje! A więc ów zapisek „N. Miller 1943 rok, 5 grudnia dotyczył starego Millera! Data jest pewnie dniem jego śmierci... A żona artysty? Chyba jednak kuzynka... Trzeba to wszystko głęboko przemyśleć.

Dane dotyczące Skandynawów były skromniejsze, cóż, władze szwedzkie i norweskie z pewną ostrożnością odnosiły się do zapytań polskiego urzędu; nigdy nie wiadomo, co ci komuniści tam wymyślą! Ale handlować z nimi warto i przyjeżdżać warto, i w ogóle wszystko warto!

Ingemar Swenson, jak utrzymywał, posiadał dużą fabrykę sprzętu rybackiego w Sztokholmie, jakieś akcje w firmach innych i udziały w interesie brata. Wolf Swenson, główny akcjonariusz i współwłaściciel stoczni rybackiej w Malmö – mówiąc po naszemu – kooperował z zakładem brata, pracowali przecież w jednej branży.

Peter Nillson, wbrew pozorom, nie utrzymywał się z praktyki adwokackiej. Posiadał jakieś bliżej nieokreślone akcje, miał też kilka nieruchomości, wszystko w Oslo. Podobnie jak starszy ze Szwedów był wdowcem z tym, że miał dwoje dzieci. Z informacji nie wynikało, w jakim były wieku.

Detektyw przebiegł wzrokiem fragmenty informacji szczególnie interesujące, potem schował dokumenty do torby. Po namyśle

wyjął je i zwinął w rulon. „Oddam do akt sprawy, tam będą bezpieczniejsze, Paweł nieźle się spisał”.

List od przyjaciela był krótki i serdeczny, wyjaśniał też – przynajmniej na razie – przyczyny ucieczki Roźnowskiego. Machinacje finansowe... Tylko wstyd przyniósł tej pięknej grze. Szczeciński organ skarbowy dobierał się do jego skóry od lat, groził mu domiar i plajta, ale czy to był wystarczający powód do ucieczki z kraju? A może zamordował żonę i bał się odpowiedzialności za ten czyn? W każdym bądź razie Maria Reszel nie zginęła z jego ręki, przynajmniej bezpośrednio nie miał z tym nic wspólnego.

Przemysłać wszystko, każdy szczegół. Najlepiej na długim spacerze. Umysł detektywa pracował najlepiej, gdy ten szedł daleko, bez celu. Wschodnia część miasta nie była zabudowana, asfaltowa szosa ciągnęła się wśród drzew ogromnego parku. Po drodze wstąpił do komendy, zostawił szary pakiet. Powiedział porucznikowi: – Niech pan zamówi rozmowę do majora Szymańskiego i podziękuj mu za pomoc. Materiały okazały się cenne. Aha i niech pan powie majorowi, że domyślał się, o co grają szachiści, nie zapomni pan? A co u pana? Wygrywa pan już z synem? Doskonale! Czekaj pan partia ze mną, proszę pilnie trenować, poruczniku.

Wyszedł z budynku uśmiechając się do siebie. Jego trop okazał się właściwy, teraz został podparty dowodami. W swoich spekulacjach brał go pod uwagę, ale były to tylko spekulacje. Motyw. Ważna rzecz. Czasem trudniejsza do ustalenia, czasem łatwiejsza. Brakuje jeszcze paru ogniw, drobiazg. Używając metafory mógł powiedzieć, że łańcuch był prawie gotowy. Niepokojąco proste, ale chyba prawdziwe... To „chyba” na wszelki wypadek, bo

jeszcze te ogniwa... Jutro rozpoczynała się decydująca gra, on, Bax, także wykona ruch...

Kto wygra? W szachy, rzecz jasna. Zimny i skupiony zawsze Peter Nillson, którego interesy w Norwegii przedstawiały się opłakanie, czy pełen fantazji Janusz Milewski? Czy to ważne? Ktoś zwycięży na pewno, zatriumfuje żelazna konsekwencja lub mądra brawura, remisów w owym pojedynku być nie może, ustalono, że w wypadku nierozstrzygnięcia pierwszej partii będzie się grać następną, i tak aż do skutku, aż do wyłonienia najlepszego zawodnika turnieju. Triumfator miał otrzymać piękny, srebrny puchar wartości kilku tysięcy złotych i oryginalny koniak wyprodukowany w słonecznej Francji, solidnego rocznika. Pierwsza nagroda. Bax jeszcze w tej chwili nie wiedział, o co grano naprawdę, ale był skłonny założyć się o każdą sumę, że prawdziwa nagroda znacznie przewyższała swoją wartością kilka podobnych pucharów i Bóg jeden wiedział, ile butelek koniaku, nawet najstarszego i najdroższego rocznika.

15.

Wokół stolika zebrali się wszyscy pensjonariusze „Rybitwy”, był także właściciel, nawet Różyczka, zaglądając artyście przez ramię, wścibiała swój zadarty nos i przewracała oczami, jakby cokolwiek z gry rozumiała.

Norweg wylosował białe i okoliczność owa zdawała się już na początku zdeprymować dziennikarza. Przeciwnicy podali sobie ręce, starali się żartować, wyszło to sztucznie, zbyt byli przejęci, zbyt skupieni. Poza tą grą i sprawą pierwszego miejsca wszystkie

inne wątpliwości turnieju zostały wyjaśnione do południa: trzecią lokatę zdobył malarz, następne nie miały żadnego znaczenia... Ciekawostką można by nazwać zajęcie ostatniego miejsca przez... lekarza, przegrał biedaczysko z rana z małym Olafem i naraził się tym na kpiny, chłopiec zaś wykazujący niewątpliwy talent i zacięłość w grze zyskał miano najambitniejszego zawodnika turnieju i chodził teraz w chwale. Czekał nań piękny album...

Szachy, jak powiedziano, to wojna. Jeśli spotka się w tej grze dwóch dobrych graczy – wojna ta bywa pełna podstępów, pułapek, bezpardonowych bitew o pozycje, atak i figury. Liczył się w niej każdy ruch, ważny był każdy pion, często jego strata lub nawet oddanie inicjatywy przeciwnikowi oznaczały porażkę, do tego samego prowadziło także zbytne szarżowanie i lekceważenie partnera.

Ustawiali figury powoli, z namysłem. Piony, król, hetman, gońce, skoczki i wieże. Szesnaście na szesnaście, naprzeciw siebie, w równym szyku, nie było w tym jednak idealnej równowagi: pierwszy ruch wykonywały białe i one mogły atakować przez obranie ofensywnej strategii. Nie oznaczało to jeszcze zwycięstwa, ale dawało pewną przewagę, niewielką zresztą. W historii szachów znani byli gracze, którzy woleli grać czarnymi.

Białe wylosował Norweg. Zastanawiał się nad pierwszym ruchem, chodziło o koncepcję gry, o wybór rodzaju partii. Zaczął skoczkiem, czyli koniem, dziennikarz jakby na to czekał, prawie bez namysłu wysunął do przodu podobną figurę.

Detektyw stwierdził, że grano partię defensywną, z zastosowaniem tak zwanej obrony królewsko-indyjskiej, jego przekonanie potwierdziły następne posunięcia, wybitnie remisowe. Tak bywa, że dobrzy szachiści zaczynają walczyć na serio dopiero w grze

środkowej, jakoż istotnie do dwudziestego ruchu żadnemu z rywali nie udało się osiągnąć chociażby małej przewagi. Straty w pionach i figurach były jednakowe, z tym że Norweg miał nadal inicjatywę, nic dziwnego, skoro zaczął pierwszy.

Po kilku kwadransach sytuacja zagmatwała się, obserwujący nie byli w stanie dokładnie przewidzieć zamiarów obu graczy, ich taktyki i planów. Norweg zacisnął mocno wargi, jego chudawa twarz ściągnęła się w szczupłym grymasie, głowę ujął w dłonie. Dziennikarz stracił zwykły rezon, ba, wydawał się być zdezorientowany, nie uśmiechał się, nie patrzył na boki.

Nagle wytarłszy spocone czoło poprosił o przerwę, zaskoczyło to Norwega i wszystkich obecnych. Przyjęło się bowiem, że czynili tak szachiści znajdujący się w gorszym położeniu, zamierzający odetchnąć odświeżyć umysł, po prostu wypocząć. Przerwa przecięła ciszę, zaczęło dyskutować o grze, zdania na temat końcowego wyniku były podzielone.

Norweg cmił fajkę, jego przeciwnik palił papierosa za papierosem, może żeby uspokoić nerwy, a może wskutek zakazu palenia w czasie gry. Bax stał przy oknie; analizując przebieg partii na bieżąco wiedział, że Norweg miał tylko przewagę ataku, rzecz normalna, ale orientował się także, że dziennikarzowi coś się nie kleiło, bronił się i nie mógł uchwycić inicjatywy, źle się czuł w defensywie. Podeszła studentka.

- Byłeś z rana zajęty? – głos jej mie zawierał wyrzutu. – Nawet nie spojrzalesz na mnie.
- Musiałem przemyśleć parę ważnych rzeczy, przepraszam.
- Pójdziemy potańczyć?

- My?
 - Tak, my, ty i ja, tylko we dwójkę.
 - Nie umiem tańczyć, ostatni raz...
 - Dzisiaj taniec to łatwa sztuka, Art, stoisz w miejscu i uginasz się w kolanach, niekoniecznie do taktu. Umiesz więc. Masz jeszcze jakieś wymówki?
 - Jedną, ale nie do przewyciężenia: brak garnituru.
 - W miejscowości wczasowej można bawić się w turbanie i w slipach. Byłoby ci nawet do twarzy. Zatem idziemy? Do „Albatrosa”, muszę zatrzeć wrażenie z tamtego dansingu...
 - Bożeno, ja naprawdę mam tylko ten strój! – Bax był ubrany w zwykłe spodnie i flanelową koszulę w kolorową kratę.
 - Na sportowo, ja ubiorę się na małą dziewczynkę, będziemy pasowali do siebie jak ulał! O, możesz zawiązać sobie szaliki.
 - Przestałaś się bać?
 - Chyba już się nic nie wydarzy, panie detektywie?
 - Gdybym to wiedział... Chciałbym pokibicować do końca.
 - Skończą do dziesiątej. Po kolacji pójde wykupić karty wstępu, fajno?
 - Fajno, co powie Janusz?
 - On nie ma nic do gadania.
 - Popatrz, jest wytracony z równowagi, nie żal ci go?
- Ledwie uchwytny błysk w oczach dziewczyny sprawił, że detektyw na moment pożałował swoich słów. „Bzdura z tym zerwaniem – myśli o nim nadal”.
- Jak mu idzie, Art?

- Nie najlepiej, chyba nie wygra tej partii.
 - Był pewny siebie... Wielka rzecz puchar! Kubeł zimnej wody robi dobrze każdemu pyszałkowi!
 - Tutaj nie chodzi o puchar.
 - A o co?
 - Może o... ciebie.
 - Nie lubię takich żartów, Art! O co więc chodzi?
 - O stawkę, dla której, być może, zabito dwie kobiety.
 - To niepojęte! Szachy mają z tym coś wspólnego?! Przecież to niewinna gra! Dlaczego jesteś taki tajemniczy? Sam nie masz pewności!
 - Nie mam wystarczających dowodów. Grają w każdym bądź razie o rzecz znacznie ważniejszą niż puchar.
 - Możliwe, to zacierzewienie Janusza wydało mi się od dawna podejrzane. Niewykluczone. O co mają grać, o pieniądze?
 - Coś w tym sensie.
 - Dlatego ma taką minę! Przecież jeszcze nie przegrał!
 - Norweg ma lekką przewagę...
 - Uważasz, że mam podejść do niego i dodać mu otuchy? – drwina w głosie studentki była oczywista.
 - Pomogłoby mu to.
 - Czekam, aż mnie przeprosi za wczorajsze zachowanie, po winien już z rana...
 - Nie dziw mu się: myślał tylko o grze, to naprawdę wyczerpuje. Popatrz na niego, jest po prostu bezradny.
- Po krótkim namyśle i wahaniu dziewczyna obejrzała się w bok. Dziennikarz stał samotnie i zaciągał się kolejnym papierosem. Wyraz jego twarzy był daleki od tego, co zwykle nazywać się pewnością siebie.

– Rzeczywiście, nigdy go takim nie widziałam. Art, co się tutaj dzieje?

– Nie rozumiesz? Co za dziewczyna! Żal mi go, dlatego powiem: zamiast o szachach myśli... o tobie, podejdz i przeprosi cię. Łatwiej też dojdzie do siebie.

Chwila zastanowienia, potem szybka decyzja.

– Dobrze. Zamienię z nim kilka słów, bądź gotów przed dziesiątą.

Milewski wrócił do stolika ze spokojnym obliczem. Posłał Baxowi przyjazny uśmiech.

Gra toczyła się dalej. Kontemplacja nad poszczególnymi posunięciami stawała się coraz dłuższa. Kolacja przerwała grę na pół godziny, potem kontynuowano pojedynek, coraz zaciętszy. Zbliżała się godzina dziewiąta trzydzieści, obustronna strata pionów, następnie wymiana wież, w tej fazie partii nie było już żartów, liczył się każdy walor, figurowy i pozycyjny. Naraz Norweg zbladł, podstawił piona, gdzieś tam przechytrył, źle obliczył ruchy – dziennikarz wykorzystał to natychmiast.

Małe poruszenie wśród obserwujących. Milewski najpierw nabrał w płuca powietrza, potem szybko, z uczuciem ulgi odetchnął. Przypominał boksera stojącego w narożniku po udanym, niespodziewanym ciosie nokautującym przeciwnika. Norweg schował twarz w dłonie, odjął je, zmrużył oczy, zanotował coś pośpiesznie w małym notesiku, który leżał na stole, sięgnął po fajkę, odłożył ją, pokiwał bezradnie głową. Błąd, popełnił oczywisty błąd, wskutek którego stracił piona. Chciał przyprzeć dziennikarza do muru, przeszarżował, teraz będzie musiał przejść do obrony.

Dziennikarz atakował, Norweg myślał coraz dłużej, gra przeciągała się. Do końcówki pozostało jeszcze najmniej kilkanaście ruchów.

– Może przerwiemy? – zaproponował wspaniałomyślnie potencjalny zwycięzca. – Dokończymy jutro z rana.

Norweg zgodził się bez zastanowienia. Przez kilka godzin nocnych zamiast spać będzie analizował partię i jej wszystkie warianty, zastanawiał się nad dalszą taktyką, być może spisze to na kartkach. Trzeba wykorzystać chwilowe zawieszenie broni. Jego przeciwnik musiał mieć podobne zamiary, bowiem zaraz po zapisaniu stanu partii wymknął się ze świetlicy.

Studentka przyszła z kartami wstępu i... tak ubrana, że Baxowi zaparło dech w piersi. Odmieniona i jeszcze piękniejsza. Błękitna sukienka z szerokim, białym kołnierzem, jasne pantofle, cudo nie dziewczyna! Uśmiechnęli się na jej widok Szwedzi, wyciągnął szyć malarz, cmoknął z zachwytu Borowski.

Detektyw zaczął coś mówić, przerwała mu ze śmiechem.

– Nie wygłupiaj się, to dobrze, że ci się podobam.

– Nie tylko. Będę przy tobie wyglądał jak...

– Oszczędź sobie, Art! Jak partia?

– Przełożona na jutro, czarne mają przewagę, pomogło, widzisz?

– Nic nie widzę, chodź, złapiemy taksówkę, dostałam dobre miejsce, będziemy sami.

Sala dancingowa reprezentacyjnego lokalu nocnego była zatłoczona jak pudełko sardynek. „Rzeczywiście, wcale nie trudne te tańce” – Bax tylko na początku miał tremę. Z nogi na nogę, skłony, zgięcia, podrygi, podskoki, klaskania, kręcenie się w kółko – wszystko było dozwolone, ba każda gimnastyczna innowacja była

z miejsca przechwytywana przez pozostałych tancerzy, ten, kto wymyślił najwięcej figur – walczył na śliskim parkiecie o miano najlepszego. Po kilku kieliszkach detektyw nie różnił się od innych mężczyzn, niektórych nawet przewyższał, wymachiwał bowiem w oryginalny sposób łokciami i ruszał brodą, jakby zamiast szalików miał na szyi cienki, lecz ciasny kołnierzyk. Z uwagi na strój i ładną, a właściwie superładną dziewczynę był brany za Szweda i nawet naśladowany, ci na zachodzie we wszystkim byli pierwsi, nawet w wygłupach, a może zwłaszcza w wygłupach, w każdym bądź razie takiego machania górnymi kończynami nikt nie widział nie tylko w Świnoujściu, ale i w najbardziej zwariowanym mieście zachodu.

Bożena... Były obok ładne dziewczyny, niebrzydkie kobiety, ale, co tu dużo mówić, żadna nie zwracała na siebie takiej uwagi. Wdzięk, młodość, no i wspaniała sylwetka! Jej sukienka, jak na gust konserwatywnego detektywa, była nieco za krótka, ale za to jakie nogi odstaniała! Gapili się wszyscy, tym bardziej że tańczyła z temperamentem i z wdziękiem.

Minęła dwunasta, pierwsza, zbliżała się druga.

– Zjedźmy coś gorącego – zaproponowała dziewczyna.

Kelner sprowadził ich na ziemię. W kuchni i w bufecie zabrakło jedzenia, wódki było tylko pod dostatkiem.

– Przyniosę kurczaka z rożna, patrz, inni tak robią – Bax wskazał na sąsiedni stolik.

– Dobrze, wódki mamy jeszcze sporo. No i jak zabawa?

– Cały jestem mokry, nie chciałem żeby inni z tobą tańczyli. Ten facet z boku cały czas wybałusza na ciebie gały.

– Przeszkadza ci to? Tańczysz jak szatan, Art, wybierzemy się jeszcze kiedy?

– Nawet codziennie!

O drugiej orkiestra zaczęła prowokacyjnie pakować instrumenty, znalazło się kilku chętnych na koncert życzeń, dwie, trzy minuty za sto złotych, pięć minut za pięćset. Żadna zabawa.

– Idziemy, Art, gdzie twoje szaliki? Detektyw rozejrzał się, spojrzął pod stół...

– Leżały tutaj – wskazał na poręcz krzesła.

– Nie widziałam ich od dawna. Może na oknie... dziewczyna ugryzła się w język, skojarzenie było zatrważające. Detektyw nagle zbladł.

– Co się stało, Art?

– Zostań, Bożeno, muszę szybko biec do pensjonatu!

– Pójdziemy razem, czekaj, mie śpiesz się tak! – Masz pieniądze i zapłać, to ważne, ja...

– Art, poczekaj, pój...

Nie słyszał już słów dziewczyny. Rzucił się ku drzwiom roztrącając ludzi, wypadł na ulicę. Szybko, do taksówki! Kolejka, ale to nieważne! „Panie, my tu czekamy!” Czekajcie zdrowi.

Taksówkarz zdziwił się, ale ruszył natychmiast. Stuzłotowy banknot, który mu ten dziwny pasażer wetknął od razu w rękę, sprawił, że pognał niczym rajdowiec. Przed pensjonatem auto zahamowało gwałtownie, Bax wyskoczył i podbiegł ku wejściu, budynek tonął w ciemności, dobrze, że miał przy sobie klucz, zabezpieczyli się, jak wszyscy, którzy wychodzili na noc, szybko, szybko! W hallu panowała nieprzenikniona czerń, gdzież do diabła był ten kontakt?! Był. Pstryknięcie, nadal ciemno, brak światła wewnątrz... Młody człowiek po omacku odszukał schody i pognał do góry starając się pokonywać po dwa lub trzy stopnie na raz, pierwsze piętro, drugie...

Jakiś trzask!... Szybko! Cholerne ciemności, sadza, smoła, tusz, Egipt – wszystko do kupy. Znów jakiś odgłos, wyraźniejszy, ale niesprecyzowany... Instykt samozachowawczy został stłamszony jedną myślą: Milewski!!!

Drzwi pokoju dziennikarza. Ręka na kłamce. Otwarte? Dziwne... Bax popchnął i jego umysł zarejestrował nagły, oślepiający błysk, ból w głowie i całym ciele... Straszliwy ucisk czaszki, jakby naraz znalazła się w stalowych kleszczach... Spadanie w przepaść, lekkie, spokojne, niosące ukojenie i zapomnienie.

16.

Morderca uderzył jeszcze raz. Trzeba było ostrożniej... ale mógł nie zdążyć – te sekundy zadecydowały. Bax wiedział, że przeciwnik czaił się, że zamierzał ponownie wyciągnąć swoje zbrodnicze łapy – ale to miało nastąpić o dzień później, w niedzielę, po zakończeniu decydującej gry... Pośpieszył się Czarny Koń, dlaczego? Bał się, tak, z całą pewnością bał się!

Otworzywszy oczy Bax powiódł na wpeł przytomnym wzrokiem wokół siebie. Twarz studentki, przejęta, z wyrazem lęku i współczucia. Obok niej stał lekarz, z poważną miną, dalej Borowski i inni, ich głowy falowały, rozplywały się w rozdygotanym powietrzu. Detektyw zamknął powieki, po chwili podniósł je z powrotem, obraz stał się wyraźniejszy. Do świadomości dotarł głos medyka, daleki i huczący:

- No, wszystko w porządku – musiał dać tamtym jakiś znak,

bowiem zniknęli, tylko oczy dziewczyny trwały na swoim miejscu.

– Co to było? – własny głos zadudnił obcym echem.

– Uderzenie ciężkim narzędziem – odpowiedział lekarz. – Całe szczęście, że ma pan twałod czaszkę, podejrzewałem wstrząs mózgu, skończyło się na omdleniu.

– Długo... byłem... nieprzytomny?

– Z pół godziny, proszę leżeć spokojnie, huchy mogą szkodzić.

– Co on plecie? Huchy? jakie huchy? Aaa! Ruchy!

– Co z redaktorem? – dopiero teraz Bax uświadomił sobie cel owej zwariowanej gonitwy, szczegółów jednak nie był w stanie sobie przypomnieć. Gnał na pomoc. Czy zdążył? – ta myśl przyniosła wspomnienie bólu, musiał skrzywić się, bo lekarz znów pomachał dłonią.

– Niech pan leży i o niczym nie myśli! Panu Milewskiemu nic się nie stało.

„Zatem zdążyłem, to dobrze”. Ból ustępował, ciało zalała fala gorąca.

– Czuję się nieźle, wstanę...

– Dam panu jeszcze jeden zastrzyk – ukłucie przyniosło dalszą ulgę, usiłował podnieść się, lecz głowa poleciała mu w tył i młody człowiek opadł na posłanie.

– Proszę leżeć, będziemy rozmawiali, tylko powoli i cicho.

Bax usiłował zebrać myśli. Nic z tego, taśma z obrazami pamięci była nadal poplątana. Bożena, aha, ten ładny, biały kołnierz...

– Przypomnij mi, Bożeno...

– Byliśmy w „Albatrosie”. – Odnotował zdziwienie na twarzy

medyka. Cóż on u licha, wyobraża sobie?! Nie stać mnie na podewranie ładnej dziewczyny? – Chcieliśmy wyjść, zaginęły twoje szaliki, potem pobiegłeś do drzwi...

„Zaraz, szaliki? Tak, to one nasunęły przypuszczenie... Taksówka, szalona jazda, ciemność w pensjonacie... Bieg po schodach, skradanie się w korytarzu... No tak, potem drzwi, klamka, jakiś błysk... Co to było?”

– Kto mnie odnalazł?

– Ja – głos dziewczyny brzmiał jak najłagodniejsza muzyka. – Pobiegłam za tobą, złapałam taksówkę, trwało to jednak kilka minut. Drzwi pensjonatu były otwarte, zatrzymałam się w hallu, nie wiedziałam, gdzie jesteś, bałam się, całe szczęście, że taksówkarz nie odjechał, poprosiłam go, żeby wszedł ze mną, miał latarkę... Nie męczyci cię moje opowiadanie?

– Mów dalej.

– Chciał szukać bezpieczników, ale wyrwałam mu latarkę i pobiegłam na górę. Nikogo nie spotkałam. Leżałeś na korytarzu przed drzwiami pokoju Janusza, głowę miałeś zakrwawioną – dopiero teraz detektyw uczył, że skroń uciska mu opatrunek. – To było... straszne, Art. Chyba coś krzyczałam...

– Dahła się pani wniebogłosy! Wskoczyłem z łóżka, było ciemno, ta latahka wphawdzie świeciła, ale co to za światło! Mimo to wyszedłem na kohyrtarz! – w słowach młodego medyka zabrzmiała duma.

– Sądziłam, że nie żyjesz, dlatego tak przeraziłam się... Pan doktor zaraz zajął się tobą, oddychałeś, mój Boże... Potem... nastąpiło... to... –przerwała swój nieskładny monolog.

– Co, Bożeno?

– Niech pan doktor powie, widział pierwszy, zresztą ja nie... mogę, nie potrafię...

– Stwiehdziwszy, że nic się panu nie stało, wysłałem pana Kowalika, który w międzyczasie nadszedł, po apteczkę na dół, potem zaświeciłem w głąb pokoju hedaktoha i... zawahał się, spojrzął na detektywa i widząc jego zachęcający ruch ręki dokończył: ... i zobaczyłem pana Milewskiego leżącego na tapczanie. Sthaciłem ohientację, panna Bożena znów zaczęła krzyczeć, pani Kowalikowa lamentowała, cóż, kobiety...

– Ciągłe nie było światła?

– Nie, dość długo. Kiedy wheszcie zapaliło się, kazałem pana zanieść do siebie, a sam wszedłem do hedaktoha, nie pohuszał się, ale oddychał, poleciłem wezwać pogotowie, zabhano go niedawno do szpitala.

– Nie badał go pan?

– Pobieźnie, spał twahdo, łyknał chyba o jedną pigułkę za dużo.

– Spisał się pan dzielnie, doktorze, dziękuję; Mogę wstać?

– Nie byłoby to wskazane. Boli pana głowa?

– Nie – skłamał Bax. Bolała jak diabli. Lekarz uwierzył.

– Ma pan silny ohganizm, jeśli tak. Powinien pan jeszcze położyć w spokoju, chociaż z pół godziny, tym bahdziej że jest noc...

– Noc? Aaa, tak, w samej rzeczy! Czas mi się poplątał. Jeszcze raz dziękuję, doktorze.

Młody człowiek odwrócił głowę i spojrzął w okno. Właśnie świeciło. Brzask kładł pierwsze smugi na szybach. Zerknął na zegarek, było wpół do czwartej.

– Pójdę już – powiedział lekarz. – Pani zostanie?

Gdy dziewczyna skinęła głową, dodał:

– Gdybym był potrzebny – jestem u siebie, phoszę zastukać.
Wyszedł, zostali sami, Bax wskazał fotel, usiadła obok, na tapczanie.

– Masz kawę? Przyniosę od siebie, napijemy się...

Wróciła po chwili z elektrycznym dzbankiem, pudełkiem kawy i szklankami.

– Art, jestem wstrząśnięta... To nie na moje siły... Nie możesz wziąć do pomocy kilku milicjantów?

– Co by to dało? – Zresztą korzystam z pomocy milicji...

– W niewystarczającym stopniu.

– Nie można inaczej, muszę sam...

– Już dwa razy cię zaatakowano, Art, to nie zabawa! A Janusz, co z nim mogło się stać?

– Uśpiono go mocną dawką środków nasennych, potem...

– Nie kończ, domyślam się..:

– Najważniejsze, że zdążyłem.

– Okropny dom.

– Wkrótce będziemy mieli to za sobą, słowo.

– Jesteś podobno wybitnym detektywem, niczego nie podejrzewasz?

– Mam hipotezy...

– Hipotezy! Zabiją cię razem z twoimi hipotezami! Nie rozumiesz? – niemal krzyczała. Była wzburzona, wyglądała jednak tak ładnie, że Bax uśmiechnął się. – Proszę, a on się śmieje! Chcesz podwójną?

Krzątała się kilka chwil przy czajniku. Kawa parzyła usta.

– Jesteś zmęczona?

– Bardzo, zaraz pójdę, nie wiem, czy obudzę się, zastukaj do mnie o siódmej.

Po śniadaniu wsiedli w taksówkę i przejechawszy parę ulic

znaleźli się przed szpitalem. Staruszek w uniformie nawet słyszeć nie chciał o wpuszczeniu ich do środka, chociaż dziewczyna przytomnie podała się za siostrę dziennikarza. Bax uciekł się do argumentu może nie tak starego jak świat, ale niezawodnego i w ten sposób znaleźli się za bramą.

– Masz refleks! – pochwalił dziewczynę. – Gdybyś ty naprawdę była jego siostrą...

– I tak byś się nie oświadczył!

Dyżurny lekarz był wyrozumialszy niż portier.

– Milewski! Tak, wiem. O co chodzi?

– Pani jest żoną – zrewanżował się dziewczynie detektyw – bardzo niepokoi się o męża...

– Pójdę sprawdzić, chwilczkę – lekarz jeszcze raz zmierzył studentkę pełnym podziwu spojrzeniem i odszedł.

– Art, nie rób ze mnie idiotki!

Lekarz wrócił i oświadczył:

– Niestety nie można chorego odwiedzać.

– Dlaczego?

– Jest niedysponowany.

– A bliżej?

– Jest nieprzytomny,

– Mogę go zobaczyć? Tylko rzucę okiem – uparł się Bax.

– Hm... Pan nie z milicji?

– Jak panu wygodniej, to bardzo ważne, może pan zatelefonować do porucznika Wiatra z Komendy powiatowej.

– Znam, wierzę panu. Pani jednak musi zostać, z jednej osoby jakoś się jeszcze wytłumaczę...

Detektyw włożył biały fartuch i udał się za lekarzem na pierwsze piętro. Dziennikarz leżał w pojedynczej salce, jego twarz miała barwę pergaminu, na czole srebrzyły się kropelki potu.

– Sam się tak urządził? – zaciekał się lekarz.

- Tak.
- Przez żonę? Ale babka!
- Fajna, prawda? Zdradzała biedaka... ze mną.

Lekarz spojrział na swojego gościa podejrzliwie, zanim zrozumiał, że ten żartuje.

- Pan go odbierał, doktorze?
- Nie mogę udzielać informacji, pan wybaczy... – nastroszył się raptem.

– Jestem zatem z milicji – pokazał lekarzowi legitymację wystawioną na wszelki wypadek przez Komendę Główną, rzadko, bo rzadko, ale przydawała się. Mężczyzna w białym kitlu tylko rzucił okiem na pieczęć.

– Tak. Stwierdziłem zatrucie dolarganem, to silny środek nasenny, zrobiłem płukanie, daliśmy zastrzyki...

- Jaka mogła być dawka tego środka?
- Spora, ale nie śmiertelna. Ma zdrowy organizm, skończyło się na zatruciu i kilkudniowym pobycie w szpitalu.

– Kiedy odzyska przytomność?

– Przepuszczalnie za godzinę, najdalej za dwie.

– Mówił coś w gorączce?

– Różne rzeczy: o szachach, jakichś pieniądzach, wykrzykiwał słowo „testament”, często też wymawiał imię Bożeny... To żona?

– Skądże, kochanka...

– Lepszy ptaszek, w tym wieku...

– Co mówił o testamencie?

– Że skradziono go. Klął także często, ładny ma repertuar, nawet po niemiecku...

– To poliglota. Czy mówił coś jeszcze? Niech pan Wszystko sobie przypomni, doktorze, to bardzo ważne.

– Krzyczał coś o Szwecji i zaraz... jeszcze o szachach, co to było? Coś w tym sensie: muszę mieć te szachy! Aha, i jeszcze jedno: „Bax jest groźny”. Co to takiego? To słowo obito mi się gdzieś o uszy...

– To taki... materiał wybuchowy, rzeczywiście bardzo groźny. Czy będę mógł zaczekać do czasu, aż odzyska przytomność? Muszę z nim porozmawiać!

– Kończę dyżur, przekażę koledze.

Dziennikarz otworzył oczy dopiero po dziesiątej.

Uśmiechnął się ujrawszy detektywa i studentkę. Starał się nadrabiać miną.

– Pańskie szaliki miały się zacisnąć na mojej szyi... powiedział niby żartem, ale sam wzdrygnął się.

– Sprezentuję panu jeden na pamiątkę. Przedtem jednak nakarmiono pana środkiem nasennym, nic pan nie wie na ten temat?

– Nie – dziennikarz naraz stał się całkowicie poważny. – Środkiem nasennym, powiada pan? To pewne?

– Wierzę lekarzom.

– Łyknąłem dwie tabletki luminalu, nie mogłem usnąć...

– To nie to. Ktoś panu jeszcze dołożył, nie domyśla się pan kto?

– Nie. Po grze udałem się do siebie i piłem tylko koktajl, sporządzam go według własnej receptury, mleko i mieszanina różnych soków, do tego kostka lodu. Nikogo u mnie nie było...

– Nie czuł pan niczego przed snem? Apatii, bólu głowy?

– Nie. Do dwunastej analizowałem partię, właściwie bawiłem się, wygram ją bez trudu. Potem poczułem senność, ale naturalną, nic wielkiego, byłem bardzo zmęczony, położyłem się, sen nie przychodził, dopiero wtedy łyknąłem luminal i wypłem koktajl.

Co się potem stało?

– Art uratował ci życie – wtrąciła dziewczyna.

Dziennikarz spojrział na nią, potem na detektywa.

Myślał o czymś intensywnie, zmarszczył czoło i skrzywił się z bólu.

– Dziękuję panu, Bax, cóż mogę teraz...

– Jak się czujesz?

– Dobrze, Bożeno, doktor mówił, że muszę parę godzin zostać, po południu będę w pensjonacie...

– Przynieść ci coś?

– Nie chciałbym cię faty... – zaczął, ale studentka przerwała:

– Daruj sobie skrupuły, co ci załatwić?

– Potrzebny mi garnitur i jakaś koszula, wszystko jest w szafie. Przywieziono mnie w piżamie...

– Coś jeszcze?

– Papierosy i może gazety...

– Porozmawiajcie sobie, delikwenci, macie wspólne tematy.

Wróć za godzinę.

Gdy dziewczyna odeszła, dziennikarz spojrział na detektywa.

– Delikwenci? Co ona miała na myśli?

– Nic, chyba to, że obu nas... puściła w trąbę.

– Jak to?

– Normalnie. Pan dostał kosza i wtedy uważałem, że jest wolna i mogę spróbować. Efekt ten sam.

– Pan żartuje... Miał pan jakąś przygodę?

– Oberwałem po głowie w drzwiach pańskiego pokoju.

– Do diabła! Teraz pan wierzy, że nie mam z tą historią nic wspólnego?

– Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym. Nie chce mi pan niczego powiedzieć?

– Jestem zobowiązany...

– Głupstwo – jak mawiał pewien ratownik. Kto pana chciał wyekspediować na tamten świat, o to mi chodzi.

Dziennikarz zamknął oczy i długą chwilę trwał w bezruchu. Potem zaczął mówić:

– Nie wiem, niestety... Może to dziwne, ale nie wiem, przysięgam... Domysły? Cóż one dadzą panu? Wie pan chyba więcej niż ja i co z tego? Ktoś mi wsypał do soku albo do mleka trucizny, zrobiłem koktajl sam. Jasne, chciał mnie uśpić, potem... Brr!... Pan mu przeszkodził... Dlaczego nie otruł? Przecież to proste...

– Chodzi zapewne o... metodę.

– Uważa pan, że robi to maniak lub szaleniec? Hm... Niewykluczone. Normalny człowiek nie odważyłby się na podobne wyczyny, fakt.

– Nie chce pan niczego powiedzieć?

– Nie wiem nic takiego, co by mogło pana zainteresować, klnę się na...

– Proszę nie kończyć, wiem, co ma pan najdroższego. Wobec tego zadam panu parę pytań, można?

– To przesłuchanie?

– Nie chodzi o słówka.

– Zatem słucham.

Bax patrzył dziennikarzowi prosto w oczy. Mocowali się wzrokiem dwie, może trzy sekundy.

– O co gracie w tym turnieju? Nie, nie mam na myśli pucharu i koniaku, chodzi o to, o co gracie naprawdę?

– Nie wiem, co pan ma na myśli, panie Bax – zły błysk zalśnił w oczach dziennikarza.

– Dobrze. Gdzie pan ukrył... testament?

Pytanie było zadane w ciemno, na chybił trafił, okazało się, że strzał był w dziesiątkę. Dziennikarz dosłownie zszarzał, spojrzął

na detektywa najpierw z obawą, potem z uznaniem, wreszcie na jego obliczu ukazał się wyraz zaciętością

– Rzeczywiście wie pan dużo, moje gratulacje! Nie powiem na ten temat ani słowa, są to moje osobiste sprawy, a właściwie nie tylko moje, dlatego będę milczał. Może mnie pan aresztować, ale i tak nie powiem, może dowie się pan od kogokolwiek innego, ode mnie nie!

– Od kogokolwiek innego? Chętniej tylko od kogo? – zapytał Bax na wszelki wypadek, dziennikarz był jednak sprytny.

– Sam pan powinien wiedzieć, panie Bax, zmieńmy temat...

– Proszę uprzejmie. Gdzie pan ukrył szkatułkę... Rożnowskiej?

Cios musiał być piekielnie silny, Milewski aż westchnął, postanowił jednak grać na zwłokę.

– Jaką... szkatułkę? – nie mógł opanować drżenia głosu.

– Uparł się pan udawać naiwnego? Dobrze, pańska sprawa. Niech pan jednak pomyśli: szkatułka stanowiła własność kobiety, którą zamordowano, pan ją ma, tę szkatułkę – związek przyczynowy będzie jasny dla każdego prokuratora. Każe pana tymczasowo aresztować i... cóż zresztą mówić! A zapewniam pana, że nad tą sprawą ma nadzór zupełnie bystry chłopak...

– Skąd pan wie, że to ja właśnie mam tę szkatułkę? Aaa, rozumiem! Wypaplała ta kretynka? – z takim określeniem, żony malarza detektyw w zasadzie się zgadzał. – Głupie, perfidne babsko! Szkatułka zaginęła jeszcze w zeszłym roku, szukałem czegoś innego, właśnie., testamentu, tak, panie Bax, sam szukałem testamentu.

„Ma refleks – ocenił detektyw. – Zorientował się, że błędę

i będzie udawał Greka. Czekaj no, bratku!”

– Tekst testamentu znał pan na pamięć, mniejsza z tym. Jeszcze jedno pytanie...

W drzwiach ukazała się studentka, detektyw powstrzymał ją ruchem ręki.

– Co pana łączyło z Roźnowską i jej mężem?

– Nic, poznałem ich w ubiegłym roku, tutaj, w Świnoujściu. Absolutnie nic.

„Ciekawe, czy wie o ucieczce Roźnowskiego? Chyba tak, szczwany lis, niech tam”.

– Nie będę pana teraz męczył, wrócimy do naszej rozmowy, redaktorze.

– Panie Bax, wiem, że podejrzewa mnie pan, trudno, może wiem cokolwiek, może owe wiadomości pomogłyby panu, ale proszę mnie rozumieć – są sprawy, o których nie można nikomu mówić, rozumie pan? Nie można! Nawet pod groźbą aresztowania... Może wyjaśnię to panu... no, powiedzmy jutro, najpóźniej pojutrze, zgadza się pan?

– Dobrze i to, niech będzie pojutrze...

– Przecież nie mógłbym zamordować samego siebie! Czyli nie ja posługiwałem się szalikami!

– Siebie rzeczywiście nie, byłoby to samobójstwo, ale tamte kobiety?

– Naprawdę pan myśli, że mógłbym je pozbawić życia?

– Nie mówmy o tym, trzymam pana za słowo, zależy mi na tej rozmowie – Bax postanowił uspić czujność dziennikarza. – Pomoże pan mnie, ja pomogę panu. Kiedy chcecie rozegrać tę partię szachów?

– Poproszę o dzień zwłoki, mam pewną wygraną... Pan swoje z tymi szachami? A propos Bożeny: obraziła się na mnie? Mam

prośbę. Chciałbym zamienić z nią dwa słowa...

– Zostanie tutaj. Szybkiego powrotu do zdrowia, redaktorze!

Bax opuścił gmach szpitala zajęty rozmyślaniami nad tym, czy byłoby możliwe, żeby dziennikarz dał mu po głowie, a potem szybko zażył środek nasenny i zagrał komedię przed Połtyką... Nie, to niemożliwe! Nie zmieściłby się w czasie! A zatem? A zatem ktoś go chciał uśmiercić naprawdę...

17.

Borowski urzędował u siebie. Był jak zwykle zrównoważony i układny, na jego twarzy błąkał się przymilny uśmiech. Ciągle zacierał ręce. Wstał na widok detektywa i obszedłszy, a właściwie obiegłszy duże biurko osobiście przystawił fotel, na którym usadowił naukowca.

– Proszę, proszę, kochany panie Kowalski, była tu milicja, zawiadomiłem jeszcze z rana, porucznik pojechał do szpitala!

– Właśnie stamtąd wracam.

– Sam dzwoniłem, nie chciano mi jednak udzielić żadnych informacji, co się stało naszemu kochanemu redaktorowi? Pan Połtyka napomknął o jakimś zatruciu..

– Rzeczywiście, redaktor zatrzał się jakimiś pigułkami nasennymi, ale już wszystko w porządku.

– Chwała Bogu! O, przepraszam, pan pewnie ateista, ja... także, ja także, szanowny panie Kowalski! Pan bardzo interesuje się... tą sprawą?

– Hm...

– Zapytałem tak sobie. Wiele dałbym, żeby ktoś wykrył i złapał tego zbrodniarza, pan rozumie, taka hańba dla pensjonatu...

Napije się pan czegoś mocniejszego?

– Dziękuję, za wcześniej... Rzeczywiście zaabsorbowała mnie ta historia, domyślałam się tego i owego, chyba nawet skontaktuję się z... milicją...

– Wie pan coś? To nadzwyczaj zajmujące, panie Kowalski! Gdybym mógł panu pomóc...

– Może pan. Chodzi o Marię Reszel...

Właściciel pensjonatu nastroszył się, ale natychmiast przyoblekł na oblicze zwykłą minę.

– Tak? Co chciałby pan wiedzieć?

– Ma pan jakieś dokumenty tej kobiety?

– Wszystkie, proszę pana, wszyściutkie, pokazywałem je porucznikowi Wiatrowi, trzymam je w swojej szafie, żeby nie zginęły, dowód osobisty i książeczkę oszczędnościową też mi zwrócono, chce pan zobaczyć? – Wstał, otworzył szafę pancerną, następnie wyjął z niej duże pudło i podał detektywowi. Na wierzchu leżała książeczka PKO, Bax wziął ją.

– Można przejrzeć?

– Ależ oczywiście, proszę – Borowski przysunął ku detektywowi całe pudło. – Wiem, że pan działa w dobrej wierze, ma pan kolegę w komendzie wojewódzkiej, ja zawsze jestem gotów pomóc milicji... Biedna pani Maria, pracowała u mnie tyle lat!

Nie była wcale biedna. Ostatni zapis opiewał na dziewięćdziesiąt trzy tysiące złotych, Bax kartkował poszczególne strony, dość uważnie... jest. Jak przysłowiowy byk! Czterdzieści tysięcy złotych. Podjęła ową sumę w ubiegłym roku, osiemnastego sierpnia, potem były tylko wpłaty, po dwa tysiące, po tysiącu, po kilkaset złotych, dość częste, niekiedy parę razy w miesiącu, czyli że kobieta miała różne dochody, nie tylko pensję u Borowskiego. Może jakiś drobny handel? Chociażby ze Skandynawami, ciuch,

przedmiot trwałego użytku, może drobne kwoty walut zagranicznych? A przedtem? No tak, zgadzało się, znów podjęcie większej sumy, tym razem trzydziestu tysięcy... Dlaczego pożyczła? Nagle Baxowi przyszła do głowy myśl, która nasunęła mu się podczas studiowania notesu. „Przecież mogła coś kupić”. „I znów 40 000”... I znów? Chyba jednak pożyczka...

– Podjęła w ubiegłym roku siedemdziesiąt tysięcy, wie pan coś na ten temat?

– Właśnie! Pozwoliłem sobie przejrzeć tę książeczkę, przepraszam bardzo, taka niezdrowa ciekawość, dziwiłem się, co mogła robić z tak wielką sumą pieniędzy.

– Na co mogła potrzebować siedemdziesiąt tysięcy? Pan przecież znał ją doskonale.

– Dla siebie na pewno nie! Niczego nie potrzebowała, nie prowadziła żadnych interesów, jeśli nie liczyć, od czasu do czasu załatwiała coś jakiemuś gościowi, rozumie pan, sprzedaż jakiegoś drobiazgu czy coś w tym sensie... Chyba komuś pożyczyła, może na procent, była bardzo oszczędna, powiem nawet – skąpa...

– Komu mogła pożyczyć?

– Wiem, że pozostawała w bardzo dobrej komitywie z panią Swenson, często też rozmawiała z redaktorem, nadzwyczaj go lubiła... Zresztą, któż nie lubi tego wspaniałego człowieka!

– Tak, ktoś darzy go nawet zbyt wielką sympatią. Ja też go lubię, ale siedemdziesiąt tysięcy bym mu nie pożyczył.

– Ha ha ha! Pan jest dowcipny, panie Kowalski, ja także bym mu nie zaufał do tego stopnia, pieniądze są pieniędzmi!...

– W jakiej zażyłości pozostawała Reszel z Roźnowskimi?

– W bliskiej, a nawet serdecznej, tak, serdecznej, zwłaszcza z panią Natalią. Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że były przyjaciółkami...

– Były i... są.

– Co?! Ależ ma pan pomysły, szanowny panie Kowalski, wiśielczy humor... Nie wiem, czy śmiać się...

– Tym kobietom nic już nie zaszkodzi. Właściwie to pani Reszel mogła pożyczyć te pieniądze każdemu?

– Mnie chyba nie podejrzewa pan o to, mam...

– Słyszałem, nazywają pana... milionerem.

– Och, zaraz milionerem! Po prostu pracuję ciężko, przeszło trzydzieści lat...

– Ożeni się pan i zaraz przestanie być pan milionerem.

– Nie mam zamiaru, a co do pracy – zamierzam zrezygnować w tym roku z prowadzenia zakładu fotograficznego, pozostanę tylko przy zdjęciach artystycznych, siły już nie te, panie Kowalski.

– Pozwoli pan, że przejrzę te dokumenty?

Bax przerzucił zawartość pudła, znajdowały się w nim nic nie znaczące stare listy, z różnych lat, rozmaite papiery i dokumenty w języku polskim i niemieckim, wśród nich dużego formatu metryka urodzenia, wystawiona przez kościół rzymsko-katolicki w Świnoujściu. Była żółtawa i podniszczona, swojego czasu podklejono ją grubym kartonem. Nic ciekawego, datę urodzenia Marii Reszel znał detektyw z akt sprawy. Zdjęcia, wielki stos, szare, brązowe, przedwojenne, na jednym z nich jakiś mężczyzna otoczony był gromadą dzieci, mniejszych i większych, z boku stała młoda dziewczyna, dystans i postawa świadczyły, że pochodziła ze służby. Detektyw odłożył zdjęcie na bok. Wiele nowych zdjęć przeważnie dużego formatu, Reszel, Różyczka, jacyś nieznajomi.

„Robota Borowskiego” – ocenił Bax. Grupowe zdjęcie wszystkich obecnych pensjonariuszy „Rybitwy”, Skandynawowie, dziennikarz ze studentką, ładnie wyszła, malarz i jego żona z wyrazem twarzy, którym mogła obsłużyć wszystkich polskich fotografów jarmarcznych, z boku Reszel i Różyczka, w środku dumnie uśmiechnięty właściciel pensjonatu. I tę fotkę detektyw odłożył. Po namyśle wziął jeszcze podklejony arkusz aktu urodzenia.

– Mogę wypożyczyć te zdjęcia i dokument? Chcę coś pokazać porucznikowi Wiatrowi...

– Oczywiście, proszę bardzo! To duże zdjęcie robiliśmy w ubiegłym roku, nie jest wartościowe pod względem artystycznym, chodziło o pamiątkę, to drugie pochodzi sprzed wojny, pani Maria miała ich wiele...

– Nie wie pan, kto jest na tym zdjęciu?

– Nie wiem, pani Maria jest pewnie którymś z tych dzieci...

– Raczej tak, do tego wąsatego mężczyzny niepodobna. Czy ma pan jeszcze jakieś rzeczy?

– Trochę cennych drobiazgów, pierścień, trzy obrączki, dwie złote i jedną srebrną, komplet srebrnych sztućców, losy loterii państwowej i kilkanaście starych książek. Zabezpieczyłem to wszystko w obecności porucznika Wiatra i panny Różyczki...

– Pan zna porucznika?

– Znam wszystkich, którzy tu mieszkają od dawna. W latach czterdziestych i na początku, pięćdziesiątych w Świnoujściu zamieszkiwało tylko kilka tysięcy ludzi, porucznik to pionier...

– Czy mogę obejrzeć pomieszczenie piwniczne?

– Piwnicę? Dobrze, pan naprawdę zabrał się ostro do tej sprawy, panie Kowalski, no no, podziwiam! A może pan... No, nie moja sprawa, najważniejsze, że widziałem pana z kimś z komendy

województwie, potrafię być dyskretny. Może oprowadzę pana jak należy?

– Dziękuję, pójdę sam, poproszę tylko o klucz i jakąś latarkę.

– Wszędzie jest światło, w każdym pomieszczeniu piwnicznym!

– W pańskim pensjonacie światło niekiedy... nawala, wolę wziąć latarkę.

– Już panu daję, oto klucze i latarka, proszę. Będę tutaj na pana oczekiwał, dobrze? Przygotuję kanapki, dysponuję dobrą wódką...

– Przed obiadem?

– Na apetyt. Chętnie panu pomogę!

– Co pan o tym wszystkim sądzi?

Właściciel pensjonatu zdawał się czekać na to pytanie. Jego zastanowienie było markowane, podrapał się w czoło i pogładził starannie utrzymany wąsik, na jego kobiecych wargach wykwił uśmiech satysfakcji.

– Podzielę się z panem tym, co wiem, szanowny panie Kowalski. Rozmawiałem już wprawdzie z porucznikiem Wiatrem, ale teraz, jak mi się wydaje, wiem znacznie więcej. Upoważniam pana do przekazania tego, co pan usłyszysz, milicji, mogę wszystko poświadczyć na piśmie... Tak... Wie pan, kto dla mnie jest pierwszym podejrzanym? Nigdy nie odgadłby pan, nigdy! Otóż... redaktor Milewski!!! – Ostatnie słowo wyrzucił z siebie natychmiast, zabrzmiało krótko i dosadnie, tym dosadniej, że wstęp mężczyzny był dość chaotyczny.

– Pierwszym podejrzanym? Zatem jest i drugi?

– Rożnowski, pan wybaczy, ale tylko Rożnowski! Ja może wyglądam ma takiego, co do pięciu nie potrafi zliczyć, panie

Kowalski, ale ja sporo wiem, na przykład, że jest... w Szwecji!

Detektywa zaintrygowało, skąd właściciel pensjonatu mógł wiedzieć o ucieczce szachisty, ale doszedł rychło do wniosku, że nie było to takie ważne.

– Wie pan istotnie dużo. Czy jeszcze ktoś? Będę to musiał przekazać przyjacielowi z komendy wojewódzkiej, pozwoli pan?

– Po to panu mówię! Milicja powinna zwrócić jeszcze uwagę na... Norwega! Tak, na pana Petera Nillsona!

– To już trzech, dużo... Chyba o dwóch za dużo. Może pan krótko uzasadnić swoje podejrzenia?

– Podejrzenia to za mocno powiedziane, moje sugestie, tak, sugestie, to określenie będzie właściwsze. Otóż w ubiegłym roku, na początku turnusu, zgłosił się do mnie redaktor z prośbą, abym wyraził zgodę na zorganizowanie turnieju szachowego. Przystąpiłem, cóż w tym złego, deszcz lał bez przerwy, pogody nie było, telewizja – wiadomo, co daje latem, pomyślałem sobie, że dobrze nawet się stanie, jeśli swoim klientom zabezpieczę godzinę rozrywkę, tym bardziej że sam jestem zapalonym szachistą. Bywał u mnie często pan Rożnowski, grałem z nim, kiedyś nawet wygrałem jedną partię, nie powiem... Powitałem więc inicjatywę gości z prawdziwym entuzjazmem, nabyłem kilka kompletów szachowych, złożyliśmy się na ten koniak, pomyślałem sobie, co tam koniak, kupiłem puchar, na forsie mi nie zależy, zaczęła się gra... – Odetchnął, znów zaproponował kieliszek wódki, kiedy detektyw odmówił, sięgnął po butelkę i napił się sam. – Po jakimś czasie zorientowałem się – nie jestem przecież dzieckiem i swoje oko mam, pan wie, żeby robić dobre zdjęcia trzeba mieć oko i refleks

– otóż odniosłem wrażenie, że gra jest jakaś dziwna, niezwykajna...

– Co pana w niej uderzyło?

– Przede wszystkim zawziętość! Niespotykana zaciekłość! Puchar był pucharem, koniak koniakiem, satysfakcja moralna – rzecz niewątpliwie także bardzo ważna, ale przecież nie po tru... o, przepraszam, po prostu niektórzy grali, jakby im na czymś zależało, niech mnie pan dobrze zrozumie, nie chodziło o puchar i koniak...

– Jakby o inną, wyższą stawkę? – odpowiedział detektyw.

– Właśnie! Wyczułem to natychmiast!

– Nie zdziwiło pana, że nie grał... Roźnowski? Rozmawiałem na ten temat z redaktorem...

– Jeszcze jak! Z pana myślący człowiek, panie Kowalski, oj, myślący! Zapytałem go nawet o to, zbył mnie, że nie ma czasu, że musi wyjeżdżać do Szczecina, ale...

– Podobno asystował żonie przy wszystkich grach?

– Otóż to! – mężczyzna spojrział na detektywa z najwyższym uznaniem. – Na to czas znalazł! On jej, proszę pana... pomagał wygrywać, co tu dużo gadać!

– To ciekawe. Nie domyśla się pan, o co naprawdę toczyła się gra?

– Chyba o tę szkatułkę...

– Której szukał Roźnowski? Słyszałem o niej od panny Czadko. Kto według pana wykazywał szczególnie zapał do gry?

– Pan redaktor i Skandynawowie, tak, dobrze powiedziałem, częściowo i nasz malarz, ale w gruncie rzeczy to słaby szachista, tak, oni... No i pani Roźnowska...

- A w tym roku?
- Sam pan przecież widzi, ci sami!
- Co pan powie o grze malarza?
- W tym roku gra o niebo lepiej, w ubiegłym partaczył. I teraz pan widzi, co tu się dzieje. Redaktor był inicjatorem turnieju, jest najinteligentniejszy i najsprytniejszy ze wszystkich, no i co najważniejsze – w zeszłym roku byłby wygrał, gdyby nie Rożnowska...
- Niezły motyw.
- Ha! Teraz Rożnowski... Dlaczego nie grał? Dlaczego wspólnie z żoną oszukiwał? Musiał wiedzieć o czymś! Wreszcie dlaczego uciekł nielegalnie za granicę? Zorientował się, że milicja depcze mu po piętach...
- A Norweg?
- To lepszy ptaszek! Pan wie, że on jest w trudnej sytuacji finansowej? W tym roku nie zamierzałem mu nawet rezerwować miejsca, jestem solidnym człowiekiem interesu, mam swoje zasady, w ubiegłym sezonie miałem z nim kłopoty, powiedziałem koniec! Ale zaręczył za niego pan Ingemar Swenson, zobaczymy, co z tego wyjdzie...
- Nie zapłacił panu z góry?
- Nie miał pieniędzy, nawet naszych... – ugryzł się w język, zmieszał, szybko pochwycił butelkę. – Przepraszam, tak jakoś mi się powiedziało, ale jestem w porządku, jak najbardziej, każdemu mogę pokazać swoje księgi...
- Nasze są tak samo dobre jak inne, a w wielu przypadkach nawet lepsze. Czy to nie Norwegowi pani Reszel pożyczyła siedemdziesiąt tysięcy?
- Niewykлучzone! Chociaż pani Maria należała do nadzwyczaj ostrożnych kobiet, zwłaszcza w sprawach finansowych...

– Szkoda, że nie w innych, mogłaby... żyć.

– Święte słowa, panie Kowalski! No i ostatnia wiadomość – Borowski uczynił pauzę widocznie dla spotęgowania wrażenia. – Nie wiem, czy orientuje się pan, że „Rybitwę” kupiłem od pani... Rożnowskiej. Wie pan? Od dziennikarza? No tak, to gaduła, ale tym lepiej, bo to, co zamierzam powiedzieć, właśnie wiąże się ze sprawą domu. Otóż zacna pani Natalia Rożnowska...

– Z domu Miller...

– Tak jest, z domu Miller, odziedziczyła ten dom po ojcu, u którego jeszcze przed wojną nieodżałowana pani Maria była... gospodynią! Co, zatkało pana?

Rewelacje Borowskiego przedstawiały dla detektywa wartość funta kłaków, ale ważna była jego szczerość, no i to, że potwierdzały się domysły.

– To cenne informacje, dziękuję panu, jeszcze dzisiaj zatelefonuję do przyjaciela z komendy wojewódzkiej, niech przyjedzie i sam zajmie się sprawą. Intryguje mnie jeszcze jedna rzecz... – tym razem Bax zawiesił głos. Właściciel pensjonatu nastawił uszu. – Co się stało z testamentem?

Mężczyźnie drgnęła ręka z kieliszkiem, opanował się jednak błyskawicznie.

– O jaki!... testament... panu... chodzi?

„Wie, wie z całą pewnością! Czyż naprawdę uważa mnie za durnia? Wie więcej, niż się spodziewałem.”

– O testament pani Reszel, sprawdziłam u notariusza, nie ma...

– Aaa! Ja także nad tym się głowiłem, ale nie sprawdzałem – mówił już normalnym tonem. – Niestety, pani Maria nie sporządziła, jak widać, zapisu ostatniej woli. Tyle pieniędzy przejdzie na skarb państwa... Cóż, ja dla niej zrobiłem najwięcej...

– Zejdę na jakiś kwadrans do piwnicy.

Pomieszczenia piwniczne były schludne i czyste, otynkowane ściany, posadzki wyłożone płytkami ceramicznymi. Detektyw interesował się izbami leżącymi od podwórza. Z lewej wschodniej strony znajdowała się łaźnia, zbudowana na wzór fińskiej sauny. Było to pomieszczenie stosunkowo duże, luksusowe niemal, i niestety – nie wykorzystywane. Świadczyła o tym warstewka kurzu pokrywająca niektóre urządzenia i podłogę. Ta ostatnia wykonana była z marmurowych kwadratów, czarnych i białych, ułożonych na przemian. Nasuwało się skojarzenie z szachownicą. Bax przebiegł wzrokiem całą powierzchnię podłogi i policzył kwadraty: szesnaście na szesnaście. Co za zbieg okoliczności...

Za łaźnią znajdowały się schody i prostokątny korytarz, ponieważ się po kątach różne starocie. Pomieszczenie to przechodziło dalej w długą, ciemną kiszkę ciągnącą się do końca piwnicy, do ściany zachodniej. Kociołnia, bardzo słabo oświetlona, w niej duży piec, jakieś zbiorniki i rury, grube i cienkie, splątane w niezrozumiałą kombinację techniczną, wreszcie góra koksu, łopaty, mały stolik, dwa taborety i szafka. W pomieszczeniu panowała wysoka temperatura, mimo lata niektóre urządzenia ogrzewcze działały. Wyżej, nad koksem, widniało spora we okienko, zakratowane, lecz bez szyby. Detektyw rozejrzał się po tym królestwie palacza Lizęgi, a następnie zbliżył się do otworu i wspiął na palce. Wrzucano przezeń opał, pełno jego resztek spoczywało w zakamarkach parapetu oraz za prętami krat. Odwróciwszy się spojrzał na stos koksu, drgnął...

W samym kącie pomieszczenia, na górze koksu, leżały rozrzucone jakieś buty. Wdrapał się po chrzęszczącym opale i sięgnął po nie. Traktory, całkiem dobre. Grube podeszwy były poprzecinane

prostopadłymi. rowkami, brązowa skóra, także sznurowadła. „Czyżby nocny strzelec miał je na nogach? Jeśli tak – dlaczego je tutaj wrzucił? Został spłoszony? Możliwe... Takie same buty nosił Norweg, numer też by się chyba zgadzał...”

Wziąwszy ze stolika starą gazetę zawinął w nią znalezisko. Dla porządku obszedł pozostałe pomieszczenia. Pralnia, suszarnia, jakiś magazynek, warsztat z dużym stołem i dwoma imadłami, pracownia Borowskiego zamknięta na zamek patentowy.

Gdy znalazł się w swoim pokoju, zabrał się do oglądania butów. W szczelinach podeszew ujrzał zaschłe błoto i strzępki więdnącej trawy. Tamta noc była dżdżysta, buty w tylnej części posiadały zgniecenia, Bax uśmiechnął się w duchu, był nieomal pewien, że ten, kto do niego wtedy strzelał – miał je na nogach.

18.

Różne samochody mają różne skrytki. Oczywiście wszystko zależało od właściciela wozu i jego potrzeb. Ten schowek był ani głupszy, ani mądrzejszy, ale o kierowcy świadczył dobrze, no, może niezupełnie, jeśli przyjąć, że człowiek, który założył w swoim aucie tajny schowek, nie mógł mieć najczystszej sumienia. Owo „dobrze” odnosiło się do jego sprytu. Kiedy natomiast mówiło się już o sumieniu – musiał mieć czarne ten, kto ukrywał w podobnym schowku... Ale nie należy uprzedzać wypadków...

Fiat 125p Borowskiego stał na podwórze, reszta aut garażowała pod dachem, w specjalnym budynku o kilku bramach. Dwa samochody marki volvo, jeden taunus i jeden mercedes,

własność Skandynawów i dziennikarza. Dostać się do garażu nie było rzeczą trudną, zwłaszcza dla detektywa, który w głowie miał trochę wiadomości, a w rękach komplet narzędzi pożyczonych od porucznika Wiatra, a stanowiących własność współpracującego z milicją, zaprzysiężonego kasjarza.

Było popołudnie, przez wysoko umieszczone okno sączyło się mdłe światło, należało najpierw przyzwyczaić wzrok. Po paru minutach wewnątrz garażu wraz z całą zawartością nie kryło tajemnic, przynajmniej dla oczu. Cztery wozy, niebrzydkie, nowe i wygodne. Detektyw zainteresował się jednym z nich. Zamek u drzwi to delikatna rzecz, ale ręka młodego człowieka była nie mniej czuła, trzymane w niej stalowe pręty wykonały subtelny łamaniec i spowodowały ciche trzaski. W porządku.

Bordowe obicia, na nich wytłaczane kwiaty. Nikiel lśnił w smudze promienia słonecznego, padającego akurat na ten wóz. Czerń kierownicy, złoto i czerwień napisów na tablicy z zegarami, szybkościomierzem i na radioodbiorniku. Detektyw przekręcił gałkę, aparat błysnął żółtym światłem, kilka ruchów, Warszawa, koncert życzeń. „Dla kochanej babci z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin przebój w wykonaniu Danuty Rin »Gdzie ci mężczyźni« zasyła wnuczek”. Dobrze, kochanie dziecko... Od czego zacząć? Siedzenia? Stary kawał! Właściwie wszystko już było: podwozie, koła bagażniki... Samochód to nie drapacz chmur czy nawet samolot, ot, taki na przykład Jumbo Jet, do którego można schować parę kilo trotylu jak ziemniak w kopcu i szukać wiatru w polu. Zacząć jednak trzeba, pięć minut, dziesięć, piętnaście... Ależ pędzi ten zegar! Nic, cholera! Tutaj koncept nie zdawał się na wiele, przypadek, głupi przypadek mógł zdecydować o sprawdzeniu się pewnej teorii i o... sukcesie!

Detektyw przerwał poszukiwania i zgasił radio, cisza, trochę relaksu i odpoczynku. „Ech, znaleźć by się za kierownicą takiej maszyny na szerokiej drodze, chociażby na Wisłostradzie, i cały gaz! No nie, do diabła, nie wolno, ograniczenia szybkości obowiązują, nie szkodzi, setką jedzie się też przyjemnie.” Od dwóch lat marzył o jakimś lepszym wozie, miał volkswagena garbuska, nie był zły, ale... Uciułał kilkadziesiąt tysięcy złotych, z wielkim trudem, ale do dobrego wozu, chociażby fiata 125p, jeszcze sporo brakowało...

Ciemno. Znów włączył radio – ładny i oryginalny przedmiot, jakiś nietypowy. Bruxelles, Monte Carlo, Wien, nawet Vaticano. Cztery guziki, dwie gałki, kilka klawiszy – wyższa technika. Nad radiem znajdowało się kilka małych przycisków z cyferkami, jeden, dwa, trzy, cztery, detektyw naciskał je po kolei, przebierał po guzikach jak Rosjanin po harmoszcze... stop, co to? Jakież wewnętrzne urządzenie zwolniło ukryte zaciski i radioodbiornik... wysunął się do przodu! Miał go na dłoni, był dziwnie płaski, rzeczywiście najwyższa technika. Japoński?

Zachodnioniemiecki. Miniaturyzacja posunięta do granic ostateczności. Czegóż to ludzie nie wymyślą?

Przednia ściana wgłębienia była upstrzona kilkoma rzędami metalowych nitów, ponumerowanych. Dlaczego? Znów zabawa palcami i naraz wieczko z nitami odskoczyło, odsłoniło... no tak, o to właśnie chodziło, znalazł się tajemny schowek!

Dość głęboki. Na jego dnie kawałek materiału. Młody człowiek spoglądał przez chwilę w głąb. Pusty, szkoda, a był pewien... Trudno. Schowek został wykonany albo fabrycznie, albo w jakimś

specjalistycznym warsztacie. Może było to miejsce na większy radiodbiornik? Nieważne. Szmata należało wyciągnąć przez chusteczkę, zwykła flanela. Detektyw obejrzawszy prostokąt materiału uśmiechnął się w duchu, wyraźne odciski przedmiotu o ostro zakończonych krawędziach. Włożywszy szmatę na swoje miejsce i zamknąwszy schowek Bax wcisnął radio w dopasowane uchwyty. Gdzieś tam w eterze trwał nadal koncert życzeń, może nawet śpiewała ulubiona piosenkarka detektywa Ewa Demarczyk?... Opuścił garaż wielce z siebie zadowolony...

Kolacja. Dziennikarz czuł się już prawie normalnie, uśmiechał się, żartował. Dopisywał mu też apetyt, w szpitalu – jak oświadczył – nie dostał nic do jedzenia, ścisła dieta. Podszedł do detektywa i uścisnął mu dłoń.

– Bożena opowiedziała mi wszystko, dziękuję z całego serca!

Serce – rzecz poważna, niech ci będzie. W rozmowie przy stole wszyscy starali się omijać drażliwe tematy, jedynie lekarz próbował nawiązać do nocnych wypadków, w końcu sprawił się dzielnie, ale nie znalazłszy zrozumienia zamilkł.

– Kiedy pan chce, abyśmy dokończyli grę? – zapytał dziennikarza Norweg.

– Jeśli nie sprawi to panu różnicy, może jutro?

– Żadnej, zatem jutro. Godzinę niech pan sam wyznaczy...

– Możemy zacząć z rana, przez noc dojdę do siebie całkowicie.

Po posiłku detektyw zetknął się w korytarzu ze studentką, w oczach miała zadumę.

– Nie gniewasz się, że zostałam z Januszem?

Skrupuły dziewczyny były bezpodstawne, tym niemniej jej słowa były miłe, to znaczy potrzeba tłumaczenia się. Za to

następne – o ludzka próżności! – przyniosły już autentyczną satysfakcję, radość.

– Janusz zrozumiał moją decyzję, pogodził się z nią, kończę studia, Art...

Znalazłszy się w swoim pokoju Bax przyjrzał się wypożyczonym fotografiom. Najpierw obejrzał przedwojenną: młoda dziewczyna stojąca nieco z boku musiała być Marią Reszel, a ów nobliwy mężczyzna z wąsami siedzący na krześle to pewnie tata Miller. Niezła rodzinka, czterech chłopców i jedna córka... Natalia Rożnowska.

Drugie zdjęcie nie przysporzyło żadnych emocji, chyba tylko podobizna studentki... Podklejona metryka chrztu Marii Reszel, zżółkły ze starości i wyblakły papier. Detektyw scyzorykiem rozciął pergaminową „okleinę i włożył palce między arkusz dokumentu a karton. Jest! Nie odczuwał zbytniego podniecenia, zdawał sobie sprawę z tego, że odnalezienie tego drobiazgu było sprawą godzin.

Wyciągnął cienki arkusz zapisany gęstym gotyckim pismem maszynowym. Rzucił okiem na okrągłą pieczęć widniejącą u dołu i na wyraźny podpis nakreślony czarnym tuszem. Odetchnął z ulgą, mimo wszystko. Podobne wrażenie odnosi, być może, szczęśliwy gracz w totka stwierdzając, że trafił szóstkę. Klucz do zagadki! Klucz i zamek jednocześnie! Aż dziwne, że było to takie proste... Mały skrawek papieru... Testament starego Millera...

Zabrał się do uważnego czytania.

Testament

sporządzony w Świnoujściu w 1943 roku 5 grudnia w obecności notariusza miejskiego pana Jakuba Foeldmana.

Ja, Norman Miller, urodzony w roku 1873 18 stycznia w

Kolonii, z matki Ingrid Anderson obywatelstwa szwedzkiego i ojca Horsta Conrada Millera obywatelstwa niemieckiego – inżynier metalowiec z zawodu, zamieszkały w Świnoujściu, Strasse Dünen, w pełni władz umysłowych i świadom odpowiedzialności za niniejsze słowa – rozporządzam swoim majątkiem, jak następuje:

1. Zapisuję:

- synowi Kurtowi fabrykę i akcje stoczni w Sztokholmie,*
- synowi Wolfgangowi akcje stoczni w Malmö i nieruchomości tamże,*
- synowi Fritzowi akcje stoczni w Oslo i nieruchomość tamże,*
- córce Klarze nieruchomość w Szczecinie i roczną pensją w wysokości 10 tysięcy marek płatną przez wyżej wymienionych solidarnie,*
- synowi Conradowi nieruchomość w Świnoujściu i roczną pensją w wysokości 10 tysięcy marek płatną jak wyżej.*

2. Zobowiązuję wszystkich spadkobierców do wzajemnej pomocy i wytrwałej pracy nad pomnażaniem majątku oraz krzewienia ideałów, które przyświecały mi w życiu, a których naczelną dewizą była walka z nazizmem i faszyzmem w każdej postaci. Jednocześnie zabraniam sprzedaży lub odstępowania osobom obcym jakiegokolwiek majątku pochodzącego ze spadku po mnie.

3. Pamiątki rodzinne i biżuteria mojej żony pozostają w depozycie u córki Klary, złote szachy – rzecz dla mnie najcenniejsza – u najstarszego syna Kurta. Po mojej śmierci, ale nie wcześniej niż po osiągnięciu dwudziestu pięciu lat przez najmłodszego ze spadkobierców, w dogodnym dla wszystkich czasie mają się zebrać spadkobiercy w domu rodzinnym w Świnoujściu i wybrać drogą rozgrywek „każdy z

każdym” najlepszemu szachistę. Jemu to mają przypaść w nagrodę złote szachy, oraz pamiątki rodzinne i biżuteria matki. Kto nie stanie do rozgrywek z własnej woli albo z przyczyn zależnych od siebie – tego niniejszy punkt testamentu nie dotyczy. W tym miejscu dają wszystkim radę: pogłębiajcie nieustannie swoje umiejętności gry w szachy, tej królewskiej gry, której poświęciłem dużą część swojego życia, pamiętajcie o obronie i o tym, że niekiedy najważniejszą partią wygrywa czarny koń. Wszystkie warianty i możliwości gry czarnego konia *m u s i c i e* znać w tym celu, aby przewidzieć każdy ruch przeciwnika i zaatakować go niespodziewanie. Kto właściwie zrozumie moje słowa – będzie najbogatszym człowiekiem w rodzinie.

4. Mojej wiernej gospodyni Marii Reszel zapisują jednorazową sumą 30 tysięcy marek zobowiązując jednocześnie syna Conrada do zabezpieczenia jej dożywotnio mieszkania w naszym domu rodzinnym w Świnoujściu.
5. Testament niniejszy sporządziłem w ośmiu jednakowych egzemplarzach, z czego po jednym otrzymują zainteresowani, siódmy pozostanie u notariusza, ósmy zaś przekazują naszemu adwokatowi czyniąc go odpowiedzialnym za wykonanie mojej woli.

Świnoujście, 1943 rok, 5 grudnia.

Norman Miller

Detektyw przeczytał dokument dwa razy, potem przebiegł go wzrokiem jeszcze raz. Więc to tak?

Najstarszy syn Kurt – to... Ingemar Swenson świadczą o tym wiek i posiadłość w Sztokholmie, to on posiada w depozycie

owe „złote szachy” – najcenniejszą pamiątkę rodzinną bogacza Millera. Najcenniejszą dlatego, że szachy były złote? Bax uśmiechnął się. Wszystko zależało od ich wielkości, a może... no, zobaczy się jeszcze, w każdym bądź razie musiały być nadzwyczaj cenne, skoro opłacało się dla ich zdobycia... popełnić dwa morderstwa! Drugi syn, Wolfgang – to Wolf Swenson. Pasuje i wiek, i majątek w Malmö. Trzeba przyznać, że dzieci Millera lojalnie i uczciwie przestrzegały punktu testamentu zakazującego sprzedaży obcym osobom swoich majątków. Ten w Sztokholmie, ten w Malmö – prawidłowo.

A syn Fritz, któremu tata nabab zapisał swoje akcje w stoczni i nieruchomości w Oslo? Jasne, to „Norweg” Peter Nillson!

Zamordowana Natalia Roźnowska była jedyną córką Millera, Klarą. Co się stało z jej nieruchomością w Szczecinie? Znacjonalizowano ją albo rozsypała się w gruzy pod bombami aliantów. Kobieta posiadała w depozycie pamiątki rodzinne i kosztowności po matce, pewnie zmarłej wcześniej, znajdowały się w owej szkatułce... Kto ją ma w tej chwili? Roźnowski? A może?...

Janusz Milewski... Jego postać intrygowała detektywa od początku. Najmłodszy syn Conrad. Musiał go tata ekscentryk najbardziej kochać, był zresztą bezsprzecznie najinteligentniejszy i najzdolniejszy. Otrzymał nieruchomości w Świnoujściu, obecny pensjonat „Rybitwę”, sprzedał ją zapewne siostrze, a ta Borowskiemu. Roźnowska czy też Klara Miller otrzymała akt własności od ludowego państwa, polskie władze tolerancyjnie i w sposób humanitarny traktowały Niemców, którzy zdecydowali się pozostać na dawnych ziemiach polskich. Ale dlaczego złamała wolę

ojca zakazującą sprzedaży i odstępowania majątku pochodzącego ze spadku osobom obcym?

Biedna Maria Reszel... Wiedziała nie tyle dużo, co... wszystko! Ale z kim, do diabła, miała wziąć ślub? Z Ingemarem Swenssonem? Służąca jego ojca? A może z Norwegiem, który znalazł się w trudnej sytuacji finansowej?

Stary Norman Miller musiał być rzeczywiście fanatykiem szachów, tyko na tej płaszczyźnie można było rozpatrywać jego pomysły i dziwaczne zalecenia testamentu. „Pogłębiajcie nieustannie swoje umiejętności”, „myślcie o obronie i o tym, że niekiedy najważniejszą partię wygrywa czarny koń”... Owszem, wygrywa, zwłaszcza gdy od czasu do czasu użyje... jedwabnego szalika!

„Wszystkie warianty i możliwości gry czarnego konia m u s i c i e znać w tym celu, aby przewidzieć każdy ruch przeciwnika i zaatakować go niespodziewanie”... Rożnowska nie przewidziała, chociaż nieuczciwie pomagał jej jeden z najlepszych polskich szachistów.

A co oznaczały te słowa: „Kto właściwie zrozumie moje słowa – będzie najbogatszym człowiekiem w rodzinie”? Wyrażna sugestia, chyba jej ukryty sens nie dotyczył wartości moralnych i duchowych? A może? Stary Miller, co było godne podkreślenia, zaliczał się do antyfaszystów, musiał zatem odznaczać się mocnym charakterem i zdecydowaniem. Ale „najbogatszym”? Czyżby poza złotymi szachami i szkatułką istniało coś jeszcze? Hm... Określenie jest niedwuznaczne, czyli... trzeba szukać dalej!

Ta nieszczęsna Kowalikowa, a właściwie Nina Miller! Jednak jakaś kuzynką! – Bax zaklął pod nosem, od początku nie pasowała do żadnej koncepcji.

Młody człowiek ukrył cenny dokument w kieszeni. Na wszelki wypadek zgasił światło w pokoju i zbliżył się do okna. Zapatrzył się w noc. Korony drzew majaczyły na tle gwiazdnego nieba, za nimi szarzały kontury sąsiednich budynków. Lubił sytuacje, które zmuszały do intensywnego myślenia.

19.

Wokół stolika z szachami znowu skupili się wszyscy goście „Rybitwy”, nie zabrakło też Borowskiego i jego pracowników. Dziennikarz, jeszcze blady, wbił wzrok w szachownicę i zdawał się być pochłonięty wyłącznie grą, był czujny i skupiony. Posiadał lekką przewagę i najwidoczniej zamierzał ową okoliczność odpowiednio i do końca wykorzystać.

Norweg, także napięty i czujny, pocierał co chwila starannie przystrzyżoną bródkę. Musiał się bronić, jego położenie było przez to podwójnie trudne. Rozmyślał nad posunięciami znacznie dłużej niż przeciwnik. Białe cofały się, czarne zaś atakowały wszystkimi figurami, wreszcie dziennikarz wprowadził do boju najpotężniejszą broń, hetmana. Zdobył drugiego piona przewagi – Peter Nillson zagryzł wargi prawie do krwi. „Nie żałuje swojego braciszka” – pomyślał detektyw o warszawiaku.

Czarne osiągnęły przewagę pozycyjną i Norweg był zmuszony przejść do głębokiej defensywy. Nie Wróżyło to sukcesu. Po kilku dalszych ruchach ułożenie figur było tak skomplikowane, że obserwowującym trudno było zorientować się w rzeczywistych zamiarach atakującego. Dziennikarz parł do przodu z pasją i zaciekłością, można nawet rzec, z bezwzględnością! Pobił białego skoczka,

sam stracił dwa piony i po raz pierwszy król Norwega został zasachowany. „Zaczęło się” – pomyśleli kibice. Zmasowany atak dwoma skoczkami, gońcem, wieżą i hetmanem był nie do odparcia, straciwszy wieżę, najważniejszą po hetmanie figurę – Peter Nilsson westchnął ciężko i bezradnie rozłożył ręce.

– Przegrałem – oświadczył cicho. – Poddamę partię...

Takie obowiązują w szachach zwyczajem. Nie gra się do końca, do mata albo do ostatecznego wybicia wszystkich, poza królem, figur. Dziennikarz przyjął dłoń przeciwnika i pozwolił sobie na kurtuazję:

– To była bardzo trudna partia, dziękuję.

Uśmiechnięty zbierał zewsząd gratulacje. Detektyw podszedł doń ostatni.

– Moje uznanie, redaktorze, od początku byłem pewien pańskiego zwycięstwa.

– Dziękuję, jestem winien panu rozmowę, może odłożymy ją do jutra? – Dzisiaj muszę nieco ochłonąć...

– Dobrze, zasłużył pan na odpoczynek, porozmawiamy jutro, niech pan kropnie kieliszek czegoś mocniejszego.

– Mam zamiar upić się na amen.

– Tylko niech pan uważa na... koktajle.

– Chyba w „Albatrosie” mnie nie otrują. A jak pańskie sprawy?.

– Ze szwedzkim radzę sobie nieźle, z tym drugim gorzej, zupełnie mgła.

– Będę miał dla pana jutro kilka ciekawostek, być może rozjaśnię tę mgłę. Urwiemy się z tego naszego balu? Podskoczmy do Międzyzdrojów, lokale tam lepsze...

– Byłe nie do „Europy”, czytałem, że przed laty pobito tam jakiegoś konsumenta. Sami?

- Z Bożeną.
- Nie, o jednego za dużo, dziękuję za propozycję.

Po obiedzie detektyw udał się do siebie. Stanąwszy w ukryciu za kotarą obserwował podwórze. „Milewski ma odebrać nagrodę – złote szachy i szkatułkę z biżuterią, o ile jeszcze jej nie ma. Jeśli nie odbędzie się to w pensjonacie – to poza nim, proste. Gdzie Ingemar Swenson trzyma złote szachy? Najprawdopodobniej... w jakiejś tajnej skrytce w swoim apartamencie. Stary Miller był bardzo przezorny, z pewnością narobił w domu sporo schowków.”...

Wysoki Szwed pierwszy wszedł do garażu, w ręce trzymał niewielką torbę, czyżby w niej? „Gdyby tak... podejść i sprawdzić. No bo jeśli cenna rzecz zostanie gdzieś ukryta? Do diabła, co robić? A jeżeli w torbie są niewinne przedmioty osobistego użytku? Kompromitacja i... ostrzeżenie. Nie, nie można. Jeżeli misterny plan nie zawodził do tej pory – nie zawiedzie do końca”. O tym, że dziennikarz wtajemniczył swoich trzech braci w to, że on jest detektywem – Bax zrozumiał od razu po znalezieniu testamentu. Faktem było, że dopiero od tamtego czasu zauważył ich lustrujące spojrzenia... Ingemar Swenson wyjechał z garażu swoim taunusem...

Po nim zjawił się Norweg, za nim dziennikarz, w towarzystwie... studentki... „Czyżby pogodzili się całkowicie? Trudno”. Wsiedli do aut i także odjechali. „Dlaczego na ten zjazd rodzinny zabrali studentkę? W charakterze maskotki? A może więcej wie, niż mówiła? Jeśli chce naprawdę wyjść za mąż za Milewskiego... No, no, musiałyby być znakomitą aktorką”.

Czekał jeszcze jakiś czas na małżeństwo Swensonów, nic z tego. „Żeby nie wzbudzać podejrzeń, wyszli na promenadę i zabrali się z Norwegiem lub drugim Szwedem, te jasne”. Detektyw

uzbroił się w cierpliwość. Małżeństwo nie zjawilo się jednak, ich volvo stało dalej w garażu...

Młody człowiek postanowił pójść na długi spacer, właściwie nie miał co robić, do kolacji pozostawało ponad pięć godzin, a niedziela była ładna i słoneczna, druga połowa sierpnia wynagradzała niepogodę pierwszej. W hallu stał Borowski.

– Dwa słowa, panie Kowalski – zaprosił detektywa do gabinetu, bez uprzedzenia sięgnął do szafy stojącej za biurkiem, wyjął eksportową starke, produkcji szczecińskiej fabryki wódek.

– Dostałem parę butelek okazji, teraz mi pan nie odmówi, co? Świąteczny dzień, pan samotny, ja też – napijmy się. Powiem panu coś ciekawego – dodał tajemniczo.

– Napijmy się. Co takiego?

– Podstuchiłem rozmowę dwóch braci, wie pan, o czym gawędzili? – Mężczyzna napełnił kieliszki, pochwycił szybko swój i zachęcił Baxa, by poszedł w jego ślady. – O... panu!

– O mnie? Nie mieli ciekawszego tematu?

– Podobno jest pan... detektywem, co? Ej, panie Kowalski, myślałem, że mi pan ufa, ja przecież...

– Trudno było chwalić się każdemu, cóż...

– Zapytam zatem: jak panu idzie?

– Najbliższe dni zadecydują, dobra ta starka.

– Eksportowa, dziesięć lat leżakuje. Wie pan, że Szwedzi i Norweg wyjeżdżają jutro na Mazury?

– Przecież wrócą.

– Na dwa dni przed opuszczeniem Polski! – Do tego czasu coś się wyjaśni, brakuje mi paru ogniw, ale to między nami... – „Jeśli uwierzy, że naprawdę nic nie wiem – będzie skończonym głupcem! Ale na takiego nie wygląda, ma dobre oko i refleks, jest sprytny”

– Proszę pana, ja panu i naszej kochanej milicji życzę jak najlepiej, wie pan o tym... Proszę, jeszcze jeden, widzę jednak, że spraw była trudna...

– Jest dalej trudna, nawet cholernie trudna!

– Nie będę pytał, nie wolno mi, powiem tylko, że osobiście żałuję. Oni wszyscy się rozjadą, a na moim pensjonacie zostanie cień, cóż... Wielka szkoda, że od początku nie wiedziałem o pańskiej roli, mógłbym pomóc...

– W czym?

– Chociażby w zbieraniu informacji. Pan wie, że w tym domu niemal w każdym pokoju są tajemne schowki?

– Puste.

– Niestety. Jedna u Kowalików, druga u Ingemara Swensona, trzecia u Norwega, odkryłem je w tym roku, przed sezonem robiłem kapitalny remont.

– Całego budynku?

– Nie, tylko góry, dół zrobię w zimie.

– Co jeszcze?

– Radziłbym panu jeszcze dzisiejszej nocy przeszukać samochody, wszystkie, mogę to panu zorganizować tak, że nikt się nie zorientuje, ewentualnie pomogę, przeszukamy we dwójkę, po wieczorku, co?

– Niezła myśl, zgoda, jest pan człowiekiem, któremu można zaufać.

– Zależy mi na dobrym imieniu...

– Wiem. Pan pozwoli, że załatwię jeden drobiazg? – Bax wykręcił domowy numer telefonu porucznika Wiatra, słuchawkę podniosło dziecko.

– Chcę mówić z tatusiem.

– A kto prosi? – usłyszał rezolutny głos dziewczynki.

– Hipopotam – rzucił detektyw. – Straszny hipopotam, który cię zaraz zje, jeżeli nie zawołasz tatusia!

Z tamtej strony drutu zapanowała cisza, później rozległy się drobne kroki dziecka i zabrzmiał wylękniony głos:

– Tatusiu, hipopotam do ciebie!

Za chwilę odezwał się porucznik.

– Co za głupie kawały? Kto mówi?

– To ja, przepraszam, ma pan bystre dziecko...

– To po żonie.

– Tak przypuszczałem. Mam do pana prośbę: niech mi pan pożyczycy... pistolet.

– Co? Pistolet? – wyglądało, że słowo to uczyniło na oficerze większe wrażenie niż poprzednie na dziecku. – Swój?

– Może być czyjkolwiek, wszystko mi jedno, potrzebuję na dzisiaj.

– Regulamin nie przewiduje... – bąknął oficer.

– Regulamin nakazuje wykonywać rozkazy przełożonych, a nie słyszałem, żeby major Szymański zmienił pracę, nie będę z tego pistoletu strzelał!

– No tak, ale...

– Bez nabojów, poruczniku, słowo honoru, że nie będzie użyty!

– Chce pan kogoś postraszyć? To zabronione, ale cóż... przywieźć?

– Tak, dzwonię z pensjonatu. Jest pan na służbie?

– Nie.

– Czekam zatem.

Bax odłożył słuchawkę, we wzroku Borowskiego czaiło się pytanie?

– Z tej starki nic panu nie zostanie, porucznik ma wolne a pewnie pije...

- Kto dzisiaj inde pije! Mam kilka butelek, może pan przyjmie jedną w prezencie?
- Eksportowa starka rzecz ponętna, mogę odkupić.
- Sam dostałem za darmo, nie mogę wziąć pieniędzy. Proszę – sięgnął do szafy – za naszą... współpracę!
- Wobec tego nie mogę odmówić. Jak współpraca – to współpraca, ten pistolet będzie u... pana.
- U mnie? – zdumienie tamtego było tak naturalne, że detektyw parsknął śmiechem. Wypity alkohol sprawił młodego człowieka w wyborny nastrój.
- Boi się pan? Przecież nie będzie nabity..
- I co z nim zrobię?
- Będzie pan trzymał w kieszeni, nic więcej. Chyba, że pan chce abyśmy wystrasnęli skądś trochę nabożów i wystrzelali tych wszystkich graczy a pierwszego tego drania dziennikarza!
- Pan kpi, ale redaktor nie ma czystych rąk...
- Za to ma powodzenie u dziewczyn!
- Panna Bożena – nie wtrącając się w cudze sprawy – darzy pana nie mniejszymi względami – pogroził Baxowi palcem, alkohol zrobił swoje, spoufalił się. – Tak naprawdę po co ten pistolet?
- Dzisiejszy wieczór a zwłaszcza noc mogą być niezbyt spokojne, możliwe nawet, że znajdę się w niebezpieczeństwie... Wtedy wkroczy pan, uzbrojony w moje zaufanie i pistolet, chociaż nie nabity, powinien wywołać wrażenie!
- Skutek będzie na pewno taki, jakby w lufie tkwił nabój! Obawia się pan czegoś?
- Gdybym tamtej nocy nie słyszał gwizdu kuli koło ucha, powiedziałbym, że nie, ale tak...
- Zastosuję się, tylko proszę dać znać w razie czego, po wojnie miałem broń, umiem się z nią obchodzić...

Oficer zjawił się i butelka szybko pokazała dno. Porucznik pochwalił się, że wygrywa z synem za każdym razem, próbował nawet dyskutować na temat różnych debiutów szachowych. Detektyw zaproponował rozegranie jednej partii, Borowska, miał szachy pod ręką, ustawili figury i rozpoczęli grę. Bax przyjął taktykę podobną do tej, jaką stosował artysta, desperacką, a tu działał jeszcze alkohol. Biedny porucznik dostał mata dość szybko, zażądał rewanzu, skończyło się tym samym.

– Szkoda, że nie wziął pan udziału w turnieju – właściciel pensjonatu chciał także zmierzyć się z młodym człowiekiem, ale Bax odmówił. Nie było czasu. Wyszli z porucznikiem, polecił mu zatelefonować do Szczecina, sam poszedł na długi spacer. Powędrował aż do falochronu, przez kwadrans patrzył na spokojne morze i upartych wędkarzy, potem zawrócił. Przed pensjonatem znalazł się przed siódmą. Wszedł na podwórze, samochody stały już w garażu.

Wieczorek rozpoczął się od wręczenia nagród. Dziennikarz odebrał z rąk właściciela pensjonatu srebrny puchar i butelkę koniaku, postawił ją od razu na stole. Mały Olaf wyprężył się dumnie i zarumienił, gdy wręczono mu album.

Kilka banalnych i zupełnie zbędnych toastów, w końcu nie były to mistrzostwa świata, potem tańce. W czasie jednego z nich detektyw wymknął się poza budynek. „Szybko, stary” – rzucił sam do siebie, nie potrzebował światła, te ruchy znał już na pamięć. Manipulacja stalowymi prętami, radioodbiornik, skrytka. Serce biło niespokojnie, a właściwie waliło jak zepsuty kafar. Będzie – nie będzie, będzie – nie będzie... w takiej loterii nigdy nie brał

udziału. W tej jednej sekundzie mógł załamać się cały plan, dni i noce rozmyślań mogły pójść na marne, intuicję i licho wie co jeszcze mógł trafić szlag! Jest! Skórzany woreczek, szybko! Lataarka! W cienkiej smudze światła zalśniły czarne i złote figury, rozbłysły tęczową barwą brylanty osądzone w metalu. Złote szachy taty Millera, ciężkie, duże... Złote? Każdy mały brylant wart był kilka tysięcy złotych, duży kilkanaście lub kilkadziesiąt, zwarowana arytmetyka... Było tych brylantów sporo, szachy przedstawiały ogromny majątek.

Mercedes dziennikarza przedstawiał z nimi zgoła inną wartość niż owe cztery tysiące dolarów, które kosztował na zachodzie... Zaraz, w skrytce było jeszcze coś, szkatułka, no tak, wszystko no swoim miejscu, u zwycięzcy! W środku pudła klejnoty i biżuteria, ale na wierzchu... co to? Nie, to niemożliwe!!! A jednak...

Detektyw kiwał smętnie głową, nie chciał wierzyć własnym oczom, ale fakty były nieubłagane: dwa paszporty, jeden wystawiony na nazwisko dziennikarza, drugi... wiadomo. Trudno. W nich bilety na prom do Ystad i data...

Zimny pot oblał czoło detektywa. Data jutrzejsza, jak byk! Jeden z promów odchodził zawsze o siódmej rano, czyli... Jak to możliwe? Czyżby jednak była aż taką aktorką? „Stary durniu, tyle razy rodzony ojciec wbijał ci w tę pustą głowę – znajdź sobie brzydką dziewczynę!” Cóż, święte słowa, ale... Odłożył dokumenty i szkatułkę na miejsce. Trzeba się śpieszyć, zaraz koniec tańców, ktoś może zjawić się na podwórzu... Tylko jak tu trzeźwo myśleć?! Bożena, Bożena!...

Nagła decyzja! „Do cholery z tymi babami!” Przeliczył

pospiesznie figurki, zgadzało się, trzydzieści dwie. Dwa czarne konie, wziął je do ręki, obejrzał. Misterna robota... Dlaczego stary Niemiec wspomniał o nich w testamencie tak natarczywie? A te białe? Podobne, zaraz... No tak, przecież...

Ważył przez moment czarne figury skoczków w lewej ręce, białe zaś w prawej. Potem zamienił, nie ulegało żadnej wątpliwości, czarne konie były lżejsze! Nastąpiły dokładne oględziny, cieniutka, prawie niewidoczna rysa wokół miejsca, w którym głowa konia stykała się z okrągłą podstawą. Odkręcała się. W jednym skoczku, w małym otworze, znajdował się mikroskopijny kluczyczek, w drugim zwitek pergaminu zapisany malutkimi literkami. List zaczynający się od słów: „Drogi Conradzie”... Kilkanaście linijek, u dołu podpis: ojciec.

A więc dziennikarz j e s z c z e nie odkrył tajemnicy czarnych koni! Po prostu nie zdążył, nie miał kiedy...

Wszystko z powrotem. Cudowny wieczór! Miliony gwiazd, granat nieba prawie przezroczysty, z oddali kojący szum morza... Pełne zwycięstwo, sukces, wiktoria, triumf i lichy wie co jeszcze! Tylko Bożena... Szkoda. Tamci jeszcze tańczyli, z otwartych okien pensjonatu dochodził odgłos modnego przeboju...

Bax spojrzął na zegarek: jego nieobecność trwała siedem minut, przysięgłby, że co najmniej pół godziny... W hallu stał samotny lekarz z papierosem w ręce. Dobrze się złożyło, „trzeba” pogadać o byle czym, będzie wyglądało, że tkwili tu wspólnie. Ogromna ulga...

20.

Ta noc nie różniła się od innych nocy nad morzem. Spokojna tafla wody parowała nagromadzonym w dzień ciepłem, niebo iskrzyło się jasnymi punkcikami gwiazd.

W „Rybitwie” bawiono się na całego. Muzyka, alkohol i taniec – wydawało się, że mieszkańcy pensjonatu raz na zawsze zapomnieli o historiach z morderstwami, zamachami i tajemniczymi wydarzeniami. Tęgawy lekarz urabiał jedną z koleżanek Różyczki, koło drugiej kręcili się ma zmianę Ingemar Swenson i artysta, jego żona flirtowała z ponurym Norwegiem, samą Różyczkę zaś emablował jej pracodawca... Dziennikarz nie odstępował studentki.

Było grubo po północy, kiedy detektyw zebrawszy resztki odwagi, podszedł do dziewczyny.

– Pogratulować ci odwagi – powiedziała, gdy zaczęli tańczyć.
– Czekałam na ciebie... Nie za dużo pijesz?

Pił rzeczywiście wiele, ale miał swój dzień – mógłby stanąć do alkoholowej rywalizacji, nawet ze słoniem. Albo z pewnym oficerem milicji ze Szczecina...

– Prawdę powiedziawszy...

– Nie tłumacz się! – przerwała dziewczyna. – Miałam biegać za tobą i odrywać się od... butelki? Ależ znalazł sobie kompanów, artysta i lekarz, no no! Art, mam pilną sprawę, będę śmiała się i mówiła, rób to samo, Janusz nie spuszcza nas z oka...

– Wygrał, ma prawo.

– Weź się w garść, naprawdę mam coś ważnego – ton głosu dziewczyny dotarł wreszcie do świadomości detektywa, nieco

przytępionej. Oprócz starki wypitej w południe raczył się jeszcze dwoma gatunkami wódek, podobnie zresztą jak wszyscy.

- Mów, Bożeno.
- Śmieję się, Janusz nie może niczego zauważyć.
- Ha ha ha!
- Nie tak sztucznie!
- Nie potrafię, powiedz jakiś dowcip.
- Sam sobie powiedz! Nie znam żadnych, nie kawały mi

zresztą w głowie!

- Spróbuję jeszcze raz, he he he!
- Już lepiej. Art, w tym domu coś wisi...
- Jak zwykle.
- Wiesz, co zaproponował mi Janusz?

Myśl była jak błyskawica; „Jeśli sama powie – nie kłamała, chciała skończyć studia naprawdę, zatem... istniała szansa nawiązania ściślejszego kontaktu z tą wspaniałą dziewczyną!”

- Ciszej, Bożeno, zbliża się do nas...
- Mów jakiś kawał, na boga!

– Szkocki. Przyszedł sąsiad do sąsiada na lunch. Gospodarz domu częstuje gościa kanapką, kawałkiem chleba, na którym widnieje kropelka miodu, ha ha ha! – dziennikarz ze swą partnerką, jedną z koleżanek Różyczki był tuż tuż. – Ho, ho – powiada gość, widzę Mc Gregor, że kupiłeś sobie pszczołę, he he he!

– Ha ha ha! – dziewczyna śmiała się, jakby dowcip opowiadał Jan Kobuszewski. – Znakomite! Słyszałeś, Janusz, Art opowiada doskonałe kawały, powiedz jeszcze raz ten szkocki...

Śmiał się dziennikarz, chichotała także dziewczyna, z którą tańczył. Gdy oddalili się, studentka kontynuowała:

- Chciał, abym wyjechała z nim jutro do... Szwecji.

Kamień z serca. Bożena!!!

– Co mnie tak dusisz, Art, nie szalej, to tango!

– Nie mówił ci przedtem?

– Skądże! Podania o wyjazd złożyliśmy jeszcze w lipcu, do tej pory nawet słowem nie wspomniał...

– Jak uzasadnił ten pośpiech?

– Mówi, że pojechalibyśmy tylko na kilka dni, chce pokazać mi swój dom, Art, zatrzymaj to dla siebie, zaklinał mnie, żebym nikomu nie powiedziała, ale ja się... boję.

– Prom odchodzi o siódmej, za kilka godzin, co postanowiłaś?

– Odmówiłam. Wykluczone, żebym pojechała jutro, to znaczy dzisiaj, mam jedynie go odprowadzić;

„Cwaniak. Spiłby dziewczynę czy uśpił i jakoś władował na prom”. Detektyw zaczął trzeźwieć.

– Ha ha ha! – śmiech studentki zabrzmiał sztucznie. – Nie mogę, powiedz jeszcze jakiś dowcip... Nie udało ci się, co, Art? Tamci także z rana wyjeżdżają – współczucie dziewczyny było z kolei naturalne.

– Niezły kawał! Udało się, droga Bożeno, nie pytaj o nic więcej, patrz tylko uważnie. No i nie obawiaj się niczego. Koniec tańca, chodźmy się napić...

Usiadł obok dziennikarza.

– Doskonale pan tańczy, pozazdrościć – powiedział tamten.

– Napijmy się na... pożegnanie, redaktorze – widział jak dziennikarz zmarszczył czoło, sprężył się w sobie. – Na pożegnanie turnieju, ładna była zabawa, jeszcze raz panu gratuluję.

– Aaa! Jasne! Napijmy się, za naszą rozmowę, zaraz po śniadaniu chciałbym...

– Po śniadaniu, redaktorze? – dziennikarz wyczuł coś, zbladł,

uważniej spojrzął na swojego rozmówcę. – Przecież śniadanie zamierza pan zjeść na... promie płynącym do Szwecji!

Mężczyzna poderwał się gwałtownie, wyglądał, jakby miał zamiar przewrócić stół i uciec. Nagle usiadł, szybko pochwycił kieliszek i wypił zawartość jednym haustem. Rozmowy ucichły, wszystkie oczy zwróciły się w ich kierunku.

– O co panu... chodzi? – dziennikarz mówił ciszej niż zwykle, słowa cedził wolno, tak, że doszły one uszu siedzących tylko bliżej.

– O pański wyjazd do Szwecji. Wykupił pan bilet, a właściwie bilety na jutro, to znaczy na dzisiaj, na siódmą. W jaki sposób więc zamierza pan rozmawiać ze mną po śniadaniu?

Spojrzał ze złością na studentkę, potem na Baxa, w jego oczach czaiła się wściekłość.

– Co mi pan... zarzuca? – starał się panować nad sobą, nie udawało się. – Nie wolno wyjechać?!

– Nie! – powiedział twardo detektyw. – Nie wolno! Ani do Szwecji, ani gdzie indziej!

Bax kątem oka widział, jak właściciel pensjonatu opuścił rękę. Biedna Bożena, jaka przerażona... Skandynawowie wyciągnęli szyję, nie rozumieli wszystkiego, a być może niczego – dialog bowiem toczył się w języku polskim. Dziennikarz rozejrzał się bezradnie, jakby szukając u kogoś pomocy, u kogoś, kto by wytłumaczył temu młodemu człowiekowi w okularach i z wiechą niesfornych włosów koloru zleżalego siana na głowie – że takie żarty są nie na miejscu, zwłaszcza w podobnym towarzystwie, że psują nastrój i tę doskonałą zabawę!

Odpowiedziało mu milczenie. Dalsze słowa detektywa sprawiły, że resztki k»vi uciekły z policzków dziennikarza.

– Zamierzam spowodować pańskie aresztowanie – Bax wstał.
– To pan strzelał do mnie!

– Ja... miałem... do pana... strzelać?

– Nie miał pan, pan strzelał! Usiłowanie zabójstwa – na razie tyle mam panu do zarzucenia, zostanie pan aresztowany, oświadczam, że od tej pory działam urzędowo, tu jest moja legitymacja. Proszę dać rękę, nie ufam panu! – detektyw wyjął kartonik i mignął nim przed oczami dziennikarza, potem sięgnął po... kajdanki, pożyczyl je od porucznika Wiatra. Na ich widok tamten zerwał się, twarz miał wykrzywioną wściekłością.

– Żałuję, że spudłowałem – ryknął i porwawszy ze stołu butelkę cisnął nią w detektywa, ten uchylił się i głośny trzask pękającego szkła rozpryskującego się o ścianę przerwał złowrogą ciszę.

Rzucił się ku drzwiom, na jego drodze stanął właściciel pensjonatu, w rękę trzymał pistolet.

– Stać, bo będę strzelał – krzyknął.

Dziennikarz zatrzymał się, obejrzał, opuścił głowę.

– A więc to tak? – powiedział zrezygnowany. – No cóż, proszę... – wyciągnął do detektywa obie dłonie, zatrzasnęły się na nich kajdanki. – Strzelałem do pana, przyznaję, ale... nic poza tym.

– Już my znamy takich ptaszków! – właściciel pensjonatu, który przeistoczył się jakby w innego człowieka, pogroził „szanownemu redaktorowi” pistoletem. – Na co pan narażał mój uczciwy interes, mnie, nas wszystkich?

– Proszę o spokój – Bax odebrał Borowskiemu pistolet i ukrył go w kieszeni. – Niech pan się nie denerwuje, redaktorze, trzeba umieć... przegrać. Niepotrzebnie narobił pan bałaganu...

– Nie zabiłem Roźnowskiej! To on! – wskazał na Norwega.
– Bydlę – warknął tamten. – Skończone bydlę! Łże jak pies!
– ZOO – mruknął detektyw. Naraz podniósł głos, mówił po niemiecku, dobrze, z nienagannym akcentem. – Jeszcze raz proszę o spokój! I uprzedzam, żadnych kawałów! Przed pensjonatem jest milicja!

Podszedł do okna i rzucił w ciemność:

– Chodź, Paweł, zaczynamy!
– Jestem, Art! – odkrzyknąłem. Czekałem na jego wezwanie już ponad godzinę i jeśli mam być szczerzy, zdrętwiały mi nogi, poza tym noce nad morzem bywają chłodne. Zmarzył także towarzyszący mi porucznik Wiater, który wyrwał mnie wieczornym telefonem, bo „pan Bax prosił o przybycie, ma coś ciekawego i potrzebuje wsparcia”. Tak właśnie detektyw miał powiedzieć, wsparcia. Kiedy jeszcze porucznik dodał, że pożyczył detektywowi pistolet, chociaż nie nabity – zgłupiałem do reszty, ale wzięwszy wóz przygnałem do Świnoujścia jak szalony. Było to wszystko dziwne, mój przyjaciel nigdy nie żądał „wsparcia”, broni unikał, więcej, czuł do różnych strzelających przyrządów organiczną niemal odrazę, a teraz... Ale morderca-szachista był wyjątkowo groźnym, i niebezpiecznym osobnikiem, może Bax dobrze zrobił asekurując się, ba, z całą pewnością dobrze! Czekaliśmy zatem „według instrukcji” detektywa przed pensjonatem na jego sygnał i kiedy usłyszałem okrzyk przyjaciela, zrozumiałe, że uczułem radość. Nareszcie coś się zacznie!”

Weszliśmy szybko do środka, mundur porucznika Wiatra wywołał określone wrażenie, o swojej postaci nie wspominam przez skromność, ale widok faceta o wzroście więcej niż słusznym oraz

o wadze blisko stu kilogramów – sam przez się nasuwał wiadome skojarzenia. Uścisnąłem dłoń Arystotelesa, ten skrzywił się i wy-rwał mi ją, potrząsnął palcami.

Ogarnąłem jednym spojrzeniem to do niedawna rozbawione towarzystwo, jeszcze nie wszyscy wyglądali na wstawionych, spostrzegłem mężczyznę z kajdankami na rękach. Był bardzo smutny.

– Cześć, chłopie, jak poszło? – zapytałem.

– Nie najgorzej. Zaraz, od czego zacząć tę... grę? – Detektyw zwrócił pistolet porucznikowi, zamyślił się. – Proszę wszystkich za mną.

Szedł pierwszy, wysoki, lekko pochylony, z pozoru bezradny, jego czupryna bardziej niż kiedykolwiek przypominała wiechę siana. Za nim postępowali goście „Rybitwy”, my z Borowskim i porucznikiem zamykaliśmy ten nocny pochód, szczerze przyznam, tajemniczy i prawie niesamowity. Przeszliśmy podwórze, zatrzymaliśmy się przed budynkiem i garażami.

Weszliśmy do środka. Mercedes, luksusowy i wygodny, detektyw poprosił o kluczyki, dziennikarz dał je bez oporu, chociaż z pewnym ociąganiem się. Był autentycznie załamany.

Bax wszedł do wozu, przez chwilę manipulował przy tablicy rozdzielczej. Widziałem, podobnie jak i reszta, że wyjmował coś z miejsca, które odsłonił radioodbiornik. Opuścił wóz.

– Trzymaj, Paweł – wręczył mi pudło. Było ciężkie. – Są w nim kosztowności i biżuteria Rożnowskiej, znajdują się tam także paszporty z dzisiejszymi biletami na wyjazd do Szwecji, pana redaktora i panny Czado, ale ona nie wiedziała o niczym, to znaczy o tym wyjeździe i o wielu innych sprawach, prawda?

Spojrzałem na dziewczynę, stała zupełnie z boku i zakrywała twarz rękami.

– Hm... – detektyw mruknął pod nosem coś, czego nie dosłyszałem, potem ciągnął dalej, wyraźnie: – W tym woreczku znajdują się złote, a właściwie złoto-brylantowe szachy, faktyczna nagroda za zwycięstwo w turnieju. Zgadza się, panie redaktorze? – popatrzył na dziennikarza i gdy ten milczał, przywołał wysokiego Szweda. – Pan, panie Swenson, jako najstarszy syn Normana Millera – spostrzegłem jak mężczyzna zbladł i wstrzymał oddech – jest dla mnie właściwym partnerem do tej rozmowy, proszę powiedzieć, mam rację?

Kiedy Ingemar Swenson skinął głową, kontynuował:

– Jest tutaj zresztą więcej dzieci Normana Millera, pan Wolf Swenson, pan Nillson, no i pan... redaktorze...

– Jeśli wie pan wszystko... – odzyskał głos dziennikarz, ale Bax nie pozwolił mu dokończyć.

– Wszystkiego nikt nie wie! Znam jedynie pewne fakty. Kiedy otrzymał pan te szachy od brata, to znaczy od pana Ingemara Swensona?

– Wczoraj po południu.

– Zgadza się! – naraz detektyw uśmiechnął się, było to dość dziwne, ale młody człowiek natychmiast wyjawiał źródło swojego humoru.

– Wie pan, dlaczego się śmieje? Bo po raz pierwszy powiedział pan... prawdę! Obejrzał pan je dokładnie?

– Nie miałem czasu! Cóż tam zresztą było do oglądania! Przeliczyłem, ilość figur się zgadzała, wszystkie brylanty były na swoim miejscu, znałem zresztą te szachy. Stanowiły własność ojca i często je oglądałem w młodości, Otrzymał je od niemieckiej

federacji szachowej za swoje sukcesy sportowe, między innymi za trzykrotne zdobycie mistrzostwa Niemiec i pokonanie jednego z najlepszych szachistów wszystkich czasów, doktora Maxa Euwe! – w głosie dziennikarza zabrzmiała nieukrywana duma.

– Wielki sukces, to fakt – przyznał Bax. – Nazwisko pańskiego ojca figuruje nawet w przedwojennej encyklopedii niemieckiej! Ale czy orientuje się pan, jaką wartość przedstawiają te szachy?

– Materialną ogromną, ale dla mnie nie ona jest najważniejsza: teraz są moją własnością jako pamiątka po ojcu!

– Co do tego, czy są pana własnością, mam pewne wątpliwości. – Wiedziałem, że Bax chociaż nie studiował prawa, orientował się w rozmaitych zawiłościach kodeksu karnego, cywilnego i innych jak dobry, rutynowany jurysta. – Jako przedmiot i cel przestępstwa podlegają konfiskacie na rzecz skarbu państwa, były zresztą nielegalnie przewożone przez granicę, dwa razy w ubiegłym roku i raz w tym. Zgadza się, panie Swenson? – popatrzył na starszego z braci. Ten wymownie milczał. – Major to panom lepiej wytłumaczy... Zatem nie orientujecie się, panowie, jaką tajemnicę kryją szachy waszego ojca?

Zdziwienie synów Millera, a zwłaszcza dziennikarza, było równe naszemu zaciekawieniu. Bax skrzywił się w grymasie, który równie dobrze mógł oznaczać uśmiech, co i politowanie.

– Nie macie pojęcia? Szkoda! Zwłaszcza niech pan żałuje, redaktorze! Testament swojego ojca zna pan na pamięć, prawda? Bo jeśli nie – możemy przeczytać. Jako inteligentny człowiek zwrócił pan chyba uwagę na pewne dwuznaczniki zawarte w owym dokumencie, a dotyczące szachów w ogóle i czarnego konia, czy tak?

– Istotnie, niektóre fragmenty testamentu dały mi do myślenia...

– Ubolewam, że nie wyciągnął pan z nich żadnych wniosków!

– Nie miałem czasu! Chciałem zastanowić się nieco później...

– W Szwecji?

– Nie udowodni pan, że zamierzałem tam zostać, zresztą nawet gdyby...

– To nie należy do mnie. Pośpiech z tym wyjazdem nie był jednak wskazany, bo nie miał pan czasu znaleźć najważniejszego: listu, jaki ojciec do pana napisał.

– Listu?

– Tak, listu, adresowanego do pana, imiennie... Zaczyna się od słów „Drogi Conradzie”, zaraz go odczytamy...

Bax wyciągnął z woreczka oba czarne konie i podał je dziennikarzewi, potem to samo uczynił z białymi. Milewski, mając skute ręce, trzymał je niezręcznie i... wyważał.

– Widzi pan? – w głosie Baxa zadźwięczała nutka triumfu. Czarne są lżejsze! Proszę mi zwrócić te cacka!

Odkręcił główkę jednej z czarnych figurek i wyjąwszy ze środka zwitek papieru potrząsnął nim przed nosem dziennikarza.

– Oto list pańskiego ojca! – powiedział.

– Jeżeli jest adresowany do mnie...

– Oczywiście! Otrzyma go pan! Ale po zakończeniu... dochodzenia. Pozwoli pan, że przeczytam?

Wymawiał słowa powoli, poważnym głosem. Nie skłamię, jealí powiem, że robił wrażenie misjonarza wygłaszającego mądre kazanie do ciemnych pogan.

„Drogi Conradzie! To mój ostatni kontakt z tobą. Wiem, że zwyciężyłeś, tylko ty mogłeś wygrać ten turniej. Kochałeś szachy podobnie jak ja, jedynie my z całej rodziny znaleźliśmy prawdziwe piękno tej szlachetnej gry. Dlatego będziesz bardzo bogaty. Ostatnia wskazówka starego ojca: łaźnia w naszym domu, obrona królewsko-indyjska, czarny koń. Warto jednak było ćwiczyć swój umysł, prawda, drogi synu? Wierzę, że potrafiś odpowiednio wykorzystać, to, co zdobyłeś, pamiętaj o naszym nazwisku! Nadaj mu nowego blasku i wiedz jedno: nikt na świecie w tej grze nie osiągnął jeszcze najwyższych szczytów, może sądzono to dopiero tobie? Może twoim synom? Żyj w szczęściu, drogi Conradzie. Twój Ojciec.”

Bax skończywszy czytać spojrział na dziennikarza, ten zwiesił głowę, dwie duże łzy spłynęły po jego policzkach. Nie wiem, jak inni, ale ja poczułem coś w rodzaju litości... Gdyby nie te morderstwa!

– Czy teraz także nie domyśla się pan niczego? – zapytał detektyw.

– Trudno powiedzieć... – dziennikarz otarł twarz wierzchem jednej dłoni. Rzecz jasna, że musiał podnieść do góry także i drugą.

– Łaźnia... Znajduje się w piwnicy tego domu... Ojciec należał do ekscentryków, miał pomysł... no, można by je nazwać co najmniej dziwacznymi...

– Ja powiedziałbym natomiast, że pański ojciec był po prostu człowiekiem... dowcipnym! Wierzył w inteligencję swoich dzieci, a zwłaszcza najmłodszego syna. W pewnym sensie nie zawiódł się.

– Dziękuję. Czy ten komplement ma sprawić, że przyznam się do zabójstwa siostry i biednej Reszel? Nie, panie Bax, doceniam

całkowicie pańską fenomenalną intuicję, ale tutaj chybił pan, nie pozbawiłem życia ani jednej, ani drugiej! A może ma pan na „to jakieś dowody? – w jego słowach zabrzmiała ironia.

– Po kolei, redaktorze – w głosie detektywa zadźwięczała na odmianę wesołość. – Dojdziemy do wszystkiego! Gdzie pan ukrył pistolet? No, ten, z którego strzelał pan do mnie!

Dziennikarz zastanawiał się jakiś czas, ale nie dłużej niż trzy, cztery sekundy. Potem wycedził dość spokojnie:

– Powiedzmy, że nie miałem nigdy żadnego pistoletu.

– Aaa! – pokiwał głową Bax mrugając powiekami. – Tego się nie spodziewałem! Przyznał pan przecież, że pan strzelał, powiedział pan nawet „szkoda, że pana nie zabiłem”, przy świadkach... Mniejsza z tym, wrzucił go pan zapewne do kanału, jasne, zrobiłbym to samo, ale dlaczego nie... zniszczył pan tej szmatki?

– Jakiej szmatki? – padło pytanie.

– Tej, która znajduje się w pańskim mercedesie, w tajnym schowku. Są na niej wyraźne odciski broni, eksperci ustalą, jakiego typu i kalibru, i porównają z pociskiem, mam go w kieszeni...

– Mógł pan tę szmatkę włożyć sam!

– Pewnie to ja strzelałem do pana. Nie spudłowałem. Mogłem też – Bax następane słowa wypowiedział z wyraźnym szyderstwem – wziąć pana za rączkę i zrobić odciski palców, prawda? Redaktorze, bo zmienię zdanie o pańskiej inteligencji. Na pamięć pańskiego ojca, niech mnie pan do tego nie zmusza!

– Skończ tę komedię – wtrącił naraz Norweg, nadzwyczaj podniecony. – Chciałeś wygrać za wszelką cenę i... wygrałeś! Teraz przynajmniej zachowaj twarz, o ile możesz ją zachować ty... morderco! Udusiłeś własną siostrę! Biedna Natalia...

– Milcz, ty... – dziennikarz rzucił się ku bratu, ale został zatrzymany przez porucznika.

– Ukradł moje buty – dodał spokojnie Norweg. – Przedtem zaś szaliki Ingemarowi.

– Właśnie! – podchwycił Bax. – Zamierzałem o tym mówić! Skąd pan wie, że to on?

– A któż by inny? Chciał wmieszać mnie w swoje brudne sprawy! Mnie, Ingemara, Wolfa, wszystkich!

– Te sprawy są także twoimi! – krzyknął dziennikarz.

– Wykonanie woli ojca – tak! Nie morderstwa! Pozbawiłeś życia Natalię, bo miała w zeszłym roku wygrać turniej!

– Łżesz! Sam to zrobisz! – zawył Milewski. – Panie Bax, pan szuka maniaka i szaleńca?! Chce pan mieć motyw?! Nie myślę za nikogo nadstawiać głowy, niech pan go aresztuje! To człowiek nienormalny, przebywał dłuższy czas w szpitalu psychiatrycznym! Jest bankrutem, nawet od Reszel pożyczał większe sumy pieniężne!

– Ty łajdaku! Ty... – Peter Nillson zamierzył się, jakby chciał uderzyć dziennikarza. Udaremniliśmy jego zamiar, ustawiliśmy obu braci w pewnej odległości od siebie.

– Spokojnie panowie, spokojnie! – przerwał kłótnię detektyw. – Wasze sprawy rodzinne nic nas nie obchodzą. Buty znajdują się u mnie, szaliki, jak wszystkim wiadomo, także. Buty wyśle pan, poruczniku, do ekspertyzy, razem z tą szmatą, specjaliści bez trudu ustalą, co i jak...

Młody człowiek przeniósł wzrok na właściciela pensjonatu, ten od dłuższego czasu stał przyczajony jak gotujący się do skoku tygrys.

– Proszę pana, proponuję, abyśmy przeszli do świetlicy. Żołądek zwyciężył mózg – jak mawiał Ghandi przed przerwaniem protestu głodowego. W pańskiej kuchni znajdzie się zapewne coś gorącego? Chodzi o naszych gości, zwłaszcza zaś moich – spojrzal na mnie.

21.

Podziwiałem przyjaciela jak nigdy dotąd. Był w swoim żywiole, oczy mu błyszczały, twarz rozjaśniła się, włosy odrzucał do tyłu energicznym ruchem głowy, nie ręką, i w tej swojej ekscytacji wydawał się przystojny.

Nie żałowałem przyjazdu do Świnoujścia i kilku nieprzespanych godzin, a nawet sterczenia pod pensjonatem. Cóż, byłem tylko człowiekiem, wiedziałem, że w tej sprawie blask sławy Arystotelesa Baxa spadnie i na mnie. Od lat czekałem na zasłużony awans, należał mi się, brakowało wyższych studiów czy, jajt, inni mówili, papierka – fakt, ale przecież na dobrą sprawę ukończyłem parę uniwersytetów życiowych, chyba znacznie trudniejszych niż te prawdziwe, przynajmniej kilkadziesiąt razy nadstawiałem karku, ech; po co zresztą te słowa! No i rzecz najważniejsza: ze specjalnej szafy miała zniknąć raz na zawsze teczka z napisem „Umoorzono”...

Tymczasem czekała nas jeszcze jedna niespodzianka...

Zasiedliśmy za świeżo nakrytym stołem. Co do mnie starałem się zachować pewien umiar, jadłem mimo to jak wilk. Przyjaciel siedział obok, uśmiechał się, na stole pojawiło się kilka butelek starki, nieźle zaczęła się ten sierpniowy dzień nad morzem...

Świtało. Nikt jednak nie odczuwał zmęczenia. Dziennikarz, jakby pogodzony ze swoim losem i pozbywszy się metalowych obrączek, jadł powoli gorącą kiełbasę i co chwila rzucał ukradkowe spojrzenia na studentkę. Ta wyglądała na całkowicie zdeorientowaną. Bładość jej twarzy przebijała nawet przez opaleniznę.

„Bardzo ładna – oceniłem w duchu – wyjątkowo urodziwa. Ciekawe, czy Art zwrócił na nią baczniejszą uwagę? Bo że w ogóle zwrócił – co do tego nie miałem żadnych wątpliwości”. Detektyw, jakby wyczuwając, że o nim myślę, ujął butelkę i nalał mi pełny kieliszek, sobie ledwie na dno, niech będzie. Wypiłem, chociaż byłem na służbie, bóg mi wybaczy i prokurator. Pomyślałem, że nie powinno się przeciągać tej niezręcznej sytuacji, mój przyjaciel był widocznie tego samego zdania.

– Zastanawiałem się – rozpoczął patrząc na dziennikarza – nad taką okolicznością: ojciec pana rozdzielił w testamencie swoje fabryki i domy, wspomniał o złotych szachach i klejnotach rodzinnych, podzielił też część pieniędzy znajdujących się w banku. Podkreślam: część pieniędzy! Co stało się z resztą? Co stało się z kosztownościami i innymi walorami, które – jako człowiek bardzo bogaty i zapobiegliwy – niewątpliwie posiadał? Przecież owe klejnoty ze szkatułki to tylko biżuteria waszej matki? Gdzie podziała się reszta? Który z panów potrafi to wyjaśnić?

– Myśleliśmy o tym wszyscy – odparł dziennikarz. – W samej rzeczy ojciec miał takie konto bankowe, że mógł kupić dziesięć podobnych kompletów szachowych, posiadał też sporo złota, w sztabkach i monetach, a także dużo biżuterii i drogich kamieni.

Po śmierci ojca okazało się, że na koncie w banku poza trzydziestoma tysiącami przypisanymi Reszel i kilkoma tysiącami na koszty – nie było ani feniga.

– Pan powinien wiedzieć najlepiej – Bax zwrócił się do Ingemara Swensona – był pan najstarszy, pewnie pomagał pan już ojcu w interesach?

– Tak, z tym że pilnowałem naszych spraw w Szwecji i Norwegii. Walory, o których pan wspomniał, istniały rzeczywiście, nie zmieściłyby się w pięciu takich skrzynkach – popatrzył na szkatułkę. – Po śmierci ojca nie mogliśmy niczego znaleźć...

– Mógł je ktoś skraść?

– Pan wybaczy, w naszym domu...

– Dobrze – przystał detektyw – zastanówmy się zatem wspólnie: obrona królewsko-indyjska, nic to panom nie mówi?

„Daje niezłą szkołę tym cwaniakom” – pomyślałem w duchu, z zadowoleniem i podziwem.

Bracia popatrzyli na siebie. Skrzyżowały się ich pytające spojrzenia, tkwiła w ich wzroku niepewność i wzajemna podejrzliwość, nic dziwnego, po takich wypadkach? Wzruszyli ramionami i kiwali głowami, wyglądało to właściwie zabawnie. „Chyba udają – pomyślałem – nie mieli czasu zastanowić się nad tym do tej pory? – No tak, czasu mieli dość, ale... nie znali paru spraw, zwłaszcza tajemnicy owych czarnych figurek! Dał im Bax szkołę, szkoda gadać!”

– Wasz ojciec – zaczął detektyw – sugerował, ba, starał się wmówić niektórymi sformułowaniami testamentu, że istniała jeszcze jakaś tajemnica. Proszę, zastanówmy się nad niektórymi fragmentami listu do pana, redaktorze.

Detektyw nie był zdolnym recytatorem, poza tym swoim zwyczajem trochę kpił, a trochę filozofował.

– Będiesz bogaty, synu – perorował nie trzymając się ściśle tekstu i dodając słowa, którymi najwyraźniej chciał dziennikarza dotknąć. – Ostatnia wskazówka starego ojca: łaźnia... Oj, przydałaby się tutaj komuś łaźnia! I potem znów: obrona królewsko-indyjska i czarny koń, ten tajemniczy, cholerny czarny koń! Stary, nalej!

Opróżniony kieliszek zwrócił się do właściciela pensjonatu.

– Ta łaźnia w piwnicy... Kiedy była używana po raz. ostatni?

– Kilka lat temu, ale rzadko, jak miałem wycieczki młodzieży. Potem nie zachodziła potrzeba, są łaźienki. Poza tym urzędzenia łaźni są uszkodzone, po sezonie zrobię remont...

– Z łaźni należy korzystać zawsze! – Domyśliłem się, że mojemu przyjacielowi uderzył do głowy alkohol, był zresztą bardzo zmęczony. – I co pan na to, redaktorze?

– Gdybym miał list ojca...

– To jest usprawiedliwienie, ale... tylko częściowe! Teraz wszak zna pan treść listu!

– Myśli pan, że... łaźnia? – zaczął ostrożnie dziennikarz. Nie wiem, co miał na myśli, jeśli chodziło o mnie – dalej niczego nie pojmowałem, no, ale ja w ogóle nie grałem w szachy.

– Jestem pewien!

– Zatem należałoby ją... zburzyć i przekopać – mruknął dziennikarz.

– Nie docenił pan wobec tego własnego ojca! Co za dzieci!

– Łaźnia, na pewno łaźnia, wystarczyło popatrzeć na jej... podłogę!

Bracia spoglądali na detektywa jak na wariata, pozostali – w tej „liczbie i ja – mnie więcej tak samo.

– Nikt nie zauważył, jak wygląda podłoga łaźni? – widząc nic nie rozumiejące spojrzenia, Bax wykrzyknął ze zdenerwowaniem: – Przecież to szachownica!!!

Jego słowa uderzyły w napiętą ciszę jak piorun w stare drzewo. Dziennikarz skurczył się, ściągnął brwi, Norweg szarpnął nerwowo bródkę, Szwedzi popatrzyli jeden na drugiego.

– Chodźmy tam – zadecydował Bax i wstał. – Niech pan prowadzi, panie Borowski!

Zeszliśmy schodami do pomieszczeń piwnicznych.

– Stań, Pawełku, przy drzwiach – szepnął mi po drodze – i bądź czujny.

„Wcale nie jest pijany, to ci szelma” – skonstatowałem z uznaniem. – „Na co mam uważać?” Za pazuchą miałem takie kopyto, że nie przeląkłbym się samego Jamesa Bonda czy innego fantomasza, poza tym... kilka lat temu byłem gwardyjskim mistrzem Polski w dżudo, w wadze superciężkiej, kiedyś walczyłem nawet raz z samym Goesingiem, uległem po ciężkiej walce – wystarczyło chyba na tych cherlaków!

Gdy weszliśmy do obszernego pomieszczenia, Bax polecił wszystkim zająć miejsce pod przeciwległą ścianą, mnie i porucznikowi zaś stanąć przy drzwiach.

– Miałem słusność? – zapytał. – Proszę, osiem na osiem, czarne na białe, zgadza się? Szachownica, prawdą?

Śmiać mi się chciało, gdy patrzyłem, jak stanął na środku tej łaźni i zaczął recytować na głos:

– Obrona królewsko-indyjska... Jedna z najlepszych strategii dla czarnych figur. Na czym polega? Proste. Pierwszy ruch

wykonują białe skoczkiem, czyli koniem, mówmy koniem, przywykłem do tej nazwy. Otóż białe ruszają koniem z pola g1 na f3. Przyjmijmy, że gracz posiadający białe zająłby tę stronę od drzwi, przy których stoi teraz mój przyjaciel major z rozpylaczem za pazuchą. Co dalej? Czarne byłyby tutaj i grający nimi musiałyby odpowiedzieć także posunięciem konia, z pola g8 na f6 – jest to przy obronie królewsko-indyjskiej ruch obowiązkowy, prawda, panie redaktorze? Widocznie pański ojciec cenił nadzwyczaj wysoko tę taktykę, nic dziwnego, jest wypróbowana od kilkuset lat i niezawodna, ją też ją lubię. Kwadrat f6, na którym stanąłby czarny koń – to ten! – Bax zwrócił dwa kroki i wskazał palcem na płytkę, czarną, nawiasem mówiąc.

– Wie pan, poruczniku, dlaczego chciałem, żeby nauczył się pan grać w szachy?

Zbliżywszy się do owej płytki nachylił się i zastukał w nią palcem, potem w sąsiednie. Odgłosy były chyba podobne, osobiście nie wyczułem żadnej różnicy. – Czarny koń... detektyw mruczał pod nosem i chwilę szukał czegoś w kieszeni, wyjął scyzoryk, zastukał na odmianę nim i teraz usłyszeliśmy: płytka wydawała inny dźwięk, pusty! – Określenia „czarny koń” – mówił dalej – używa się przeważnie w sporcie, wtedy kiedy jakaś drużyna lub pojedynczy zawodnik nie zaliczając się do faworytów – niespodziewanie zwycięży. Był takim „czarnym koniem” nasz skoczek narciarski Wojciech Fortuna, gdy w Sapporo zdobył złoty medal olimpijski na dużej skoczni, był takim „czarnym koniem” i Władysław Komar bijąc na Olimpiadzie Letniej w siedemdziesiątym drugim roku w Monachium wszystkich faworytów, była wreszcie „czarnym koniem” nasza wspaniała drużyna piłkarska na

mistrzostwach świata w Republice Federalnej Niemiec w siedemdziesiątym czwartym. Czarny koń... Był nim także i ojciec panów, gdy pokonał niezwyciężonego arcymistrza i najlepszego szachistą tamtych czasów doktora Maxa Euwe – będzie nim także inny szachista – ten mianowicie, który wcześniej czy później pokona Amerykanina Roberta Fishera... A kto tutaj jest czarnym koniem? – Detektyw wyprostował się i Odwrócił się do właściciela pensjonatu:

– Pozwoli pan na mały wandalizm? Niech pan zatem przynieś jakieś narzędzia, najlepiej przecinak i młotek.

Własnoręcznie odkuwał twardą płytkę i podważał ją. Gdy ustąpiła, wyciągnęliśmy szyje i zbliżyli się zaciekawieni. Ujrzelismy wieko dużej metalowej skrzynki. Lśniła w świetle żarówki.

Pomyślałem, że Bax nie spudłował. A może... wszystko zbadał wcześniej? Licho go wie, zdawałem sobie tylko sprawę z tego, że lubił efekty.

Z boku pokrywy widniał mały zamek o zmyślnym wycięciu na klucz.

– W tym drugim czarnym koniu znajduje się kluczyk, proszę mi go dać, poruczniku.

Wziął kluczyk i wetknął w otwór, wieko odskoczyło i... zmrużyliśmy oczy. Feeria światła, kolorów tęczy, migotanie barw! Naszyjniki, kolie, pierścienie, brosze! Złoto, platyna, drogie kamienie, perły brylanty na kilogramy! Oto mieliśmy przed oczami skarb starego Millera, potężny majątek!

Jego synowie spoglądali w dół z uczuciami, których nie podejmę się określić. Dziennikarz zachwiał się, podtrzymał go porucznik. Wstrząśnięty Norweg chwycił się za głowę, wykrzyknął coś niezrozumiałego, pewnie „mój Boże” po norwesku,

Szwedzi zachowywali się stosunkowo spokojnie, chociaż bładość ich twarzy była jednoznaczna. Ci ludzie mieszkali nad skarbem, chodzili koło niego, posiadali pewne wskazówki... Niestety, zabrakło im logiki detektywa.

Staliśmy chwilę w milczeniu. Co by nie mówić – przeciętny, a zapewne nie tylko przeciętny śmiertelnik znalazłszy się oko w oko z podobnym bogactwem – musiał być poruszony! Tylko Bax nic sobie z tego nie robił! Zwrócił się do porucznika;

– Proszę to zabezpieczyć...

I dodał:

– Jeśli ktoś chciałby mi pogratulować – to proszę...

Pierwszy ruszył właściciel pensjonatu, wyciągnął swoim zwyczajem do detektywa obie ręce, z serdecznością i... tutaj stała się rzecz, jakiej nikt z nas nie oczekiwał: na przegubach rąk Borowskiego zatrzasnęły się kajdanki!!!

– Tylko spokojnie, przyjacielu – w głosie detektywa zabrzmiała groźba. – Pan major ma naprawdę tęgi pistolet! Jest pan aresztowany pod zarzutem zabójstwa Natalii Roźnowskiej, Marii Reszel oraz usiłowania popełnienia podobnej zbrodni na tym człowieku! – wskazał na dziennikarza. – O guzie na swojej głowie nie wspominam, chociażby z uwagi na tę butelkę starki, którą mi pan darował, a którą przyjmuję jako ekwiwalent za szkody moralne i ból fizyczny. Chodźmy, Pawełku, niech teraz porucznik popracuje, ale wstrzymajcie mu awans do czasu, aż nie zdobędzie w szachach przynajmniej trzeciej kategorii, myślę, że uda mu się to już w przyszłym roku, he he he! Pójdiesz z nami, Bożeno? Doskonale! Na dzisiaj mam dość! Kąpiel w morzu – oto czego mi potrzeba!

22.

Ekspres „Błękitna Fala” kursujący między Świnoujściem a Warszawą mknął z dużą szybkością ku stolicy. Migają za oknem schludne wioski z domami o czerwonych dachach, zielone prostokąty łąk i kwadraty pól. W zarezerwowanym przedziale siedzieliśmy we trójkę, urocza i opalona na ciemny brąz studentka, ubrany we flanelową koszulę i dzinsy detektyw i ja, służbowo, w świątecznym mundurze, jeszcze z naszywkami majora na pagonach; Jeszcze, bowiem w komendzie głównej czekał na mnie awans. Sprawa „Czarnego konia” – jak nazwaliśmy z Baxem tę historię – przechyliła szalę owej czulej wagi zwanej kulisami awansów służbowych. Miałem otrzymać stopień podpułkownika. Nad moją głową spoczywał solidny neser z zawartością upoważniającą do wynajęcia specjalnego samochodu pancernego z konwojem, ale zdecydowałem, że ładunek przewożony w ten sposób nie będzie rzucał się w ogóle w oczy, jechaliśmy zresztą w dzień. Eksperci stołecznego Jubilera mieli oszacować wartość skarbu starego Millera oraz złoto-brylantowe szachy, a także, to co znajdowało się w szkatułce Rożnowskiej. Łącznie było tego ze dwieście pozycji, wstępne rozeznanie wykazywało, że sumy szły w dziesiątki milionów złotych. Nagroda, jaką miał dostać Arystoteles Bax – a dostać ją musiał, bo przecież żadnego wynagrodzenia za sprawę nie brał – też będzie niełicha.

Gdy pociąg ruszył, wyrzuciliśmy z siebie pierwszy zapas banalnych i niepotrzebnych słów. Ukradkiem zerkałem na zgrabne nogi dziewczyny.

– Wypadałoby, abyś zaspokoił naszą ciekawość – odezwałem się po jakimś czasie.

Bax patrzył w okno, mówił beznamiętnie.

– Pamiętasz naszą pierwszą podróż do Świnoujścia? Już podczas wstępnego zapoznawania się z aktami sprawy rzucił mi się w oczy znamieny szczegół: szachy. Intuicja, i tylko ona, w początkowych dniach pobytu w Świnoujściu skierowała moją fantazję na określone tory. Byłem z tą fantazją sam, zupełnie sam, ty byłeś, stary, daleko, a porucznik Wiater dopiero uczył się grać w szachy...

Zwracałem ci wówczas uwagę na zlot szachistów, dziwny i zastanawiający. W atmosferze kolorowej widokówki nagle zostaje zamordowana kobieta! Rożnowska miała zdobyć pierwsze miejsce w turnieju, wystarczyło połączyć obie okoliczności...

– Jak zwykle zainteresował cię bardziej sam problem niż osoba mordercy? – zapytałem pamiętając o dawniejszych sprawach.

– Tak, ale rozwiązanie problemu pozwala na wykrycie sprawy... Rzeczywiście, zacząłem zadawać sobie najpierw pytanie „co i jak” zamiast „kto” Ten błąd kosztował mnie kilka niepotrzebnie straconych dni. Głównie dlatego, że Borowski nie miał bezpośredniego powiązania z turniejem i walką o właściwą nagrodę. Grał, bo grał, przez Marię Reszel był dokładnie zorientowany w sprawach rodzinnych Millerów, stał z boku i stąd mógł w każdej chwili włączyć się w akcję. Włączał się, a ja nie miałem przeciwko niemu żadnego punktu zaczepienia!

Mordercy miewają zwykle dość prymitywną psychikę – kontynuował – wiemy to z historii kryminalistyki.

Trudność w ich wykrywaniu polega na tym, że istnieje ogromna ilość sposobów wysyłania bliźnich na tamten świat. W naszej

sytuacji Borowski graniczył poziomem umysłowym z prymitywizmem, miał bowiem tylko jedną metodę: środek nasenny i własne ręce. W walce ze mną posiadał jednak potężnych sprzymierzeńców: zaślepioną i zadurzoną w nim po starczemu Marię Reszel oraz wyraźne motywy... innych osób. Był zresztą na swój sposób, trzeba mu to przyznać, sprytny i wyrafinowany. Ale do niego wrócimy jeszcze później. Otóż na początku zdziwił mnie fakt powtórnego przyjazdu tego samego grona ludzi do „Rybitwy” – pensjonatu, w którym przecież popełniono zbrodnię, niewyjaśnioną i ponurą! Odpoczywać w takim miejscu na drugi rok?

– Przyznaję – wtrąciłem – że już podczas pierwszej rozmowy zdumiałeś mnie zainteresowaniem szachami i turniejem, no a już Rożnowski...

– Było dziwne, że tej klasy zawodnik nie brał udziału w rozgrywkach, nic to, że towarzyskich. On po prostu nie mógł grać, po pierwsze dlatego, że rzeczywiście często wyjeżdżał do Szczecina, po drugie, że musiał pomagać żonie! Nikt tego nie spostrzegł, poza Borowskim, no, ale on nie musiał myśleć o samej grze...

– Powiedziałeś o tym już w czasie rozmowy z Rożnowskim.

– Strzeliłem w ciemno, na wyczucie – chwyciło. Kiedy przyznał, że żona prosiła go o pomoc – miałem dowód, że walki toczyły się nie tylko o srebrny puchar i butelkę koniaku. Zacząłem szukać mordercy wśród szachistów, właściwie wśród dobrych szachistów. Na początku zaliczyłem do nich obu Szwedów, Norwega, dziennikarza oraz Kowalika i właściciela pensjonatu. Jeśli chodziło o zabójstwo Rożnowskiej – brałem też pod uwagę jej męża. Dopóki nie znałem wszystkich tajemnic i on musiał być podejrzany, ale gdy uciekł – przemyślałem całą rzecz i... wykluczyłem go!

- Dlaczego? – zdziwiłem się.
- Doszedłem do przekonania, że nie orientował się w niczym. Uciekłbyś od takiego majątku? Zrobił plajtę w swoim interesie i jak wiemy, dokonał poważnych nadużyć podatkowych – wystarczyło. Pozostało mi zatem sześciu podejrzanych...
- Mogli działać w grupie, we dwójkę...
- Rozważyłem i tę ewentualność, a następnie odrzuciłem ją. Metoda dokonywania zbrodni przemawiała za pojedynczą osobą. Przyjazd Szwedów i Norwega budził także określone refleksje, nie jedzie się specjalnie do innego kraju, aby... grać w szachy, chyba że jest się zawodowcem, jak Bobby Fisher – doskonały gracz a jeszcze lepszy biznesmen! Deszcz nie był żadnym usprawiedliwieniem. Mógł być dla naszych, ale dla Szwedów i Norwega nigdy! Paweł, gdybyś ty wybrał się do Szwecji na urlop i gdybyś tam deszcz – grałbyś w szachy czy ruszyłbyś w tak zwaną Polskę lub w plener, na przykład na zwiedzanie wystaw albo klubów pornograficznych, co?
- W szachy nie grałbym ina pewno, nie umiem!
- Tym lepiej... dla szachów. Zatem pomyślałem, że być może naszej tajemnicy należało szukać w... przeszłości, i dlatego właśnie prosiłem cię o uzupełnienie informacji i materiałów znajdujących się w aktach sprawy od ubiegłego roku, a dotyczących głównych aktorów spektaklu. Nie zawiodłem się, dane okazały się bardzo pomocne. Skandynawowie znali się, utrzymywali ze sobą kontakty towarzyskie, nie mówiąc już o handlowych, potem dowiedziałem się o zagranicznych akcjach Milewskiego. Wszystko to wskazywało na jakieś, bliższe lub dalsze, powiązania rodzinne, dochodziły do tego przecież podobne lub te same imiona rodziców, inne drobiazgi z życiorysów... Wiele zamieszania w moje

genealogiczne rozważania wprowadziła okoliczność, że żona, a właściwie konkubina malarza nazywała się naprawdę Miller. Nazwisko to przecież figurowało w notesie Marii Reszel, a w tamtym czasie nie miałem jeszcze owych danych.

– Pani Kowalikowa nie była krewną Millerów? – zapytała studentica.

– Nie, to był czysty przypadek, jeden z tych, które w misternie budowaną teorię potrafią wprowadzić niemały rozgardiasz, ba, niekiedy zaprowadzą człowieka w ślepy zaułek!

– Nie intrygowało cię, że... nie grała w szachy? – rzuciłem żartem.

– A i owszem! Do tego stopnia – że z miejsca... wyłączyłem ją ze swoich podejrzeń! Notes Reszel sprawił, że to samo uczyniłem z Wolfem Swensonem, nie mógł obiecywać jej małżeństwa. Miła żona i dziecko – poza tym... nie wyglądał mi na mordercę... Wiadomość o szkatułce Rożnowskiej była cenna, rzucała nowe światło, pojawił się motyw, dość konkretny. Mówił o tej szkatułce Rożnowski, o skrytce, w której coś tam przechowywano, dowiedziałem się w czasie pobytu u Kowalików, wreszcie sam redaktor w trakcie rozmowy przeprowadzonej z nim w szpitalu upewnił mnie w przekonaniu, że szkatułka istniała naprawdę – sądziłem wówczas, że gratto właśnie o nią.

– Janusz bał się ciebie od samego początku, wyczułam to. Wyrażał się jednak bardzo pochlebnie zarówno o tobie, jak i o twoich metodach wykrywania przestępstw.

– Ciesz się, że go nie zawiodłem. Tak, on na początku dobrze mi życzył, chciał, abym odnalazł mordercę jego siostry, a później Marii Reszel, długoletniej gospodyni jego ojca i prawie członka

rodziny. Chciał, abym to osiągnął, ale... po turnieju.

– Mówił, że nie zamierzał cię zabijać.

– Chyba tak... W czasie naszych rozmów, już po jego aresztowaniu, stale powtarzał: „Zamierzałem tylko nastraszyć pana”. Cóż, nie będę się upierał, osiągnął to... Sądzę jednak, że drgnęła mu ręka dlatego, że zajmował niewygodną pozycję, no i ten alkohol... Sama mówiłaś, że był wtedy pijany...

– Z całą pewnością! Widziałam, ile wypił, razem z malarzem.

– Być może, na trzeźwo nie zdecydowałby się na taki krok. Ciekawostką było, że on sam podejrzewał o obie zbrodnie Norwega, swojego brata...

– Wyraźnie na niego wskazywał w czasie przedstawienia, jakie nam urządziłeś – wtrąciłem.

– Przedstawienia? Hm... Tak to nazywasz? Niech będzie. Podejrzewali się wzajemnie wychodząc z założenia, że tylko oni, dzieci Millera, mieli powody do mordowania. Borowski wykorzystał to bezlitośnie. Kiedy dziennikarz rzucił publicznie oskarżenie na brata, na Norwega, i uzasadnił je jego chorobą psychiczną – wiedział, co robi. Kilka razy nadmieniłem w rozmowie z nim, że sprawcą mógł być tylko maniak, szaleniec...

– Borowski wyglądał zwyczajnie...

– Czy ja wiem? – zadumał się Bax. – Możliwe... Ale jak z nim jest naprawdę – ustalą psychiatrzy A jego motyw?

– To zasadnicze pytanie, Bożeno – detektyw uśmiechnął się, sięgnął po oranżadę. – Znał testament Millera, domyślał się, że grano o coś ważnego, znacznie cenniejszego niż puchar i koniak, nie wiedział natomiast, gdzie to „coś” było ukryte, kto to ma i dlatego czał się jeden rok, potem drugi...

- Zatem chodziło mu o czas?
- Tak. Kiedy w ubiegłym roku turniej miała wygrać Rożnowska, uśmiercił ją. Zdawał sobie sprawę, że podstawowy warunek testamentu nie zostanie spełniony i dzieci Millera będą musiały spotkać się przy szachownicach jeszcze raz...
 - Dlaczego zamordował Marię Reszel?
 - Poza czynnościami intendentki i gospodyni spełniała dla Borowskiego jeszcze inne obowiązki, obiecał jej małżeństwo, mówili o tym od lat. W tym roku kobieta postawiła sprawę niedwuznacznie: ślub, i to w Polsce – bo Borowski też zamierzał wyjechać do Szwecji! – albo... zdemaskuje go!
 - Wiedziała, że zabił Rożnowską?
 - Domyślała się. Zainteresowanie Borowskiego sprawami rodziny Millerów musiało w niej wzbudzić jakieś podejrzenie, tym bardziej że sama dała mu jeden egzemplarz testamentu. Od niej też wiedział o prawdziwym bogactwie starego Millera i sytuacji jego dzieci. Mieli wyjechać do Szwecji, dlatego likwidował swój zakład fotograficzny. Sprzedaż pensjonatu nie stanowiła problemu. Żenić natomiast się nie zamierzał, a już na pewno przerażała go natarczywość starej kobiety, dużo starszej od niego.
 - I dlatego ją zabił?
 - Bożeno, mordowano już ludzi ze znacznie błahszych powodów, a często i bez nich. Hm... Właściwie jakie miał wyjście? Skądinąd wiadomo, że istnieją tylko dwa sposoby na pozbycie się niewygodnej kochanki lub narzeczonej: albo ożenić się z nią, albo ją zamordować. Borowski bardzo chciał być wolnym człowiekiem... A jak sądzisz, dlaczego Milewski strzelał do mnie?
 - Nigdy tego nie zrozumiem...
 - To proste. Byłem niewygodny, mogłem popsuć mu szyki.

Liczył na zwycięstwo i miał ku temu podstawy, właściwie nie musiał obawiać się niczego. Przecież nie zamordował ani jednej, ani drugiej kobiety, sumienie miał czyste, a jednak zdecydował się! Bo gdyby mnie chciał nastraszyć, Bożeno, to... hm... czy ja wiem? Strzeliłby do góry, w bok, w ścianę domu, ale nie koło mojego ucha... I oto proszę: mądry człowiek chciał zabić drugiego człowieka tylko dlatego, że ten mu przeszkadzał!

– Dlaczego zarzuciłeś mu, że to on, zabił te kobiety? – zapytałem.

– Nie wiesz, jak to jest? Jeśli chcesz, aby inteligentny przestępca przyznał się do kradzieży – zarzuć mu morderstwo, jeśli pragniesz, aby przyznał się do morderstwa – zarzuć mu, że jest głupcem! Za strzał do mnie może dostać trzy lata, w poszlakowym procesie o zabójstwo dwóch kobiet czekał go prawdopodobnie wyrok znacznie wyższy, a przynajmniej hańba na długie lata życia. Dobrze mówię, panie pułkowniku?

– Podpułkowniku... Dobrze.

– Zwyczajowo. – pułkowniku, w każdym razie jeszcze raz gratuluję ci, stary, zasłużyłeś na tę gwiazdkę jak mało kto, jesteś poza tym gliniarzem z krwi i kości, takich właśnie potrzeba...

– Wspominałeś o tym, że Milewski okłamywał cię – starałem się zmienić temat. Gdyby Bax rozmazał się, byłby gotów mianować mnie generałem.

– To szczwany lis i dlatego mu nie wierzyłem. Mówiąc serio: Milewski bał się ujawnienia prawdy, bo mogłaby mu ona przynieść stratę zarówno majątku, jak i – wybaczyć, Bożeno – twojej osoby...

Dziewczyna milczała.

– W naszych ostatnich rozmowach utrzymywał, że podejrzewał Borowskiego. Można w to wierzyć lub nie, jeśli chodzi o Reszel –

moim zdaniem, można by wierzyć. Co do Roźnowskiej – był przekonany, że zabił ją braciszek z Norwegii, miał arcyważny i niepodważalny motyw: szansę na wygraną turnieju. Ponadto jego stan finansowy był opłakany, no i ta choroba psychiczna, wyleczona, ale zawsze...

– A według Milewskiego: jaki cel miałby Norweg w uśmierceniu Marii Reszel?

– Stary jak świat: niemożność oddania długu. Wiemy obecnie, a dziennikarz wiedział to wcześniej, że sytuacja pana mecenas Nillsona była gorzej niż podła, miał długi. Nawet taki drobiaz był charakterystyczny: nie miał czym zapłacić Borowskiemu za pokój w „Rybitwie”. Szwedzcy bracia nie chcieli mu widocznie pożyczyć więcej, udał się wtedy do Reszel.

– Milewski podejrzewał chyba również Norwega o zamach na jego życie?

– Był tego pewien! Przez ową historię z butami chciał już wcześniej skierować moją uwagę na osobę Norwega. Nie można, niestety, w tym przypadku mówić o solidarności braterskiej.

– Wiedziałeś, że zamach na dziennikarza zorganizował Borowski?

– Tak, domyślałem się, był już w tym czasie podejrzanym numer jeden. Dopiero jednak eksperyment z latarką pozwolił mi upewnić się w owym mniemaniu.

– Z latarką? Z jaką znów latarką?

– Zwyczajną. Okrągłą i długą na trzy baterie. Gdy owej nocy skradałem się ku drzwiom Milewskiego i gdy otwierałem je – oślepił mnie najpierw nagły błysk, a dopiero potem uczułem uderzenie, a przecież normalnie dzieje się odwrotnie! Sprawdziłem na wszelki wypadek. Pożyczyłem od Borowskiego latarkę, miała

solidne zgniecenie, prawdopodobnie właśnie tym przedmiotem przyłożył mi tamtej nocy...

– Nie pytałeś go o to?

– Bax spojrział na mnie z pewną wyższością. – Stary, byłoby to niżej godności...

– A co z owymi historiami szalikowymi?

– Rożnowską udusił jednym, który skradł Ingemarowi Swensonowi planowo, po prostu zamierzał zwrócić na niego uwagę, porucznik zbył ów szczegół. Potem skradł drugi szalik, podobała mu się ta zabawa. Zakładając oba na szyję Reszel usiłował za drzwi ze mnie: „Masz, biedny i głupi detektywino, masz mądra i wszystkowiedząca milicjo!”

– Nie masz o nim wysokiego mniemania

– Żadnego! W innej, mniej skomplikowanej sytuacji wpadłby po paru dniach, tutaj – jak wspomniałem – za dużo „latarek” świeciło na innych. Ale oko miał dobre.

– O czym mówisz?

– O oku fotografa czy też fotografika – jak sam określał. Wiozę do domu komplet dużych portretów, będą ozdobą mojego pokoju.

Studentka zarumieniła się.

– Co z resztą Skandynawów? – zapytałem.

– Swensonowi nie ufali bratu, a podejrzewali... Milewskiego. Smutne, ale prawdziwe.

– Niemożliwe!

– Miał ważny motyw: najlepiej grał w szachy i posiadał największe szanse na zwycięstwo i zdobycie majątku, był – że tak powiem – potencjalnym milionerem.

– Jak było z tą próbą uduszenia Marii Reszel, na samym początku, w pierwszym dniu? – Uratowało ją wówczas... wino, owe

dwie lampki wypite na powitanie gości. Alkohol osłabił działanie luminalu, spała twardo, lecz nie na tyle, aby nie obudzić się w krytycznym dla siebie momencie.

– Nie rozpoznała Borowskiego?

– Nie, prawdopodobnie podejrzewała Norwega, niestety, od niej niczego mi mogłem się już dowiedzieć, zaś Borowski na te tematy nie rozmawiał z nią, tak przynajmniej utrzymywał...

– Stary Miller był nielichem dziwakiem!

– Raczej ekscentrykiem. Należał do poważnych przemysłowców i handlowców, ożenił się z bogatą Norweżką, podwoił i potroił wspólny majątek, potem poświęcił się pasji życia – szachom. Na ich tle miał idée fixe, któryż zresztą z wybitnych szachistów na świecie różni się znacznie od niego? Kiedy jeszcze pokonał Maxa Euwe – całkiem znikował na tle tej gry, zabił też dzieciom tęgiego ćwieka!

– Gdyby nie ów testament – nie doszłoby do morderstw – powiedziałem to raczej w formie twierdzenia, nie pytania.

– Ani do naszego spotkania, staruszku, w tym pociągu! Nie mówiąc już o wielu innych rzeczach! Tata Miller nie kazał dzieciom nawzajem się zabijać i dusić, kazał uczyć się gry w szachy! Intencje jak najszlachetniejsze, osobiście jestem dla niego pełen podziwu!

Nabrałem w płuca powietrza i głęboko odetchnąłem, mój przyjaciel sięgnął po chusteczkę i wytarł nią spocone czoło, zmęczyła go widać dłuższa gadanina.

– Wiem zatem wszystko – powiedziałem. Wybacz, że wypytawałem tak szczegółowo, ale w komendzie głównej mamy konferencję prasową, będę musiał wyjaśniać rozmaite wątpliwości, skoro ty nie chcesz wziąć w niej udziału...

– Wykluczone, stary! – zachnął się. – Żadnych konferencji, żadnych zdjęć, żadnej telewizji! Swoją gębę chcę zachować dla siebie, no, może jeszcze dla kogoś... – Nie spojrział na dziewczynę, ale ta zarumieniła się któryś raz z rzędu. – Nie chcę, aby wytykano mnie palcami w sklepie, w kinie i na ulicy. Pamiętaj, Paweł, proszę absolutnie serio: jak najmniej o mnie, najlepiej wcale.

– Art, co zrobisz z tą furą pieniędzy? – powiedziałem myśląc o nagrodzie, jaka czekała detektywa.

– Zastanowię się, jak... otrzymam.

– Chłopie, masz jak w banku! Wiozę pismo do samego ministra! Przysporzyłeś państwu grubych milionów, wykryłeś – co najważniejsze – sprawcę dwóch morderstw, należy ci się satysfakcja nie tylko moralna. To będzie sporo forsy, chłopie!

– Zwrócono mi koszty – wystarczy. Prawie za darmo spędziłem piękny urlop, poznałem język szwedzki i... piękną dziewczynę – czegoż mi więcej potrzeba? Gdyby jednak minister był łaskaw... zadumał się ina moment. – No cóż, jakąś sumę przeznaczyłbym na Zamek Królewski, część na podwyższenie stypendium dla pewnej znajomej dziewczyny, niebogatej z domu, ale arcyzamożnej przez matkę naturę, dopiero resztę połączyłbym ze swoimi oszczędnościami. Sprzedałbym swojego grata i kupiłbym... dobry, nowy wóz, patriotycznie, polskiego fiata 125p.

– Po co ci dobry wóz?

– Wiesz, ile jest z moich Siekierok na Bielany? Trzeba przejechać przez całą Warszawę, nic to, że po wygodnej Wisłostradzie!

– Dlaczego na Bielany?

– Oj, Pawełku, słońce ci nie dokucza? Pomyśl trochę! zamierzam podkształcić się w... pływaniu!

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że na Bielanach znajdowała się znana uczelnia sportowa. Dziewczyna milczała i patrzyła w okno, ekspres gnał dalej jak oszalały.

– Jeść mi się chce – powiedział detektyw. – Zapraszam do wagonu restauracyjnego, funduję; w końcu mam zostać bogatym facetem! Stary, na jaką sumę opiewa to pismo? – podniósł się z miejsca, dziewczyna uczyniła to samo.

– Wystarczy ci na wszystko! Do diabła! – zakląłem i usiadłem z powrotem, spojrzałem na walizkę leżącą na półce. – Nie mogę, idźcie sami, zjem potem, smacznego.

– Dziękujemy, napijemy się za twoje zdrowie, pułkowniku!